

P. 9786 Cht, Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/192

1963



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. A. JELEŃSKI : **POKAJANIE PICASSA I
ZDRADA GOMBROWICZA**

P. HOSTOWIEC : **SIEDEM KRÓW
TŁUSTYCH CIERPI NA NIESTRAWNOŚĆ**

WŁ. MICHNIEWICZ : **ŚMIERĆ PŁK. HAŃCZY**

SPIS RZECZY

K.A. Jeleński:	<i>Pokajanie Picassa i zdrada Gombrowicza</i>	3
Paweł Hostowicz:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i>	10
Czesław Miłosz:	<i>Robinson Jeffers</i>	21
Witold Gombrowicz:	<i>Dziennik transatlantycki</i>	33

WIERSZE

Marian Czuchnowski:	<i>Ta róża. W.</i>	45
" "	<i>Walka</i>	46
" "	<i>Zapiski korektora</i>	47
" "	<i>Dzieci Arachne. Bezsensowność</i>	48
" "	<i>Śpiąc na konwaliach</i>	49
Adam Czerniawski:	<i>Tren. Pośpieszny Neapol — Rzym</i>	50
" "	<i>Kształt kobiety w muzyce</i>	51

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Stulecie, które nas minęło</i>	53
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	62

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Iwan Bahrianyj</i>	71
Berlińczyk:	<i>Protest Hansa Mayera</i>	75
S.W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	79

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Władysław Michniewicz:	<i>Śmierć płk. Hańczy</i>	87
------------------------	---------------------------------	----

SPRAWY I TROSKI

J. W.:	<i>Omówienie Ankiety „Kultury”</i>	105
--------	---	-----

KRONIKA KULTURALNA

Wiktor Weintraub:	<i>Stanisław Wędkiewicz</i>	115
Ewelina Żółtowska:	<i>Polonica w Ameryce Południowej</i> ..	122
Józef Czapski:	<i>Czesław Straszewicz</i>	135
—	<i>Komunikat</i>	137

KSIĄŻKI

Józef Czapski:	<i>O Haupcie</i>	138
Tymon Terlecki:	<i>Neocyganeria warszawska</i>	145
Jan Brzękowski:	<i>Wspomnienia literackie dwudziestolecia</i>	149
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	152



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	154
--------------	----------------------------	-----



K. Barciński, St. Fischlowitz, R. Gronowski, H. Stehle:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1963

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Bezimiennie (Włochy)	24,50 F
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz dwunasty	48,08 „
Jan A. Buzek z żoną, Montreal, Que. (Kanada) zamiast kwiatów na trumnę śp. Stefanii Kozłowskiej, zmarłej w Montrealu w dn. 9 września 1963 roku	50,00 „
Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria) po raz piąty	12,50 „
Wiktor Skiba, Yongwol (Korea) po raz czwarty	15,00 „
Edward Baumiller, Leonard, Mich. (USA)	244,00 „
Józef Turska, St. Anne de Bellevue, Ont. (Kanada) po raz drugi	22,50 „
M.K. Pawlikowski, Berkeley, Cal. (USA) po raz trzeci	24,50 „

DZIĘKUJEMY

DARY DO BIBLIOTEKI «KULTURY»

Dziękujemy serdecznie za książki nadesłane do naszej biblioteki przez pp. *Tadeusza Rudnickiego* z Paryża i *E. Iwińską* z Brukseli.

NA FUNDUSZ ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Prof. G. Rhode, Mainz/Gossenheim, Niemcy

30,00 F

Pokajanie Picassa i zdrada Gombrowicza

Pierwsza strona warszawskiej „Kultury” z 25 sierpnia poświęcona jest Picasso i Gombrowiczowi. Po lewej stronie wielki tytuł: „Spowiedź Picassa”. Spowiedź nielada — Picasso wreszcie się w niej przyznaje, że jest szarlatanem! Nic dziwnego, że nasza młodziutka imienniczka poprzedza tę rewelację wstępem p. Bronisława Kamińskiego-Durocher. Dowiadujemy się tam, że ogłoszona przed kilku laty wypowiedź Picassa „została przyjęta powszechnym milczeniem, kupionym u krytyków przez wpływowych handlarzy obrazów, którzy słusznie sądzili, że głos Picassa uderza w ich żywotne interesy”. Raz tylko to milczenie kupione przez obrzydliwych kapitalistów zostało przerwane:

„9 grudnia 1961 roku spowiedź Picassa została przedrukowana w organie protestantów francuskich *Réforme*. Żaden komentarz nie towarzyszył tej publikacji. I tym razem ciężka, wymuszona cisza nie została przerwana. Widoczne było, że jakieś potężne siły starają się przeszkodzić dotarciu słów Picassa do opinii publicznej. Dopiero niedawno w prasie francuskiej można było napotkać nieśmiało napomknienia o wypowiedzi mistrza”.

Biedna warszawska „Kultura”! Biedny pan Kamiński-Durocher! Sam (zarezerwowałem ten efekt sceniczny rozmyślnie na później) zaczyna swój wstęp od słów: „Kilka lat temu Giovanni Papini ogłosił w *Libro Nero* wstrząsającą wypowiedź Pabla Picassa, która nie tylko była ostrzeżeniem sztuki współczesnej, ale również aktem samokrytyki bez precedensu w historii malarstwa...”.

P. Kamiński nigdy nie czytał Papiniego, nie zna jego pisańskiej konwencji — zgoda. Ale żeby nikt z Komitetu Redakcyjnego, nikt z pp.: Jerzy Adamski, Roman Bratny (z-ca red. nacz.), Zbigniew Florczak, Jerzy Gembicki (sekr. red.), Stanisław Gro-



chowiak, Zbigniew Klaczyński, Leopold Lewin, Stanisław Markiewicz (z-ca red. nac.), Hieronim Michalski, Zbigniew Mitzner, Jerzy Putrament, Waław Sadkowski, Stefan Treugutt, Zbigniew Wasilewski, Janusz Wilhelmi (red. nac.), Jan Wołoskiuk (sekr. red.), Witold Zalewski, Stanisław Zieliński — żeby nikt z tych osiemnastu panów nie znał starego Papiniego i jego amerykańskiego milionera Mr. Gog'a, który w dwóch grubych tomach (*Gog* i właśnie *Libro Nero*) służy mu za fikcyjnego korespondenta, za „porte-parole” (podobnie jak robili to usłuźnie dla innych pisarzy Malte Laurids Brigge, André Walter, Barnabooth), Goga, który zbiera Papiniemu „wywiady” od Mołotowa do Hitlera poprzez Picassa i Dali — to już dziwne. Miejmy nadzieję, że na przyszłym zebraniu kolegium warszawskiej „Kultury”, ci jego członkowie, którzy w skład Komitetu Redakcyjnego nie wchodzi (a przynajmniej profesorowie Jabłoński i Schaff, bo za p. Sokorskiego nie mogę ręczyć) opowiedzą swym młodszym kolegom o takim złym i bardzo sławnym włoskim pisarzu, który zaczął jako ateista, stał się gorącym katolikiem i który w *Gogu* i *Libro Nero* wypowiadał swoje ultra-reakcyjne poglądy w „nowoczesnej” masce.

Wyobrażam sobie nawet te wymówki:

— Członek Kolegium I: „Koledzy, bójcie się Boga! (sic) Narobiliście wstydu! No, jeszcze pół biedy żeście się nabrali tylko na Picassa! Ale co by to było gdybyście z *Libro Nero* przedrukowali wywiad, w którym Hitler twierdzi, że jest ludzkim, smutnym człowiekiem, pełnym litości dla bliźnich, zmuszonym do dyktatury przez klapę demokracji! Albo, co gorsze, wywiad z Mołotowem!”

— Członek Kolegium II: „Albo z *Goga* wypowiedź o kontroli urodzin, gdzie kobiety przerywające ciążę nazywane są „chodzącymi trumnami”. Koledzy!”

Trudno. Profesor Schaff w Meksyku, profesor Jabłoński może na innym kongresie, nikt o Papinim w warszawskiej „Kulturze” nie słyszał. To zwykła, przykra ignorancja. Co mnie natomiast o wiele bardziej przeraża, to że nikomu z tych osiemnastu Panów nie przyszło do głowy powiedzieć: „Koledzy! Przecież Picasso nie jest wcale szarlatanem, tylko jednym z największych współczesnych malarzy. Dlaczego miałby sam o sobie mówić, że jest szarlatanem? Znam szereg wypowiedzi Picassa, znam książki Sabartesa, Antoniny Valentin, Coopera, znam dumny błyskawiczny styl Picassa, jego pychę. On by miał tak biadolić? To mi się nie zgadza na podstawie „internal evidence”. Wiecie co, Koledzy? A może byśmy tak sprawdzili w tym całym *Libro Nero*?”

Przecież tylko w zamierzchłych, przedwojennych czasach słyszało się po salonach uniwersalnych Ciemnogrodów: „Przepadam za niebieską epoką Picassa, uznaję różową, ale potem to już nie rozumiem. Snobizm, nabieranie gości”.

Jedną z bardziej zastanawiających przemian spowodowanych kulturą masową, to zanik na całym świecie tego właśnie aroganckiego banału. Publiczność (w sensie fenomenu międzyklasowego wytworu masowego społeczeństwa) podchodzi dziś do Picassa z szacunkiem, który nie jest naiwnym snobizmem. Nie jest to już nawet w tym wypadku (jak to ma nie raz miejsce z uczonymi i filozofami) uznanie dla niezrozumiałego dzieła poprzez zaufanie do autorytetu specjalistów. Wizja kubistów, wizja Picassa, została do tego stopnia przejęta przez afisze, reklamę, do tego stopnia spowszedniała, że obrazy Picassa stały się dla wszystkich czytelne. Pisałem niedawno w „Kulturze”, że Picasso przestał nawet w pewnym sensie być współczesny, w ciągu ostatnich piętnastu lat przeszedł do historii, oddalił się od nas i zbliżył do Courbeta, Daumiera. Retrospektywną wystawę Picassa przed trzema laty w Londynie zwiedziło niemal milion widzów — cyfra bodajże rekordowa.

Otóż nie wierzę, ani na chwilę nie wierzę, że cały Komitet Redakcyjny warszawskiej „Kultury” mógł się dać nabrać na równie grubiański apokryf. Mam, niestety, wrażenie, że na to aby wytłumaczyć jego publikację trzeba nawrócić w pewnym sensie do metody nakreślonej przez Miłosza w „Zniewolonym umyśle”. Kluczem są tu ostatnie słowa wstępu. p. Kamińskiego-Durocher: „Słowa (Picassa) świadczą o maksymalnym rozgorzeniu artysty, który uzyskał z pozoru wszystko, czego nieomal może żądać od życia. Wszystko poza... poczuciem społecznego uzasadnienia dla swego miejsca w społeczeństwie, społecznej funkcji swej sztuki”. Oto jak wylazi sztydło z fałszowanego worka. Warszawska „Kultura” ma oczywista instrukcje gromienia sztuki nowoczesnej, która się tak bezczelnie rozpanoszyła w Polsce w ciągu ostatnich ośmiu lat. Należy szukać argumentów dyskredytujących sztukę nowoczesną. „Spowiedź” Picassa — to argument nielada. Pokusa jego użycia jest tak wielka, że istniejące na pewno u ludzi o pewnym poziomie wrażliwości i wykształcenia wątpliwości co do autentyczności tekstu, niemal bezwiednie są usuwane. Cóż waży *vero* wobec tak oczywistego znaczenia *ben trovato*?

I rzeczywiście... W następnym już numerze „Życia Literackiego” (z 1 września) czytamy o „Spowiedzi Picassa”, że jest to „wstrząsająca wypowiedź” i że jest ona „potrzebna Kamińskiemu do książki o stosunkach literackich i artystycznych Zachodu. Życzyć by należało, żeby w tej książce poza ciekawostka-

mi i sensacjami (których na pewno tam nie zabraknie) znalazło się przemawiające do rozsądku wyjaśnienie mechanizmu zjawisk fascynujących głodne wyobraźnie naszych nowoczesnych prowincjuszy... żeby pomogła im wyzwolić się z *frajerstwa* i odzyskać poczucie własnych, autentycznych i odrębnych możliwości”.

Jeszcze szczerzej wywała kawę na ławę „Tygodnik Wroclawski” z 8.9.63. Znowu powtarza się, oczywiście, określenie „wstrząsająca wypowiedź”, z tym, że jest ona tu w dodatku „bardzo znamienna, szczególnie dziś u nas niezwykle cenna”, oraz „pouczająca dla różnych naszych pikasików pędzla, pióra i sceny”. I tak reakcyjność Papiniego, jego całkowita ignorancja sztuki Picassa, „naiwność” pana Kamińskiego, chęć przypodobania się władzom ze strony Komitetu Redakcyjnego warszawskiej „Kultury” — wszystko to służy do gromienia młodej awangardy nie tylko w malarstwie, ale również w literaturze i teatrze...

Tęsknoty do gazrurki (1). Tylko, że tym razem gazrurka z apokryfu wywoła chyba wybuch śmiechu na całą Polskę.



Przejdźmy z kolei do Gombrowicza, któremu poświęcona jest reszta pierwszej strony pisma. Tytuł zachęcająco tajemniczy: „Gombrowicz w Jordanie”. Autorem artykułu nie jest tym razem dyletant w rodzaju p. Kamińskiego-Durocher, a autentyczny

(1) W ataku na awangardowych malarzy gazrurki są różnego kalibru. Użyto nawet mojego nazwiska w tym charakterze. W „Przeglądzie Artystycznym” nr (1/11) z r. 1963, p. Zbigniew Floreczak (skądinąd członek Komitetu warszawskiej „Kultury”) pisze: „W 1957 roku rozmawiałem w Paryżu z emigracyjnym eseistą i krytykiem K.A. Jeleńskim, który współpracuje także ze świetnie redagowanym tygodnikiem „L’Express”. Powiedział mi rzecz zadziwiająca: — Pecha się tu do nas co miesiąc cała masa waszych świeżo upieczonych abstrakcjonistów i naturalnie nikt tej masy nie zauważa. Po prostu jeszcze jedna łyżka do pełnej beczki. A tymczasem przyjechał taki Włodzimierz Zakrzewski i budzi prawdziwe zainteresowanie. Paradoks? Nie, to zrozumiałe”.

Mniejsza o to, że nigdy nie współpracowałem z „Expressem”. Mniejsza o to, że nie mówię nigdy o Paryżu „do nas”, a o polskich malarzach „wasi”. Ale o p. Zakrzewskim nigdy nie słyszałem, podczas gdy o Lebensteinie, Dominiku, Gierowskim, Brzozowskim, Tchórzewskim pisałem artykuły w prasie francuskiej, amerykańskiej, włoskiej, szwajcarskiej. W artykule ogłoszonym w listopadzie 1961 w amerykańskim miesięczniku „Arts” pisałem, że pojawienie się nowego malarstwa polskiego i hiszpańskiego w latach 1955-60 jest niewątpliwie najważniejszym wydarzeniem artystycznym dziesięciolecia. Rzecz jasna, że mój list, w którym odpowiadałem na twierdzenia p. Floreczaka nie został przez „Przegląd Artystyczny” zamieszczony.

pisarz, Stanisław Zieliński. Niestety, mimo że styl nieco żywszy, poziom myślowy podobny. Wystarczy cytaty:

„Przy pomocy słownika Gombrowicz (bo nie zna niemieckiego) padł plackiem przed zachodniobierlińskimi słuchaczami. Ponieważ lampa naftowa się nie sprawdziła, więc Gombrowicz swoją miłość (*Miłość to godność*, pisał dawniej) dedykował Niemcom, swoje serce młodzieży niemieckiej, a wolność ulokował w Berlinie Zachodnim. Dosłownie *Dzieło fantastyczne* chlupnęło w sam środek polityki... W Berlinie Zachodnim gombrowiczowskie borykanie się z Polską stało się kontynuacją osławionego wydawnictwa hitlerowskiego. Ukazało się podczas wojny i zawierało, jak zawsze opracowane naukowo, wszystkie opinie ujemne o Polsce i Polakach.

„Polski Gombrowicz stanął nad Jordanem, zapiał „Freiheit hier” i za tekstem chlupnął w wodę. Sam sobie wybrał Jordan przepływający przez Berlin Zachodni.

„Kto się wynurzy z kąpieli? Jaki Gombrowicz? Może zachodniemiecki? Może iberyjski?”.

A więc, pod pseudo-werwą stylu, teza: przyjęcie przez Gombrowicza rocznego stypendium Fundacji Forda w Zachodnim Berlinie jest zdradą Polski, frymarzeniem granicą nad Odrą i Nysą, wysługiwaniem się Niemcom! Hitlerowcom!

Pierwszą reakcją jest zdziwienie, przetarcie oczu: ktoś może choć przez chwilę uwierzyć w podobne bzdury? Ale jeśli trzy polskie pisma kulturalne nabrały się na wulgarny apokryf Picassa, gdzie w grę nie wchodzi żadne emocjonalne czynniki, a po prostu chęć przysłużenia się tym, którzy chcą nawrotu do socrealizmu, to ktoś może ręczyć czy nie można polskiej opinii upupić Gombrowiczem kontynuującym tradycje hitlerowskie, skoro stosunek do Niemiec i Niemców jest w Polsce tak silnie emocjonalny?

Pan Zieliński nie pisze oczywiście o jakie stypendium chodzi, kto je ufundował, (ze stypendiów tejże fundacji korzystały dziesiątki polskich uczonych i pisarzy z profesorem Schaffem i p. Jerzym Wiatrem włącznie), jaki jest jego cel. Po prostu: „Berlin Zachodni był jego miastem stypendialnym”.

Należy się zatem kilka słów wyjaśnienia. Od czasu gdy Ulbricht zamurował swoich poddanych, mieszkańcy Zachodniego Berlina coraz częściej przenoszą się do NRF, a dotyczy to również pisarzy, artystów. Senatowi Zachodniego Berlina chodzi oczywiście o ożywienie atmosfery kulturalnej. Czynią to we własnym zakresie, jeśli chodzi o kulturę niemiecką; w dziedzinie międzynarodowej pomagają mu w tym fundacje kulturalne w skali świa-

towej. I tak Fundacja Forda ustanowiła kilkanaście rocznych stypendiów dla pisarzy i artystów o rozgłosie światowym, sądząc, że sam fakt ich pobytu w Berlinie będzie przeciwdziałał „provincializacji”, której się chce zapobiec. W ten sposób znaleźli się już w Berlinie spośród pisarzy Gombrowicz i Michel Butor, malarze André Masson i Oskar Kokoschka. Inni — Francis Ponge na przykład — przybędą później. Fundacji Forda chodziło o znalezienie pisarzy i artystów, szczególnie w Niemczech znanych. Ze wszystkich krajów Europy, Niemcy najbardziej bodaj cenią Gombrowicza. Nie tylko Niemcy Zachodnie. Największy — obok Lukacsa — marksistowski krytyk literacki Hans Mayer poświęcił Gombrowiczowi jeden ze szkiców w swojej książce „Ansichten zur Literatur der Zeit”, wydanej w Hamburgu w r. 1962. Gombrowicz figuruje tam obok Kafki, Joyce’a, Sartre’a, Ionesco, Brechta i w przeciwieństwie do p. Zielińskiego Hans Mayer nie opatruje cudzysłowem określenia Wielki Pisarz, gdy mówi o Gombrowiczu.

Przejdźmy teraz do tezy, że pobyt Gombrowicza jest „szkodliwy dla Polski”. Jeżeli się już koniecznie chce pobyt Gombrowicza w Berlinie Zachodnim „upolitycznić”, należy to czynić z pewnym minimum ścisłego myślenia. A więc:

1) Cała polska emigracja od lewicy do prawicy, zgodnie stoi na stanowisku, że granice zachodnie Polski są ostateczne i muszą być utrzymane. Gombrowicz nie jest tu wyjątkiem.

2) W Niemczech Zachodnich wszyscy niemal intelektualiści są zwolennikami uznania granic na Odrze i Nysie. Stosunek ich do polskiej kultury jest bardzo pozytywny. W żadnym bodaj kraju Europy nie wydano tylu polskich książek od kilku lat co w NRF. Nigdzie nie miały one większego powodzenia.

3) Reakcyjne i prawicowe, często o hitlerowskich nostalgiiach, związki uchodźców z ziem eks-niemieckich, których demagogia jest głównym powodem nie uznania przez NRF polskich granic, są zasadniczo i ogólnie anty-polskie. Każdy dowód uznania dla polskiej kultury jest w ich pojęciu szkodliwy, gdyż osłabia tezę o „wschodnich barbarzyńcach”.

4) Pobyt Gombrowicza w Berlinie stawia polskiego pisarza na równi z najsławniejszymi pisarzami i artystami Zachodu. Jego kontakty z niemieckimi pisarzami, jeśli mają jakiś wydźwięk polityczny, mogą — wobec zgodnego stanowiska polskiej emigracji w sprawie granic — działać tylko po linii ogólnej polskiej racji stanu.

Są to sprawy tak oczywiste, że nie można by zrozumieć tezy p. Zielińskiego, bez postawienia pytania dodatkowego: Jeśli po-

byt Gombrowicza w Berlinie jest dla „sprawy polskiej” pozytywny, w czyje interesy może on godzić? Sprawa jest jasna: Ulbricht liczy na powolne „wykrwawienie” Berlina Zachodniego. Na zmęczenie, które spowoduje, że wszystkie elementy żywotne przeniosą się z Berlina do NRF. Na to, że Berlin Zachodni stanie się miastem urzędników i administracji, miastem emerytów i starców. W jego interes godzi oczywiście plan Senatu Zachodniego Berlina, dążący do stworzenia ważnego ośrodka kulturalnego.

Natrafiamy tu znów na jeden z przejawów „Zniewolonego Umysłu”. Warszawska „Kultura” jest oczywiście pismem propagandowym politycznego ośrodka, którego solidarność z Ulbrichtem jest przymusowa. Ale pisarze polscy niechętnie służą komunistycznej propagandzie „wprost”. Stosunki polsko-niemieckie są prawie idealnym pretekstem do samo-zakłamania. Stwarzają one pozory obrony „polskiej racji stanu”, gdy w istocie chodzi o interesy bloku. Doprowadza to do tak paradoksalnych rezultatów jak atak na „zdracę Gombrowicza” w imię hasła patriotycznych. Broni się interesów Ulbrichta wykrzykując „patrz Kościuszko na nas z nieba”.

K. A. JELEŃSKI

Nie tylko prasa warszawska przyjęła apokryf za prawdę. „Tydzień Polski” w Londynie z dn. 14.9.63, cytując warszawską „Kulturę” pisze w zakończeniu: „...zapewne ma rację „Kultura” twierdząc że ten akt samokrytyki (Picassa) jest bez precedensu... Niezliczone były wypadki „samokrytyki komunistów wypierających się dzieła całego swego życia.”

Tym niemniej fakt, że przestawny komunistyczny artysta uzasadnia tezę kremlońskiego krytyka sztuki przez sponiewieranie całej własnej twórczości, jest godny podkreślenia”.

Nie należy przesadzać w zaciętrzewieniu propagandowym ani w jednym ani w drugim kierunku! (Redaktor).

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

SIEDEM KRÓW TŁUSTYCH CIERPI NA NIESTRAWNOŚĆ

Zdaniem miejscowych w Padwie są trzy osobliwości: łąka bez trawy, święty bez imienia i kawiarnia bez drzwi — *prato senza erbe, santo senza nome e caffè senza porte*. Cuda te można istotnie oglądać. Prato della Valle, najpiękniejszy być może plac Europy, jest ogromnym asfaltowym czworobokiem, w który wpisany jest owal kanału otaczającego wyspę platanów. Po obu brzegach kanału, przeglądając się w wodzie, stoją pomniki padewskich uczonych. Starsi z nich byli zapewne mistrzami Polaków, studiujących tu licznie w czasach humanizmu. Świętym bezimennym jest Antoni Padewski, który nazywa się tu po prostu *il santo*. Wreszcie kawiarnią bez drzwi jest Caffè Pedrocchi, gdzie zasiadała niegdyś Młoda Italia, i gdzie zamiast drzwi są zasłony, jak w miastach nawiedzanych przez trzęsienia ziemi.

Na Piazza del Santo wznosi się bazylika św. Antoniego, przypominająca kształtem meczety Stambułu. Przed nią stoi konny pomnik kondotiera Gattamelaty, dłuta Donatella, nie wytrzymujący jednak porównania z pomnikiem Coleoniego, arcydziełem Verocchia w Wenecji.

Na Piazza jest oczywiście też Caffè del Santo, a ponieważ we Włoszech byli zawsze Gwelfowie i Gibellini, klerykali i laicyści, opodal pod arkadami znajduje się Caffè Gattamelata. Z panią Dieneke, moją holenderską towarzyszką podróży, kierujemy się do tej ostatniej kawiarni i siadamy przy stoliku na brzegu chodnika, aby przyjrzeć się spokojnie osobliwościom architektonicznym bazyliki.

Pani Dieneke otwarła już swój szklownik, gdy na placu ukazał się Fiat 1000. Wahał się przez chwilę, po czym skręcił i wjechał niemal na nasz stolik, zatrzymując się o 20 cm. od jego brzegu. Wysiadł zeń ogorzały obywatel i cała jego rodzina:

mamina, nonnina i bambini. Wóz miał numer padewski, byli to więc zapewne chłopci, tak zwani *cultivatori diretti* z okolic miasta. Ponieważ wóz ich zasłaniał widok na plac, przesiadliśmy się do innego stolika, skąd widać było jeszcze pół bazyliki. Niedługo jednak cieszyliśmy się jej widokiem. Po chwili inny Fiat, wiozący również całą rodzinę, zatrzymał się przed naszym nosem. W okolicy Padwy wszyscy prawie mają własne wozy, po chwili więc mieliśmy przed sobą cały mur z odrapanej i pogiętej w licznych kolizjach blachy.

— Czemu u diabła wszyscy zatrzymują się przed kawiarnią, mając cały plac do parkowania?

— Naszym życzeniem było przecież, żeby oni wszyscy mieli własne samochody — zauważyła pani Dieneke.

— Ale nie, żeby z arogancją feudałów okazywali swe lekceważenie innym użytkownikom asfaltu.

— Pan ich źle sądzi. Skąd mogło im przyjść na myśl, że siedzimy tu dla oglądania bazyliki? Tego nikt więcej nie robi. Niech pan spojrzy: wszyscy siedzą tu odwrócenymi plecami do bazyliki. Kogo interesują widoki miasta, wysiada z wozu ze swym kodakiem, robi kilka zdjęć i jedzie dalej.

Znudzony widokiem blaszanych pudeł i zapachem smarów, idziemy na drugi koniec rozgrzanego jak patelnia placu i siadamy pod parasolem innej kawiarni, przed którą na pozór nie wolno parkować. Naprzeciw stało kilka starych domów, które pani Dieneke zaczęła szkicować. Zaledwie rysunek jej nabrał formy, z bocznej ulicy wytoczył się autokar pełen turystów i ocierając się niemal o nasz stolik zatrzymał się, zasłaniając wszelki widok. Odkładając swój flomaster, pani Dieneke powiedziała:

— Od nadmiaru wozów ocalić nas może tylko nowy wynalazek, mianowicie samochód składany. Po składanych krzesłach i wózkach dla dzieci, które bierzemy z sobą do wagonów i tramwajów, przyszła kolej na samochody.



Wracając w te strony po dwuletniej nieobecności, widzę postępy ruchu budowlanego. W środku Werony wznosi się na wzgórzu widoczny z daleka wieżowiec. *Niente Montecchi, niente Capuletti*, imiona Romea i Julii zachowały się tylko w nazwach samochodów: Alfa Romeo i Giulietta.

W Abano, które przed dwoma laty było małym miasteczkiem, wznoszą się teraz wszędzie nowe, dziesięciopiętrowe budynki. Jakkolwiek do sezonu kąpielowego jeszcze daleko, w moim hotelu jest już 250 gości, przeważnie młodych.

— Czyżby reumatyzm zaczął się szerzyć także wśród młodej? — pytam właściciela term.

— Nie — odpowiada *commendatore*. — Prawdziwych chorych jest tu niewiele. Goście, których pan widzi, są to kobiety pragnące się odchudzić i towarzyszący im mężczyźni, biorący na wszelki wypadek jedną lub dwie kąpiele. Nikt z nich nie poddaje się systematycznej kuracji. Abano stało się po prostu miejscem modnym.

Commendatore skarży się na brak wykwalifikowanego personelu, niezbędnego w zakładzie leczniczym. Południe Włoch, dostarczające dawniej rąk roboczych, zaczęło się wyludniać. Bardziej rożgarnięci pracują już wszyscy w Szwajcarii lub w Niemczech. Pozostał tylko najsurowszy materiał.

Fanbino, który w poprzednich latach okładał mnie wulcanicznym szlamem, zmienił zawód i jest majstrem murarskim. W pełnym sezonie pracował przez trzy miesiące po 16 godzin na dobę, zimą miał dwa miesiące odpoczynku, przez resztę roku pracował na zwolnionych obrotach. Gdy tłumy gości zaludniły termy także poza sezonem, obejrzał się za spokojniejszym zajęciem. Z dawnego personelu pozostali ci, którzy zbudowali sobie własne domy i muszą jeszcze spłacać raty bankowe.

— Ile też kosztują tu tereny budowlane?

— Przed siedmiu laty sąsiadujące z termami parcele kosztowały trzy do czterech tysięcy lirów za metr, teraz warte są 25-30 tysięcy lirów za metr kwadratowy. W środku miasteczka płaci się już po sto tysięcy za metr.

Kupując ze swych zarobków parcele i wznosząc na nich domy, pracownicy term zrobili świetny interes. Gorsze jest położenie tych, którzy nie włączyli się do spekulacji gruntownej, liczącej dziś setki tysięcy osób. Personel miejscowych autobusów np., czekający od dwóch lat na obiecaną podwyżkę, stracił cierpliwość i rozpoczął tzw. *sciopero a singhiozzo*, to jest strajk w formie czkawki. W najbardziej nieoczekiwanych chwilach szoferzy i konduktorzy schodzą z wozów i po krótkiej naradzie postanawiają odpocząć sobie dwie lub trzy godziny. Jadąc do Padwy, nie wiem nigdy, czy potrafię wrócić do Abano. Strajk daje się odczuć najwięcej obcym, bo miejscowi mają przeważnie własne wozy. Sądząc z rozmów, wszyscy trzymają stronę strajkujących.

Ruch budowlany rzuca się w oczy także w Szwajcarii. Do przyrostu ludności i przenoszenia się jej ze wsi do miast dołączył się tam napływ robotników obcych, głównie włoskich. Licz-

ba ich wynosi 800.000 na cztery i pół miliona ludności własnej. W przemyśle przedzalnicy obcy stanowią 80% zatrudnionych. Włosi mieszkają w starych dzielnicach, gdzie mieszkania są tańsze, i gdzie dawniej już gnieździła się ludność uboższa. W starym Bernie większość przechodniów, sądząc z dialektu, pochodzi z Sycylii i Kalabrii. Wszyscy sklepikarze nauczyli się mówić po włosku.

Łatwość, z jaką Szwajcaria wchłonęła tak wielką ilość cudzoziemców, jest zjawiskiem nowym, dającym do myślenia o przyszłości naszego kontynentu. Mimo kosztownej pomocy dla ekonomicznie słabych, przepaść między krajami zamożnymi i ubogimi zdaje się pogłębiać z roku na rok. Na Południu Włoch, w latach, gdy Cassa del Mezzogiorno oraz jej kredyty i inwestycje budziły jeszcze wielkie nadzieje, miałem wrażenie, że znane mi miasteczka i wsie są każdego roku bardziej ubogie i wyludnione. Nowe drogi zdawały się służyć tylko odpływowi ludności. Zatrudnienie części ludności Włoch Południowych w krajach uprzemysłowionych okazało się nierównie bardziej udanym eksperymentem. Ta forma współpracy krajów uprzemysłowionych z ekonomicznie słabymi jest zresztą dopiero w swych początkach. Rynek pracy włoski został częściowo wyczerpany. W Szwajcarii pojawili się robotnicy hiszpańscy. Po nich przyjdzie kolej na afrykańskich.

Migracje ludności stworzyły nowe zagadnienia mieszkaniowe. W Szwajcarii ruch budowlany pozostawiony był dotąd inicjatywie prywatnej tj. spekulacji. Mnożą się mieszkania dla milionerów, brak mieszkań tanich. Gdy w Bernie zaczęto burzyć stare dzielnice, zamieszkałe przez ludność mniej zamożną, miasto stanęło wobec alternatywy: albo popierać budowę tanich mieszkań, albo zwiększyć wydatnie zasiłki dla „ubogich”, których dochody nie dorastają do poziomu czynszów powstałych w trybie wolnej konkurencji. W tych okolicznościach przyszło do budowy na terenach dawnego majątku Tscharnarów osiedla mieszkaniowego o czynszu umiarkowanym.

W końcu czerwca przeczytałem, że z okazji oddania do użytku części nowego osiedla, w Tscharnergut odbędzie się zabawa taneczna. Nigdy tam przedtem nie byłem, i zabawa wydała mi się dobrą sposobnością do zapoznania się z osiedlem.

Autobus zatrzymał się przy ostatnich domach miasta. O kilometr dalej, na tle lasu widniały ciemne sylwetki wieżowców. Po 10 minutach znalazłem się w środku osiedla. Składały się nań długie, 9-piętrowe bloki, oddzielone od siebie pasami trawników. W środku, między dwoma wieżowcami, zaplanowano centrum osiedla z niższymi budynkami mieszczącymi restaurację, kawiarnię, łaźnię, spółdzielnię spożywczą, zakłady fryzjerskie, plac

sportowy, ogródek dla dzieci itd. Wszędzie zostawiono szerokie przestrzenie do parkowania, bo ludność mniej zamożna posiada dziś też własne samochody.

Przygotowania do zabawy były już w pełnym biegu. Na wolnych miejscach ustawiono stragany z tak zwanymi *souvenirs*, w innych sprzedawano gorące kiełbaski. Nie brakło też jarmarku książek, gdzie każdy mógł wymienić swe stare książki na inne. W dalszych budach strzelano z wiatrówek. Tańczyć można było w krytych salach przy dźwiękach orkiestry lub na powietrzu przy muzyce z megafonów. Program wzmiankował także komedię, film i teatr marionetek. Przy wejściu goście kupowali za franka brązową odznakę, stając się przez to na jeden dzień obywatelami wesołego miasteczka.

W ostatnich latach zabawy takie cieszyły się w Bernie największym powodzeniem, ale pierwsi goście, jakich zastałem w Tscharnergut, wydali mi się bez humoru. Ja sam zresztą czułem się nieswojo. Po chwili dopiero przyszło mi na myśl, że osobliwa barwa osiedla nie może sprzyjać zabawie. Wszystkie bloki utrzymane były w jednakowym, zimnym, ciemnoszarym odcieniu zwanym *gris crématoire*. Jak gdyby dla podkreślenia tego efektu kolorystycznego, zewnętrzne klatki schodowe były czarne jak smoła.

Nie wiem, czym kierowano się przy wyborze tej farby. Być może uznano ją za najodpowiedniejszą dla ludności niezamożnej, Ubóstwo, jak wiadomo, jest skutkiem grzechu pierworodnego i dowodem braku łaski. Barwa osiedla miała więc przypominać mieszkańcom ich grzeszną kondycję i nakłaniać do pokuty. Wybór farby mógł być także wyrazem germańskiego zamiłowania do makabry i tańców śmierci, zdobiących w formie fresków ściany klasztorów i nawet budynków świeckich. Być może wreszcie architekci pragnęli tu udostępnić masom poczucie frustracji i alienacji, będące dotąd udziałem elity, konsumentów modnej sztuki i literatury.

Jakiegokolwiek było ich wyrachowanie, efekt jego był uderzający. Przed wesołym miasteczkiem zatrzymywały się teraz samochody z gotową do zabawy młodzieżą, ale w cieniu szaroczarnych wieżowców śmiechy jej milkły jak przy wejściu na cmentarz. Na domiar złego zaczął padać ulewny deszcz.

ŚMIERĆ NA ASFALCIE

Przed jedenastu laty zamieszkałem w starej dzielnicy, gdzie rzadko ukazywał się samochód. Obecnie do tysiąca wozów na godzinę przejeżdża pod moim oknem. Rzadki jest dzień, żebym

nie słyszał syren ambulansów, wiozących ofiary wypadków. Latem, przy otwartych oknach, hałas jest tak ogłuszający, że nie słyszę dzwoniącego obok telefonu. Po północy hałas ucisza się, ale nie zupełnie. Przez kilka lat, punktualnie o 2-iej, na ulicy ukazywał się szalony motocyklista z otwartym tłumikiem i motorem ryczącym na całe gardło. Budził oczywiście całą dzielnicę, ale bezgraniczna cierpliwość zdaje się być jednym z rysów ludzi naszego czasu. Nikt widocznie nie skarżył się, nikt w napadzie słusznego gniewu nie próbował bombardować go butelkami.

Czekając — jak zapewne wielu innych — aż zmotoryzowany chuligan przejedzie i pozwoli nam spać, wyszedłem na ulicę, aby go z bliska zobaczyć. Punktualnie o 2-iej ukazał się jeden z tych metalowych smoków, będących raczej maszynami do robienia hałasu niż środkami komunikacji. Siedział na nim mały człowieczek zniekształcony przez *rachitis* czy inną chorobę kości, z nosem zaklejonym plastrem. Był to złośliwy karzeł, mszczący się za swą ułomność i marzący o posiadaniu własnej trąby jerychońskiej, jeżeli nie bomby atomowej. Nic nie przeszkodziło mu budzić mnie jeszcze przez dwa lata. Wreszcie znikł. Wyglądał na chorego i zmarł zapewne śmiercią naturalną. Inaczej grasowałby do dziś.

Kilku lat *prosperity* wystarczyło, aby zmienić nas nie do poznania. Kto by pomyślał, że wszyscy niedawni indywidualiści i nonkonformiści będą tak posłusznie chodzili po malowanych znakach, wystawali na skrzyżowaniach z oczami wlepionymi w światła semaforów i na gwizdek policjanta rzucali się, niby rekruci, biegiem przez ulicę.

Pogodziliśmy się z faktem, że na asfalcie obywatele, jak w czasach karet i stangretów, podzielili się na dwie klasy, na pieszych i zmotoryzowanych. Kontakt między tymi kategoriami obywateli jest bardzo luźny, ograniczony do miejsc służących za przejście dla pieszych. Trzeba przyznać, że większość automobilistów zachowuje się na znakowanych przejściach z wyrafinowaną uprzejmością, dając pieszym przyjazne znaki ręką. Są jednak także grubianie, najeżdżający brutalnie na przechodniów i bawiący się widokiem ludzi skaczących jak zające po asfalcie.

Jeden taki najechał na mnie na przejściu, na którym znajdowało się właśnie kilkanaście osób. Wszyscy rzucili się do galopu, na jezdni zostałem sam. Z wielkim zgrzytem hamulców kierowca zatrzymał wóz o 20 cm. ode mnie. Wyglądał jak wieprz w tyrolskim kapeluszu. Obok niego siedziała młoda, elegancka kobieta. Widok ludzi uciekających jak przepiórki był zapewne spektaklem na jej cześć. Ulegając na chwilę złudzeniu, że jestem w przedwojennej Warszawie, zawołałem:

— Jak ty jedziesz, świński ryju? Masz oczy w d...?

I zwracając się do jego towarzyszek:

— Przepraszam za używanie brzydkich wyrazów w obecności tak pięknej kobiety. Przypuszczam, że jeżdżąc z tym hebesem pani już do tego przywykła.

Świński ryj przyjął obojętnie pierwszą część apostrofy, druga ubodła go do żywego. Czerwony, otworzył usta, ale rozmyślił się.

Obejrzałem się na świadków tego drobnego zajścia. Tylko jeden chłopiec śmiał się, być może ze mnie. Inni zachowywali zwierzęcą powagę. Czułem, że wszyscy są przeciw mnie. Byłem w kraju protestanckim, gdzie bogactwo uchodzi za dowód szczególnego błogosławieństwa niebios. Mój brak respektu dla widomych oznak zamożności graniczył z bluźnierstwem. Niektórzy z obecnych, chwilowo spieszeni, posiadali zapewne własne wozy, inni mieli je kupić za rok czy za miesiąc i poczuwali się do pewnej solidarności z świńskim ryjem. W moim zachowaniu się wyuczowali jakiś zdrożny opór przeciw uznanym prerogatywom. Broniąc swoich praw pieszego, obniżałem w jakiś sposób domniemaną uprzejmość automobilistów.

Zresztą, nawet gdyby świński ryj mnie przejechał, nie wypadało mi gniewać się lub protestować. Byłby to jeden z niezliczonych „wypadków”, skutek nieuwagi kierowcy, złego obliczenia przezeń odległości, wadliwego działania hamulców. Według ustalonych pojęć dobrze wychowany przechodzień przyjmuje śmierć na asfalcie z uśmiechem, uchylając kapelusza: „Witaj Kostusiu”. Rzecz dziwna, podczas ostatnich wojen o hegemonię Europy uczestnicy ich, ulegając wojskowej dyscyplinie, nie byli zupełnie pewni, czy sformułowane przez demagogów cele i zadania uprawniają istotnie do zadawania śmierci i wymagają ofiary krwi. Gdy zabawa ze śmiercią na asfalcie stała się rodzajem gry towarzyskiej, nikt zdaje się nie mieć wątpliwości. Ludzkość zmotoryzowana siadła do gry, wysokość stawek jest znana, przegrywający płaci bez słów. Na asfalcie cena życia spadła do niepokojąco niskiego poziomu. Takie rzeczy widziano w czasach wojny i zamętu. „Nie zabijaj. Kto powiedział te niepotrzebne słowa?” — pisał B.W. Sawinkow w latach wojny domowej w Rosji. Kto jednak przewidywał, że posępny cień, jaki od wieków człowiek rzuci dokoła siebie, będzie mu towarzyszył także w dniach pokoju i zamożności? Coś zmieniło się w naszym stosunku do śmierci.

Obecna jednorodność w tych sprawach nie wytworzyła się od razu. W pierwszych latach powojennych przed sądem w Bazylei stanął automobilista, który w stanie nietrzeźwym zranił ciężko dwóch przechodniów i uszkodził pięć wozów. Sąd skazał go na trzy miesiące więzienia z zawieszeniem, nie odbierając mu nawet prawa jazdy. Wyrok ten wywołał wówczas wiele krytycz-

nych komentarzy. Zdawało się, że sąd stosuje inną miarę do automobilistów i do pieszych. Wyobraźmy bowiem sobie pieszego przechodnia, który by w nietrzeźwym stanie okaleczył dwóch automobilistów i zdemolował pięć wozów. Czy mógłby liczyć na równie łagodny wyrok? Na pewno nie.

Po kilkunastu latach wyrok bazylejski zdaje się być genialną antycypacją lat *prosperity*. Według ustalonych obecnie pojęć automobilści sądzeni są za opilstwo, za nieostrożną jazdę, za niedbalstwo, słowem za grzechy lżejsze. Leżące na asfalcie trupy nie mają jak gdyby z nimi nic wspólnego. Po odbyciu lekkiej kary winowajca wraca do domu czysty, skropiony hizopem. Nikt nie odwraca się na jego widok. „Olibriusowie — mówią — mieli przykry wypadek: przejechali dziesięcioletnią dziewczynkę. Trzeba ich trochę rozerwać. Zaprośmy ich jutro do teatru”. Wypadek taki może się zdarzyć każdemu, zaczynając od sędziego. Muszą się z nim liczyć także ci, którzy za rok czy za tydzień wyjadą własną maszyną na ulicę. Dając wszystkim możliwość lub nadzieję nabycia własnego wozu, lata *prosperity* przyniosły jednorodność w ocenie uprawnień i przewinień automobilistów.

Rzadko się zdarza, aby kierowca znał przedtem ofiarę swej, powiedzmy, lekkomyślności. Zakładamy więc u niego z góry brak zamysłu, jak gdyby złe zamiary można było żywić tylko wobec znajomych. *Crime gratuit*, przestępstwo nieumotywowane, które pasjonowało niegdyś André Gide'a, znikło z naszego pola widzenia. „Lafcadio z *Lochów Watykańu* — mówi się — jest tworem wyobraźni”. Nie wiem, czy sąd taki jest słuszny. Gide zasiadał na ławie przysięgłych i z rozpraw sądowych wyniósł w tych sprawach pewne doświadczenie.

Lafcadio ukazał mi się w nowym świetle, gdy spotkałem się z *crime gratuit* w jego czystej i skrajnej formie. Było to przed 37 laty, gdy w towarzystwie mego przyjaciela, psychiatry berlińskiego G. Adama, zwiedzałem szpital dla chorych umysłowo w Tworkach. Wśród ciekawych wypadków, jakie doktor Łuniewski, naczelny lekarz szpitala, pokazywał niemieckiemu koledze, najdłużej zatrzymała nas rozmowa z 19-letnim chłopcem, wielokrotnym mordercą. Przesłany do szpitala na obserwację, nigdy już nie miał opuścić jego murów. Podczas pobytu w zakładzie młody delikwent popełnił jeszcze jedno morderstwo. Wdrapał się w parku na wysokie drzewo i w oczach dozorców zeskoczył na pięciometrowej wysokości mur, otaczający tę część szpitala, z muru zaś zeskoczył na przylegające do zakładu kartoflisko, Okólną drogą, przez główną bramę, dozorczy dopędzili go po pięciu mi-

nutach, ale za późno. W ciągu krótkich chwil wolności młody przestępca zdążył zamordować kopiając kartofle kobietę.

O swym ostatnim zabójstwie opowiadał chętnie i szczegółowo. Był to szczupły blondyn, twarz miał szeroka, trochę asymetryczną, oczy niebieskie, spojrzenie jasne i życzliwe. Lekarze w Tworkach byli zapewne pierwszymi ludźmi, którzy starali się go zrozumieć i toczyli z nim długie rozmowy. Ślady tych rozmów widoczne były w jego relacji. Opowiadał jasno i rzeczowo, jak gdyby mówił o kimś innym: krok za krokiem, gest za gestem, szczegół za szczegółem, bez żadnych luk, przez które można by dostrzec intencje lub refleksje opowiadającego. Był to jak gdyby referat behaviourysty, dla którego zachowanie się człowieka składa się z samych odruchów.

Słuchając go przypomniałem sobie powieść Gide'a. Między Lafcadiem, wyrzucającym z okna wagonu nieznanego pasażera, i młodym przestępcą z Tworek były uderzające zbieżności. Ten sam wiek, ta sama rozmowność i skłonność do zwierzeń, ta sama wreszcie łatwość wciągania się w grę myśli. Była także istotna różnica. Lafcadio Gide'a był tworem złożonym, pełnym sprzeczności i niedopowiedzeń, wzorowanym na ludziach żywych. Natomiast Lafcadio mówiący do mnie w Tworkach był podobniejszy do tworu myśli, do zadrukowanej stronicy, do schematu człowieka, uproszczonego do poziomu niezłożonego mechanizmu.

Wydaje mi się dziś, że tylko ta skrajna prostota pozwoliła rozpoznać w nim chorego umysłowo. Lafcadio z Tworek był wiejskim chłopakiem bez wykształcenia, działającym na własną rękę. Przestępca naiwny, nie mógł wywieść w pole sędziów i psychiatrów. Wystarczy jednak być może trochę wyobraźni i sprytu, aby zmylić ślady, ująć internowania i nawet zachować prawo jazdy.



Mimo że wszyscy dziś są rzeczywistymi lub potencjalnymi właścicielami samochodów, posiadanie własnego wozu uchodzi wciąż jeszcze za widomy znak awansu społecznego. Łatwo tu jednak przekroczyć granice tego pojęcia. Dwukrotnie widziałem na ulicach Berna Mercedesy 300S, maszyny osiągające 280 km. na godzinę. Do czego mogły służyć w kraju, gdzie nie ma nawet jednego kilometra drogi prostej? Spełniały zapewne rolę ciężkiego motocyklu w rękach kaleki z plastrem zamiast nosa.

Mówiąc o awansie społecznym mamy zwykle na myśli jego szczeble niższe, dzielące niedożywionego od odchudzającego się, bezdomnego od właściciela domu, bosego od posiadacza samochodu. Potrzeba i dobra racja tego awansu jest tak powszechnie

uznana, że nic, zdawałoby się, nie potrafi go zatrzymać. W latach prosperity miliony osób wspięły się po tych szczeblach i doszły do względnej zamożności i komfortu. Ale czy komfort bez ambicji wystarczy?

Przed ambitnymi otwierają się niezliczone drogi dalszego awansu. Milionerów dziś nie brak, ale w tej kategorii jest jeszcze wiele miejsca dla ludzi nowych. Są i inne drogi. Wielu oglądających komiksy przejdzie być może do kupowania obrazów, znużeni telewizją kupią abonament do opery. Znajdą się być może i tacy, którzy — jak niegdyś Gotowie i Longobardzi — zapragną poznać arkana gramatyki łacińskiej i innych dyscyplin ezoterycznych. Co do mnie, z wielką przyjemnością widziałbym ich wszystkich z tytułami baronów Św. Imperium, w nadziei, że obwieśzeni orderami Złotego Runa będą robili mniejszy ścisk w tramwajach.

Moja sympatia przestałaby jednak im towarzyszyć, gdyby skusiły ich laury Juliusza Cezara. Od boskiego Juliusza bowiem jeden już krok tylko dzieliłby ich od szalonych cesarzy i dyktatorów, którzy zabijali dla utrzymania się przy władzy, dla przykładu, dla zabawy i wreszcie z przyzwyczajenia. „Zabijanie osobników płci męskiej było zawsze najwyżej cenioną rozrywką” Skąd pochodzą te dziwne słowa? Lekarz i uczone francuski René Quinton, służący ochotniczo w armii francuskiej w 1914-1918, zapisał je w swym notatniku.



Niebezpieczeństwa asfaltu nie zrażają nikogo. Pociąg do gier niebezpiecznych towarzyszy nam od Adama i Ewy. Kto wie, ilu naszych współczesnych, rozmiłowanych w komforcie, oparłoby się urokowi zaproszenia na polowanie z oszczepem na tygrysy, w towarzystwie dworzan Dżengis Chana? *Gefährlich leben*, wołał Nietzsche, *vivera da leone*, powtarzał za nim nieopatrny Benito.

Wielu jeździ tak nieostrożnie, że w razie śmiertelnego wypadku trudno stwierdzić, czy nie chodziło o zamaskowane samobójstwo. Prawda, że i własnowolna śmierć bywa podobna do wypadku. Słyszałem od psychiatrów, że prawdziwi samobójcy mają swój ostatni gest wciąż przytomny w pamięci, i że wystarczy im spojrzeć w lufę rewolweru lub wychylić się z okna, aby gest ten stał się rzeczywistością. Ale to jest inna historia, jakkolwiek też związana z niebezpieczeństwami asfaltu.

Śmierć na asfalcie jest w istocie czymś głęboko różnym od samobójstwa. Gdy o niej mówię, przychodzą mi na myśl słowa Mallarmé'go: „*Victorieusement fuit le suicide beau*”. Co znaczą te słowa, ustawione w tak dziwnym porządku? Mallarmé był

poetą hermetycznym, i sens jego wierszy nie da się opowiedzieć prozą. A jednak przytoczone słowa zdają się oświecać w jakiś sposób obecną sytuację na asfalcie.

Rzecz w tym, że rodzaje śmierci posiadają też pewną tradycyjną hierarchię. Za wszystkich czasów usiłowano nadać jakiś sens i jakieś *decorum* tej przykrej i pospolitej przygodzie. Najgłośniejsz chwalona i podawana za przykład do naśladowania była szlachetnie umotywowana śmierć z wolnego wyboru, wzorem Leonidasa czy Seneki.

Według Seneki śmierć z wolnego wyboru była gwarancją godności osobistej Rzymianina, mogącego w każdej chwili uchylć się od upokorzeń, od zemsty bogów i złośliwych figli fortuny. Z pięknych stronic, jakie poświęcił tym rozważaniom, wywodzi się mit szlachetnego samobójstwa, broniącego wolności i godności człowieka. Śmierci na asfalcie, mimo pozornych podobieństw, brak motywacji. W oparach benzyny — mówiąc słowami hermetycznego poety — ucieka od nas piękne samobójstwo. Pozostaje absurdalny przypadek i złośliwy figiel fortuny, od którego rzymski filozof radził uchylać się, nawet za cenę życia.

Paweł HOSTOWIEC

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Robinson Jeffers

FRAGMENT ROZMOWY

— Jeżeli Jeffers stracił mir w kołach literackich, nic mnie to nie obchodzi. Te koła w każdym momencie są posłuszne naśladowanemu stylowi, a to co im się zwykle podoba to jest w dziewięćdziesięciu procentach mięksiz. Jasne, że skoro na poezję amerykańską oddziaływał tak silnie T.S. Eliot, powstały różne przyzwyczajenia i Jeffers zaczął wydawać się niemal prostacki. Czy jego filozofia. Bo przecie filozof, w znaczeniu dawnym, starożytnym tego słowa. Otóż taka łąpczywość nie może nie razić: zamiast żeby okólnie, przez symbole i metafory, on wprost, sentencjonalnie, stąd u czytelnika jakby popłoch. Ale Jeffers jest niemal jedynym poetą stulecia, który próbował pisać nowe *De Natura Rerum*. Czy ktoś zgadza się z Lukrecjuszem czy nie, powinien go uszanować, tak samo Jeffersa. Ja zresztą myślę, że zaszło tu szczególne opóźnienie filozoficznych wątków, które spotyka się w Rosji i w Ameryce, co nie znaczy, że te same wątki, najpierw pojawiające się w zachodniej Europie, nie nabierały gdzie indziej większej dobitności, większej siły. Na przykład Dostojewski. Jeffers studiował na uniwersytecie medycynę i biologię, zbudował sobie „światopogląd naukowy”, choć jego wszechświat ciągle bardziej może Newtona niż Einsteina. To zderzyło się u niego z zaprzeczonym dziedzictwem protestanckim, ściślej, kalwińskim, stąd obsesjonalna niechęć do Chrystusa, i z dobrą znajomością greki. Czyli gdyby nie czytał nawet Nietzschego, składniki podobne. A powiedziałbym, że Jeffers jest jedynym poetyckim następcą jakiego doczekał się Nietzsche. Północne skąły połączone z mityczną Grecją. A weźmy choćby jak Jeffers przedstawia Orestesa: stanięcie poza dobrem i złem, nadczłowieczeństwo. I tak u niego ciągle. Przyjęte jest dziś krzywić się na

Nietzschego, ale bierze się z niego pełnymi garściami, bo przecie obwieszczał, że Bóg umarł. Albert Camus mi mówił, a i tak to przecie jasne, że lektura Nietzschego była dla niego przeżyciem kluczowym. Pewnie, kulturalna subtelność ma dziś sposobu, żeby podstawowe pytania, które gnębiły Nietzschego uchylać, wymigiwać się im. Niemniej, jak ktoś słusznie już dawno powiedział, kiedy odrzuci się chrześcijaństwo, automatycznie wraca się w grecki „świat gniewu”. Czyli Przeznaczenia, które nie zna ni dobra ni zła. Tak że odsyłać Jeffersa między literackie zabytki jest grubo za wcześnie i przewiduję, że jeszcze dużo będzie się o nim rozprawiać.

— Naturalnie, Jeffers intelektualistów uraził. Dla kogoś, kto przyjmuje, znów, po stuleciach, wiecznie powtarzające się cykle, wieczny powrót, cywilizacja ludzka nie ma większego sensu. Ludzkość płodzi się, zabrzydza planetę, a śmierć zakrywa ręką usta i podśmiechuje się patrząc na pychę rzekomych władców materii. Aż uderzy — i ludzkość przeminie jak przeminęły inne gatunki. Po czym wszystko zacznie się znów od początku. Człowieka Jeffers podziwiał dlatego że jest on zdolny do największego we wszechświecie bólu, do znoszenia tortury, zadawania tortury. Stoickie nadczłowieczeństwo Jeffersa jest może wynikiem współczucia nie-do-zniesienia. Ale kto tak ogląda ludzi, biologicznie, tylko jako najwyższe organizmy zwierzęce powołane do największego bólu, musi wszystkie tragedie połączyć w jedną tragedię, wszystkie walki pomiędzy ludźmi zmienić w jedną walkę, pozbawioną celów, racji, posłuszną prawom Natury. Nie jest to najlepszy sposób rozwikłania czegoś w historii czy polityce. Jeffers wyszydzał wiarę w postęp jako mutację chrześcijaństwa (czym jest, niewątpliwie). Powody skłaniające jakiegokolwiek zbiorowisko ludzkie do zmagania z innym nie były dla niego lepsze niż powody na jakie powoływał się przeciwnik. Dotychczas pamięta się stanowisko Jeffersa podczas ostatniej wojny. No tak, przyznaje się, że nie opowiedział się za faszyzmem jak Ezra Pound, ale był izolacjonistą. Co znaczyło: jeden wilk przegryza gardło drugiemu wilkowi, dlaczego ma do tego mieszać się Ameryka? Zbrodnie, ludobójstwa? Jak zwykle w takich razach, propaganda, nikt nie jest lepszy. Swoją filozofię Jeffers nazwał „in-humanizmem”. A intelektualiści chcieli zasłużyć na epitet humanistów. I niechęć do Jeffersa przetrwała. Zauważmy jednak, że Jeffers, bardzo radykalny w swojej zabójczej logice, kwestionował same fundamenty ich humanizmu, w które nie chcieli zaglądać. Tak że czy nie za łatwo po prostu od niego się odwrócić?

— Mnie Jeffers zawsze odpychał i nie zająłbym się nim, gdyby nie Kalifornia. Tutaj sprawdza się ta prawda, że chcąc zrozumieć poetę, trzeba poznać jego kraj. Jeffers wyraził mon-

strualność, „enormity”, dzikich gór i oceanu, to tło na którym człowiek jest jakby zaprzeczony, przekreślony. Nawet drzewa, które już rosły kiedy Cezar podbijał Galię, kpią. I Jeffers, cokolwiek się powie, jest jedynym wielkim pisarzem tego kraju, bo przecie nie Bret Harte, nie Frank Norris, nie Jack London. A dokładniej, nie Kalifornia w ogóle mnie do niego przekonała, ale jego własna okolica, gdzie sam zbudował sobie dom, gdzie żył i umieścił akcję prawie wszystkich swoich poematów: ten potrzaskany brzeg koło Carmel, Point Lobos, Big Sur — tam nic, wiatr, mgły, wrzaski lwów morskich. Całkiem północ, we władzy krwiożerczych bogów. Kiedy Jeffers raz odwiedził z żoną, Uną, ziemie rodzinne swoich i jej przodków, Szkocję, Irlandię, znalazł tam krajobraz podobny, może dlatego, że chciał znaleźć. Zresztą i kiedy czyta się jego tragedie greckie, myśli się co z tą Grecją wyrabiano: albo łagodność i harmonia Grecji estetyw, albo, jak u niego, sama ostrość, krzemienność, niemal okrutna islandzka saga.

— Rzecz ciekawa. Jeffers znał każdy zakątek koło Carmel, a już przez swoją znajomość tamtejszej flory i fauny był jednym z najbardziej przyrodniczych poetów. Jastrzębie, orły, sępy, jelenie, wieloryby, lwy morskie — to umiał. Ale w Carmel, w misji, jest grób ojca Junipero Sera, a jemu już Jeffers nie życzył udzielać żadnej uwagi. Pewnie, dzieje znikomości, przemijalności ludzkiej. Z całej organizacji, z nauczania Indian rolnictwa i rzemiosł, gromadzenia ich w teokratyczne komuny nic nie zostało, misje franciszkańskie rozdrapały władze kiedy Meksyk uzyskał niepodległość, Indianie uciekli w góry albo zostali parobkami białych panów, a zaraz potem zaczęli wymierać. Niemniej zabytki mnie wzruszają: żarna, warsztaty, rzeźby indiańskich artystów, jak choćby ten cały ołtarz w misyjnym kościele w Santa Barbara, z drzewa, ale imitującego marmur, bo zakonnicy mieli pewność, że jak ołtarz, to musi być z marmuru. Ojciec Junipero, co za siła woli w tym małym człowieczku z Majorki — żeglować za morza, wędrować setki i setki mil pustynią, założyć łańcuch misji, żeby zbawiać dusze, nie zapominając i o ciele Indian. Ale Jeffers odwrócił się od cywilizacji, bo znikomość. Sądząc z jego pism, więcej wiem o Kalifornii XVIII wieku niż on wiedział, czy przyznawał, że wie. Przeszłość indiańska nawiedzała go ciągle, to prawda, ale jako fantomy, jęk w powietrzu, nie jako szczegół.

Ale i po nowsze dzieje Kalifornii nie sięgał. Johann August Sutter był awanturnikiem, chwilami łajdakiem, zgoda. Ponieważ na Pacyfiku nie ma Murzynów, zorganizował handel kanakami łapanymi na wyspach Polinezji. Kiedy jednak włóczęga, który uciekł z Bazylei bo ścigali go wierzyciele łąduje na pustym wybrzeżu, sam, i po niewielu latach ma swoje państwo rozciągające

się od Sierra Nevada do Pacyfiku, Nową Helwecję, dużo większą od jego rodzinnego kantonu w Szwajcarii, buduje akwedukty, młyny, zakłada winnice, sprowadza fortepiany Pleyela wleczone przez cały kontynent na grzbietach mułów, jest nad czym się zastanowić. I jego upadek, patetyczny, jak upadek szekspirowskich królów. Ale ta biografia posłużyła za temat nie Jeffersowi tylko francuskiemu poecie rodem zresztą, tak jak Sutter, z Szwajcarii: Blaise Cendrars. Bo dla Jeffersa przygody Suttera były częścią tego skażenia, które samym swoim istnieniem człowiek wprowadza w przyrodę, jedynie piękną. Jeffers klęczał w zachwycie przed Bogiem, w niczym nie podobnym do Boga biblijnego: obojętnym, anty-ludzkim, zajęтым tylko swoją własną sprawą tj. kreacją bez początku i końca, utożsamionym z Naturą. I co człowiek znaczy wobec piękna skał, gwiazd, zachodów słońca?

— Nie ukrywam, że długie poematy Jeffersa mnie irytują. Nie lubię powieści, kto może czytać te brednie, a tu w dodatku powieści wierszem. Niejako poetycki odpowiednik „novel of violence”, Faulknera, Hemingwaya. Plus jeszcze większe przechylenie się ku naturalizmowi, co wynika z samej filozofii autora. Tylko że skoro już przebrnie się, z buntem, przez te nieskończone: „on powiedział”, „ona odrzekła”, przez opisy kazirodczych miłości i morderstw na samotnych *ranchos* w górach nad oceanem, cała powieściowość okazuje się złudna, zostaje, bardzo trwałe, osad dręczącego snu i właściwie to są sny, koszmary. Żeby pokazać, że człowiek jest namiętnością daremną. Upór z jakim potem powracają obrazy przekonuje nas, że więcej tam symbolów niż się przypuszczało. Jeffers wyjaśniał np. dlaczego ciągle używał motywów incestu: człowiek zanadto chwytą się swego krewniaka, człowieka, zanadto nim żyje, cywilizacja jest rodziną uprawiającą między sobą niedozwolone miłości, trzeba z tego się wyrwać; nadczołwieczeństwo równa się pozostawieniu człowieczeństwa poza sobą.

— Ponury, mizantropiczny i w zachwycie nad urodą Uniwersum, Jeffers wyzywa, zmusza żeby przeciwstawić mu własne rezerwy, jeżeli ma się go przeciwstawić. Na nim można wypróbować własną muskulaturę. I do tego sprowadza się sens pisania o nim.

Czesław MIŁOSZ

TOR HOUSE*)

*Jeżeli będziesz chciał znaleźć to miejsce kiedy minie kilka pokoleń
Być może z lasu który zasadziłem parę drzew*

*) Tak Jeffers nazwał swój dom, który sam zbudował nad Pacyfikiem.

*Przetrwa, ciemnolistne australijskie czy tutejszy cyprys
Oszroniały od soli sztormów. Choć diablami są ogień i topór.
Szukaj fundamentów z wytartego morzem granitu, moje palce
W kamieniu umiały krzesać miłość do kamienia, trafisz pewnie*
[na ślady.

Jeżeli jednak będziesz rozglądać się tutaj po dziesięciu tysiącach
[lat,

*Granitowy głaz na granicie, język lawy
W środku zatoki, przy ujściu rzeki Carmel,
To wtedy, choć zmienią się nazwy, zostanie.
Poznasz miejsce po dzikim zapachu wiatru,
Nawet gdyby ocean przybrał czy cofnął się trochę.
Poznasz po dolinie w głębi łądu, która nasze słońce i księżyc
Rodziła, nim przesunęły się bieguny: i Orion w grudniu
Zawieszony był w gardle doliny jak rzeźbiście oświetlony most.
Przychodząc rano zobaczysz białe mewy
Jak snują taniec nad niebieską wodą, ubywający księżyc
Mając za towarzysza; duch to wędrowny,
Bielszy niż jakiegokolwiek ptaki na świecie.
Mego ducha nie masz co szukać. Jest on prawdopodobnie
Tu, ale ciemny, głęboko w granicie, nie tańczy na wietrze
Między szalonymi skrzydłami i dziennym księżycem.*

RADOŚĆ

*Choć radość lepsza niż smutek, radość nie jest wspaniała.
Spokój jest wspaniały, siła jest wspaniała.
Nie dla radości goreją gwiazdy, nie dla radości
Sęp rozwija szare żagle w niebie
Nad pasmem gór. Nie dla radości góra
Stoi a lata sączą się jak woda
Z jej startych boków. „Nie jestem góra ni ptak,
Nie jestem gwiazda, ja szukam radości”.
To słabość twego plemienia: a jednak w końcu
Cisza okryje te marzące oczy.*

STATKI WE MGLI

*Gry i turnieje, scena, pstrokaczna sztuk, skoki tancerzy,
Rozlewne głosy muzyki
Mają urok dla dzieci ale brak im szlachetności; surowa powaga*

Jest tym co przydaje piękna; tylko dorosły
Umysł już wie.

Mgła owinęła ocean,
Odzywało się w niej pulsowanie motorów.
Tam, w odległości rzutu kamieniem, między skałami i pianą
Pojedynczo przechodziły cienie,
Pół-jawa, cienie, rybackie kutry,
Jeden za drugim, obryw skalny biorąc za przewodnika,
Trzymając się trudnej ścieżki między mgłami morza
I groźbą piany przy granitach brzegu.
Jeden za drugim, w ślad za pierwszym, sześć ich prześliznęło się
[koło mnie,

Wylaniając się z oparu i ginąc w oparze.
Cierpliwe, ostrożne tętno ich motorów przyciszała mgła,
Okrężały powoli półwysep
Wracając między boje portu Monterey. Stado pelikanów
Nie może być miłsze oku. Rój planet
Nie jest wspanialszy. Wszelkie sztuki bledną
Wobec istotnej rzeczywistości
Stworzeń zajętych swoimi sprawami pośród równie
Poważnych żywiołów natury.

SKAŁA I JASTRZĄB

Oto jest symbol w którym
Wiele tragicznych gniewnych myśli
Spotyka siebie oko w oko.

Ta szara skała, wznosząca się
Na cyplu gdzie morski wiatr
Nie pozwala rosnąć żadnemu drzewu,

Zahartowana w trzęsieniach ziemi, podpisana
Wiekami burz. Na jej szczycie
Siedzi jastrząb.

To, myślę, twoje godło
Do zawieszenia w przyszłym niebie.
Nie krzyż i nie ul

Ale to. Jasna siła, ciemny spokój.
Zaciekła świadomość połączona z ostatecznym
Niezainteresowaniem.

Życie i krzepka śmierć. Trzeźwe oko,
Realistyczna gra jastrzębia,
Ich zaślubiny z masywnym

Mistycyzmem kamienia
Któremu ani porażka nie bolesna
Ani sukces nie przysporzy dumy.

W OBRONIE ZŁYCH SNÓW

(D w i e p i e r w s z e c z ę ś c i)

I

W świetle fioletowym, ciężkim od rdzawych sekwoi
Zbocza spadają ku morzu, strome leśne wglębienia biegnące
W nagłe urwisko. Niżej, na morskiej skale
Samotna polana; kukurydza, strumień, dach spod zachowanych
[drzew. I ocean
Jak wielki kamień przecięty, wygładzony do połysku. A za nim
Zarząca się fontanna, niesamowity blask
Od słońca które zaszło.

Na polance kobieta
Wymierza karę koniowi. Przywiązała konia do drzewka
Na skraju lasu. Kiedy wielki bic
Chlasnął, koń stanął dęba, omal nie zerwał postronek.
Zawołała więc z domu chłopca, swego syna. Ten przyniósł
[łańcuszek

I pracując razem zacisnęli zardzewiałe ogniwa
Koniowi wokół języka, przywiązali za opuchły język
Konia do drzewa. Z wysokości mali jak owady.
Poza wszelką ludzką proporcją. Nie do zobaczenia
Krew sącząca się na metal, dreszcz zwierzęcia.
Tylko bardzo długa szyja i nogi
Szeroko rozstawione. Widać jak smaga bic, ruchy
Ramienia. Nie widzi się twarzy kobiety.
Olbrzymie światło wali z zachodu przez ławicę chmur,
Ocean ciemnieje, chmury błyszczą, wzgórza gasną równocześnie,
Rozpętane piękno okrywa wieczorny świat,
Nie, nie okrywa, wynurza się z niego jak Wenus
Z jaśniejącego nieba. Jak powiada prorok?
„Ja stwarzam dobro. I ja stwarzam zło. Jam jest Pan”.

II

To wybrzeże woła o tragedię jak wszystkie miejsca piękne.
(Łagodniejszym starczy mniej udręki. Ale te granitowe obrywy
Uwieńczone chudym cyprysem żądają jakiej ofiary?

Zapory z czerwonej i czarnej lawy jakiego Tytana?
Wzgórza jak ostre płomienie, tam, za Soberanes, upiorne szczyty
Nagich wyżyn pod słońcem, jakich całopaleń?)

To wybrzeże woła o tragedię jak wszystkie miejsca piękne.

Jak zaciekły duch ludzkości: ból jest jego chlebem.
Ból Boga, ból wielu dręczonych, śmierci żalosne, ohydne larwy.
[Rzekłem w sercu swoim:

„Lepiej wymyślić niż cierpieć. Wyobraź torturowanych

Abyś nie cierpiał w swoim ciele albo nie poświęcił

Jakiej żywej istoty pięknu tego miejsca”. I rzekłem:

„Pal raz do roku ofiarę tej magicznej grozie

Z dala od domu, który własnymi rękami

Zbudowałeś nad oceanem, obok sterczących głazów. Bo czymże
[jesteśmy,

Wyprostowane zwierzęta, z ustami które mówią

I trochę sierści, żeby sądzić, że zawsze nam dane

Pokarm, schronienie i władza nad sobą? Bardziej narażeni

Od innych stworzeń. Ból, strach, niezdrawe żądze

Nie są przypadkiem losu, do nas przynależą,

W nas mają legowisko”. Dałem tym wilkom pastwę,

Kazałem im gonić widma. Scigały widma, ominęły dom.

Nie jest dobrze zapomnieć nad jakie topiele

Piękno w ludzkości, płatek zgubionego kwiatu

Leci na nocnym wietrze, zanim spotka ciszę.

O ŚLICZNA SKAŁO

Zostaliśmy na noc w dzikim wąwozie Ventana Creek
nad wschodnim rozgałęzieniem.

Kamienne ściany i obrywy zawieszały las na lesie
nad naszymi głowami, klon i sekwoję,

Laur, dąb, madrone, aż do wysokich, smukłych
świerków na Santa Lucia które patrzy

Przez katarakty usypisk w przepaść koloru gwiazdy.

Leżeliśmy na żwirze paląc ogienień, dla ciepła;

po północy tylko dwa czy trzy węgle

Zarzyły się w chłodnej czerni. Garść suchych laurowych liści

rzuciłem na węgle, przycisnąłem chrustem
I położyłem się znów. Odnowiony płomień
oświetlał twarz mego śpiącego syna i jego kolegi,
Prostopadłą ścianę wąwozu za potokiem. Lekkie liście
tańczyły nad głową w oddechu ogniska. Widać było pnie
[drzew.

Ale i oko i umysł urzekła kamienna ściana.

Nic w niej dziwnego: jasno-szary dioryt,
na nim parę skośnych szwów, wygładzony
odwiecznym tarcem lawin i wody. Ani paproci ni mchu,

Czysta naga skała — jakbym widział
skałę pierwszy raz. Jakbym przenikał
przez oświetloną powierzchnię w prawdziwą, cielesną

I żywą skałę. Nic w niej dziwnego. Nie zdołam powiedzieć
ile dziwnego: milcząca zaciekłość i mocna szlachetność

[i dziecinna

ślizliwość: ten los, dokonujący się

Poza naszym losem. Jest tu, w tej górze, jak poważne,
uśmiechnięte dziecko. Umrę i moi chłopcy

Będą żyć i umrą, nasz świat będzie brnął

dalej, w mękach przemiany i odkryć. Aż ten wiek minie

I wilki zawyją w śniegu pod nowym Betlejem.

Skała będzie tu, ciężka, poważna, nie bierna: energie

Które są jej atomami dalej będą dźwigać

całą górę nad sobą. A ja, nim wiele stuleci

Tak pojemnych minęło, z miłością, z podziwem

czułem mocną konkretność tej samotnej skały.

INTELEKTUALIŚCI

Czy tak trudno ludziom stać na własnych nogach

Że muszą czepiać się Marksa albo Chrystusa albo choćby Postępu?

Jasne, że trudno. „Ach stado, stado,

Idzie noc, pełno wilków zwątpienia”. No jasne, że trudno.

Jeżeli nie spotkałeś i nie pokochałeś

Naszego niedobrego, nieludzkiego Boga

Który jest bardzo piękny i zbyt pewny siebie

Żeby chcieć wielbicieli, a w nim są owce i wilki,

Ty też rozglądałeś się być może za kościołem.

W Nim są płomieniejące gwiazdy i nędzne ciało

I co nazywamy rzeczami i co nazywamy nicością.

Jest bardzo piękny. Ci jednak, że tak długo
Samotnie wędrowali w odkupiającą rozpacz
Są zmęczeni, zakrywają oczy; i biegną do stada.

OKO

Atlantyk jest fosą burzliwą a Morze Śródziemne
Błękitną sadzawką w starym ogrodzie.
Od pięciu tysiącleci przyjmuje ofiary,
Tonące okręty i krew, błyszczą w słońcu. Tu jednak Pacyfik:
Okręty, samoloty, wojny tutaj nic nie znaczą.
Ani, jak dziś, nasz krwawy spór z dzielnymi kartami
Ani przyszła światowa rozprawa między ludźmi co patrzą na
[zachód

I ludźmi co patrzą na wschód. Żądza władzy, bitewne sokoty,
Zbrojne wędrowki: pyłek kurzu na olbrzymiej szali.
Tu, gdzie górzysty brzeg i obryw za mrocznym obrywem
Nurkują jak delfiny przez szary morski dym
W blade morze, spójrz na zachód, na tę górę wody: połowa
[planety.

Ta kopuła, to pół-globu, to wybatużone
Oko wody, wyginające się ku Azji,
Australii i białej Antarktydzie: te powieki
Nie zamykają się nigdy. Oto jest bezsenne
Oko Ziemi. Co ogląda, to nie nasze wojny.

MIEJSCOWA LEGENDA

Dwaj hiszpańscy pasterze z Monterey
Jadąc konno w bezksiężycową noc do swoich kwater na brzegu
Usłyszeli dziecko płaczące w sosnowym lesie
Na zboczach wzgórza Carmel. Przeszukali krzaki i znaleźli
Nagie niemowlę na ściółce z igieł
Zanoszące się od płaczu. Wzięli je, jak mogliby zostawić?
Jeden z nich otulił je płaszczem.
Nie ujechali jednak stu jardów, kiedy słup ognia
Trysnął z ust niemowlęcia. Ten co je wioził, wrzasnął
I rzucił znajdę w krzaki. Pędzili galopem
I nie wcześniej aż za brodem rzeki Carmel
Dali odpocząć zmydlonym koniom. To wszystko.
Historyjka, bezsensowna jak wszelka nadprzyrodzoność

Może nawet być prawdziwa, bo komu by się chciało ją zmyślić?
Ale każdy niemal z nas, bywało.
Brał do serca nieszczęsne sprawy i nadzieje, i nieźle się sparzył.

PISANE NOCĄ

Jeżeli panujesz nad sobą
Usłyszeć możesz niemal każdą rzecz. Ale człowiek musi odpocząć,
Człowiek musi spać: to jest rozluźnić kontrolę. I wszystkie chore
[demony

Biorą go w swoją władzę. Kto słyszał o miłym śnie?
Strach i wyrzut sumienia, przesadne, potworniej
I strach odpowiedzialności. To wywleka nas
Z naszych rozgrzanych łózek w gorzką czarną noc
Aż stąpamy po podłodze, drżymy, odzyskujemy kontrolę
Żeby nie leżeć i nie wyć. I mógłbym niemal przysiąc
Że teraz wielu czcigodnych kwili niby oseski.
Gryzę wargi i szukam po omacku okna
Gdzie księżyc draży wół chmur, wiatr dyszy jak pies i ocean
Szarpie swój brzeg, olbrzymim szarym pazurem
Rysując granit. Żywioty, chwala Bogu, są zdrowe.
To tylko człowiek musi zawsze czuwać, sterując przez piekło.

ROZDZIERAĆ ŻYCIE

Orzeł i jastrząb wielkimi szponami, zakrzywionym dziobem
Rwą życie na strzępy; ale sęp i kruk
Czekają aż śmierć złagodzi jego twardość.
Poeta nie znajdzie w świecie, takim jak dzisiaj, pokarmu
Zanim nie rozerwie go na strzępy; a także siebie.

PEŁNIA KSIĘŻYCA

Oczy nasze w dzień są dosyć dobre: tylko ptaki
Mają lepszy wzrok. Ale w ciemne noce
Lisy przemykają się koło nas, my ich nie widzimy. Albo lew:
Sami gotowi jesteśmy wpaść mu w paszczkę. Dlatego
Człowiek śpi nocą skulony za głazami i żarem ogniska
Bezbronny, w strachu. Aż oto nadchodzi pełnia.

Wielki czerwono-złoty krąg wschodzi wieczorem i świeci
 Całą długą noc. Jest noc a jednak widzimy.
 Dziewczeta i chłopcy wymykają się spod tyranii ojców żeby
 [spotykać się w lasach,

Wiedzmy latają ze świstem na wietrze
 I dzikie psy wyją. Zdumiałbyś się co potrafi księżyc.
 Nasze kobiety grzeją się raz na miesiąc,
 Od księżycyca ich pamięć zakazanych leśnych rozkoszy.
 Nasi wariaci podnoszą głowy i wyją
 I tłuką w ściany cel, nie mogą spać w czas pełni, zaczarował
 [ich księżyc.
 Ani astronom nie znajduje swoich porażonych blaskiem konste-
 [lacji,

Niech więc jedną noc w miesiącu ofiaruje ziemi,
 Księżycowi, kobietom i grom. A i przyptyw oceanu
 Wznosi się wyżej, czarna okrutna woda jak oswojony tygrys,
 Z cudnym piętnem Luny, bogini, na pysku
 Idzie postusznie śladami jej stóp.

ZATOKA MORRO

Piękne lata kiedy ona była ze mną
 I zwiedzaliśmy każdą skałę, każdy jar wybrzeża.
 Ona swoimi oczami nadawała życie. Dziś zatoka
 Jest brunatno-senna, gniją w niej wodorosty,
 Zapomniane rybackie łodzie cuchną w słońcu.
 Ale ciągle wielka skała jak chmura gromowa
 Wisi nad stęchłą mgłą i cichym morzem.
 Mówią, że roi się od grzechotników. To prawda: zapas
 [błyskawic

W kamiennej chmurze. Strzeżcie jej dobrze, źmije.
 Normandzka skalna głowica na Mont St. Michel
 Mogła być kiedyś tak piękna jak ta
 Zanim nie zabudował jej człowiek.

Przełożył Czesław MIŁOSZ

(Przełożone przez Czesława Miłosza wiersze pochodzą z następujących czterech zbiorów poezji Robinsona Jeffersa, wydanych przez Random House, Inc., New York: *The Selected Poetry*; *The Double Axe and Other Poems*; *The Hungerfield and Other Poems*; *The Beginning and the End and Other Poems*).

Dziennik transatlantycki

Moje zapiski z tej podróży? Proszę.

Sroda, 10-go kwietnia

Burza minęła. Morze łagodne. Podchodzi do mnie dama: — Senior Gombrowicz? To znajoma, jak się okazuje, Ernesta Sabato, Argentynka z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przedstawia mnie swojej przyjaciółce -milionerce, która już dwudziesty piąty raz odwala podróż do Europy. Dowiaduję się od nich, że znajduje się na statku nowy chargé d'affaires poselstwa argentyńskiego w Warszawie.

Chargé d'affaires zaprasza na drinka.

Rozmowa o dramatycznych sytuacjach, jakie powstają wskutek tego, że dla władz polskich Polak zamieszkały w Argentynie i przyjmujący obywatelstwo argentyńskie, nie przestaje być obywatelem polskim.

Koniak.

Spotkanie z multimilionerką i z chargé d'affaires napelnia otuchą odnośnie do 250.

Kawa.

Korespondencja. Szachy z lotnikiem.

Wciąż po lewej stronie majaczą się, tam gdzie wzrok się kończy, góryste brzegi Brazylii.

Czwartek 11-go

Wczoraj Santos.

Dziś Rio de Janeiro.

Do diabła pejzaże! Pejzaże są szalenie głupie! Dużo wolę

drobną nawet kradzież. Tak sobie wyjść ze statku na godzinę, stanąć na rogu nieznanym i ukraść... chociażby to powiniędie się nogi przekupnia, któremu wypada z ręki pęk bananów, który to pęk potrącony zostaje przez dziecko... ukraść to coś, do czego się nie ma prawa, coś dziejącego się „tam, w Santos”, złapać, zabrać!

Nudna euforia Murzynów.

Sobota

Rozbawienie, rozplawienie, kolory i blask, cicho, ciepłej i dużo ciepłej, lśnienie drzemiące w smugach i w oparach, obłoki rozczapierzone słońcem, ryby wyskakujące, fantazje i korowody słoneczne, za nami smuga bulgocząca, rozpieniony ogon, oni się zabawiają, gry i zabawy, leżaki i wylegiwanie, aparat w buciku, blask boli, uruchomiono basen, skaczą, wyłażą prychnając, skaczą, pogawędki, rozmówki, przemysłowiec ha, ha, ha (tubalnie), wyjęła notes, tamten się skrobie, ja, *bitte sehr, buen giorno*, obraziła się chyba, odeszła, może nie, machnął, czyje to, połyskuje mosiądz, dobrze skoczył, która godzina, och, nie, jak to było wtedy z tym... kto w końcu... kuropatwa, dlaczego nie umiał, o, gęsi przegub w plecach, co by było gdyby... lokomotywa... lokomotywa... na przykład..

„Na przykład” to doskonałe słowo, wygodne, ułatwiające, mnie już kiedyś mówił Adaś Mauersberger, chyba w Konstancynie, na werandzie, że takie słowa jak „na przykład” albo „właściwie” ułatwiają... można za ich pomocą powiedzieć wszystko, nawet coś oczywiście niezgodnego z prawdą, można powiedzieć „właściwie chleb z masłem smakuje, jak czekolada”. Rozniebieszczenie rozprzestrzeniającorozleniwiające i czyż nie lepiej zostawić, nie ruszać, pozwolić żeby odpłynęło i żegnaj... Argentyno, Argentyno, Argentyno!

Argentyno! Senny, zmrużony, znużony, znowu szukam jej w sobie — z całej siły — Argentyno! Ciekawe tylko i chciałbym to wiedzieć, ciekawe, dlaczego mnie w Argentynie nigdy nie przytrafiła się taka namiętność do Argentyny? Dlaczego to mnie napada, gdy się oddaliłem?

Boże mój, ja który ani przez moment Polski nie kochałem... A teraz na głowie stoję żeby kochać Argentynę!

Ciekawe też, że tobie dotąd słowo „miłość” było zakazane. A tu teraz doznajesz bezwstydných ataków miłości. Och, och, och (trudno mi się to pisze, trudno redaguje — jak zawsze, gdy wzmagam w sobie szczerłość, wzmagają się też ryzyko szarzy, zgrywy,

a wtedy stylizacja staje się nieunikniona)... I pewnie — myślałem — pewnie to wszystko nie jest niczym innym, jak tylko sprawą oddalenia: nie kochać Polski, bo się z nią było za blisko, kochać Argentynę, bo zawsze miałem ją w pewnej odległości, kochać właśnie teraz, gdy się oddalam, odrywam... i dlatego że, pewnie, na starość można śmieiej domagać się miłości, ba, także piękności... bo one już pojawiają się w oddaleniu zezwalającym na większą swobodę... i one, może, na dystans są bardziej *konkretne*. Tak, i przeszłość swoją można kochać z oddalenia, gdy się oddalam nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni... uwożony, poddany nieprzerwanemu procesowi oddalania się, zrywania, i, w tym oddalaniu, trawiony pasją miłości do tego co się oddala ode mnie. Argentyna — przeszłość, czy kraj?

Poniedziałek

Furkocze brezent — pieni się smuga — ogon bulgocze — szumi płynięcie — dużo leżaków — gry i rozmowy — aaach, gwar ściszony, senne rozbawienie, aaach, błyszczący kant, lśni mosiądz, liny i drażki kreślą się siatką jedwabistych cieniów, sól i dał, chwiejność w niebieskości i mówi ktoś *traigalo aqui*, ktoś się przewraca na drugi bok, powietrze.

Wyszukiwałem sobie punktów wypadowych, z których mógłbym przerzucić się do Argentyny rodzajem tygrysięgo skoku opanowanego. Był tam chłopczyk, dziesięcioletni może, Daniel, Urugwajczyk, skaczący do basenu... o takiej łatwości cielesnej, że nawet jak na Amerykę ta łatwość była już za łatwa. Nieskazitelność skóry miękkiej, ciemnej, pod którą grały mięśnie dziecinnie sprężyste — sprawność i cisza ciała, jakby ruch każdy był naoliwiony, oczy, usta, rozkosznie, dziecięco roześmiane, czupryna czarno falista i miękka, żywość roziskrzona — i poufałość niewiarygodna, niewiarygodnie przyjazna w garnięciu się do wszystkich — która jednak w szczytowych swoich momentach stawała się identyczna z dziką obojętnością czy nawet z dzikością po prostu, bo widać było, że jemu jest wszystko jedno do kogo się zbliża... Otóż ten chłopczyk przede wszystkim garnął się do dzieci, dopadał, łapał, podnosił, żartował, igraszka lekka, rozwichrzona, wprawiająca w ekstazę dziecięcą gromadkę, która biegła za nim w podskokach i krzyku... ale w pewnej chwili zamieniająca się w dowolność dziko obojętną i, zresztą, nie mniej poufałą... Oto Argentyna!... Tak, to Argentyna!... i już zdawało mi się, że ją mam, zawartą w tym dziecku hiszpańsko-amerykańskim, dlaczegożby nie?... Jednakże obok, niedaleko, wylegiwała się na leżaku panusia o kącikach ust obwisłych, niesmak i gorycz zwiślały jej

z tych warg niczym murzyńskie ozdoby, niesmak i wstręt, chuda beznadziejność — i naraz powiedziałem sobie „to jest Argentyna” i uczułem jakby ten kraj, oddalający się i już daleki, formował mi się wedle tych ust zarówno w przeszłości swojej, jak w teraźniejszości, w miastach swoich, rzekach, górach, ulicach, kawiarniach... I cokolwiek mi się wydarzyło w Argentynie, mogło być równie dobrze wedle owego dzieciaka, co wedle obwisłości ust zgorzkniałych.. ale potem spojrzałem na podszewkę kurtki czyjejs i pomyślałem, że tą podszewką również mogę „pojąć, ująć opanować” Argentynę. Napoje. Ktoś fotografuje. Pestka. Bok. Łopocze brezent, bulgocze smuga rozpieniona, wszyscy zwracają nagle głowy w lewo, huk, wystrzał, wystrzał do krążka, i w tym zwróceniu głów jednorazowym też zawierała się jakoś Argentyna. Furczą płachty brezentu. Płyniemy. Szczyryk. Wykrzyknęła. Kółczyk i śmieć. Ciągłe coś się działo, bez wytchnienia, jak na ekranie filmowym, ani na moment nie ustawało i, nie ustając, nie dozwalało mi dokonać skoku opanowującego, o, jabym może dosięgnął przeszłości, gdyby teraźniejszość przestała się dziać!

Płachta i komin. Łokieć. Marynarz. Posługacz. Och, jakiegokolwiek uczucie ku oddalającej się niepowrotnie było niemożliwe wskutek nawału faktów... fakty i fakty... była to plejada faktów, fakty się wyroiły, chmara wydarzeń, uderzyły na mnie w moim oddalaniu się, jak szarańcza, nie mogłem wprost odczepić się od faktów, a przy tym ich rozwścieczona obfitość doprowadzała do jakiejś wścieklej ich degradacji, nic nie mogło na serio zaistnieć, bo już drugie następowało mu na pięty, nigdy nie byłem w tym stopniu pożerany przez fakty, furkocze brezent, pieni się smuga, gry i zabawy, nitka i obcas. Głupota. Kiep. Wyjąć. Zgasło. Skok. Sylwetka. Szum. Butelka. Modlić się. Kołyska. Skórka... i w szumie, w lśnieniu, w parciu naprzód, w oddalaniu się, w nadpływaniu i w odpływaniu. Och, jak mnie wysysała teraźniejszość, jak mnie osłabiała! Mijałimy północne brzegi Brazylii, „Federico” dryfował z przeciętną szybkością osiemnastu węzłów pod przychylnym beidewindem. Patrzyłem na uciekającą ziemię Ameryki. Zegnaj Ameryko! W miarę zapadania wieczoru owa degradacja faktów, o której wspomniałem, faktów wyrojonych i roztopionych w szumie, oraz rozkołysanych, zlewających się i zamazujących, jeła coraz silniej dawać się we znaki, ale nie byłem tego tak zupełnie pewny, sam będąc w szumie i rozkołysaniu, pożerany oddalaniem... ale proszę ot, chociażby takie zdarzenie, o ile mogłem dojrzeć, o ile zauważyłem, dość nawet beczelne, stało się, na przykład, gdzieś po jedenastej (i to nie w nocy, a już nazajutrz rano, w pełnym świetle), stało się, powiedzmy, że jeden z marynarzy, niejaki Dick Harties, *połknął przez nieuwagę koniec cienkiej liny, zwisającej z bezanmasztu.*

Wskutek, jak sędzę (ale nie mogę mówić o tym z całą pewnością, wiele innych faktów rozrywało moją uwagę) wskutek robaczkowej działalności przewodu pokarmowego jał gwałtownie wciągać w siebie linę i, zanim się spostrzeżono, wyjechał na niej aż do szczytu, jak górski wagonik, z szeroko otwartą, przerażoną gębą. Robaczkowa natura przewodu okazała się tak silna, że nie było sposobu ściągnąć go na dół, daremnie po dwóch majtków uczepiło się każdej z jego nóg. Trzeba dodać, że w tym czasie statek posuwał się bez przerwy, ja się oddalałem... dość, że wywiązały się jakieś narady, po długich naradach pierwszy oficer, nazwiskiem Smith, wpadł na pomysł zastosowania środków womitálních — lecz tu znowu powstało pytanie, jak wprowadzić środek do przelyku, całkowicie wypełnionego liną. Wreszcie, po dłuższych jeszcze, niż poprzednie, naradach (w czasie których chmary zdarzeń nadlatywały i przelatywały, w szumie, w zamieraniu od rozkołysania) poprzestano na działaniu przez oczy i nos na wyobraźnię.

Oto co zaszło (scena utkwiała mi w pamięci o tyle, o ile może utkwic scena oddalająca się bez przerwy). Na rozkaz oficera jeden z majtków wdrapał się na maszt i przedstawił pacjentowi na talerzu garść uciętych szcurzych ogonów. Nieszczęśliwy patrzył na nie wybałuszonymi oczami — lecz kiedy dołączono do ogonów mały widelczyk, przypomniał mu się nagle makaron włoski, jeszcze z lat dziecińczych, i zjechał na pokład tak prędko, że omal nie połamiał sobie nóg. Ja, przyznam się, wolałem nie przyglądać się znanadto scenie, która w swojej jaskrawości była osłabiona i zamierająca, podobna do zamierzchłych oleodruków skądś, z kufra, ze strychu, wyrazista, owszem, ale jak przez zakopcone szkło, jak zaprzepaszczona.

Wtorek

Zerwaliśmy z kontynentem amerykańskim. Transatlantyk, na pełnym Atlantyku, przekracza równik celując dziobem w Europę.

Ciekawość? Podniecenie? Oczekiwanie? Otóż nie. Przyjaciele, wyglądający mnie tam, których na oczy dotąd nie widziałem, Jeleński, Giedroyc, Nadeau? Nie. Paryż po trzydziestu pięciu latach? Nie. Nie chcę poznawać. Jestem zamknięty i podsumowany.

Wałasam się... i wszystko, o czym pomyśle, jest już w tej samej chwili trochę dalej. Myśl moja za mną, nie przede mną.

Telegram od Kota Jeleńskiego — że mają mi przesłać dwieście dolarów. Dotąd pieniędzy nie ma. Może w Las Palmas?

Nudno. Ani jednej ciekawszej twarzy. Szachy. Wygrałem konkurs, zdobyłem medal i jestem mistrzem szachowym statku.

Osiąganie śmierci ruchem wstecznym? (nie ufam takim „myślom”).

Sroda

Architektura.

Katedra bez wytchnienia budowana... Buduję ten gmach i buduję... nie mogę go dojrzeć. Czasem, w wyjątkowych okazjach... jakbym rozróżniał przez mgnienie oka coś... powiązanie sklepień, łuków, jakiś element symetrii... Pozory?

W 1931-ym roku... i skądże bym wiedział wtedy, że moim losem będzie Argentyna? To słowo nigdy nie dało się przeczuć.

A jednak napisałem wówczas opowiadanie pod tytułem „Zdarczenia na brygu Banbury”. Płynę w tym opowiadaniu do Południowej Ameryki. Marynarze śpiewają:

*Pod modrym niebem Argentyny
Gdzie zmysły poją cud dziewczyny...*

Ta nowelka dziwnym trafem została przed paru miesiącami przetłumaczona na francuski i może już w tej chwili ukazała się w Paryżu, w „Preuves”. Ku niej płynę.

Złudzenia! Miraże! Fałszywe związki! Żaden ład, żadna architektura, ćma w moim życiu, z której nie wyłania się ani jeden prawdziwy element kształtu — a przecież dzisiaj atakują mnie całe ustępy tego opowiadania, rodzące się we wspomnieniu, blade, zrozpaczone, jak zjawy. „Wyobraźnia niby zły pies, spuszczonej z łańcucha, szczyrzyła zęby i warczała głucho czając się po zakamarkach”. „Mam słaby umysł. Mam słaby umysł. Przez to zaciera się różnica pomiędzy rzeczami...”. „Pokład stał pustką zupełną. Morze wzburzyło się przejmująco, morka dęła z podwójną siłą, na mrocznych wodach majaczył się rozwścieczony kadłub wielorybi, niezmordowany w swoim ruchu dookolnym”.

Chcę jeszcze nadmienić, że „spotkanie” nastąpiło dziś o wczesnym świcie, na północny wschód od wysp Kanaryjskich. „Spotkanie” zamieszczam w cudzysłowie, to słowo nie jest pełnowartościowe...

W nocy nie spałem, wyszedłem na pokład zanim jeszcze dzień się zapowiedział, długo wpatrywałem się poprzez ciemność w rzecz, w którą zawsze można się wpatrywać, w wodę, ujrzałem światła kilku statków, prujących ocean ku Afryce... wreszcie noc nie powiem żeby rozwidniła się, ale szczyła, oklapła, zatraciła się sama w sobie, wówczas tu i ówdzie pojawiły się białe zagęszczenia, które w surowości coraz obojętniejszej przedświtu wy-

pełzły niczym wata i morze zaroilo się od tych białych icebergów z mgły, pośród których ujrzałem to, w co zawsze można się wpatrywać, wodę, fale rozkogucone bielą. Wtenczas wypłynął z białych opatuleń, też biały, z dużym kominem, który zaraz rozpoznałem, w odległości jakichś 3-4 kilometrów. Zaraz zapadł w kłęb mgły, znowu się wychylił, ja co prawda nie patrzyłem, w wodę raczej byłem zapatrzony... wiedząc dobrze, że to się nie dzieje, tego nie ma, wołałem nie patrzeć, ale niepatrzenie moje jak gdyby potwierdzało jego obecność. Ciekawe, że niepatrzenie może być rodzajem patrzenia. Wołałem też nie myśleć i nie czuć, gdyż nie miałem najmniejszej ochoty trwonienia myśli lub uczuć na darmo. Ale ciekawe, że niemyślenie i nieczucie może być rodzajem czucia i myślenia. Tymczasem zjawisko przepływało-nieprzepływało w fantasmagorii rozwichrzonych kłębow z operowym prawie patosem i coś, jak zatracone braterstwo, jak brat zabity, brat umarły, brat niemy, brat zgubiony na zawsze i zobojętniały... coś takiego ujawniło się i zapanowało w rozpacz głuchej i doszczętnie oniemiałej, wśród kłębow białych.

Pomyślałem w końcu o sobie na tamtym pokładzie — i że dla tamtego ja jestem tutaj prawdopodobnie taką samą zjawą, jak on dla mnie.

Potem jak gdybym sobie przypominał, że w rzeczy samej, przed laty, płynąc na Chrobrym do Argentyny, jednej nocy w pobliżu wysp Kanaryjskich nie mogłem spać i o świcie wyszedłem na pokład aby wpatrywać się w morze... i czegoś szukałem... Zaraz skonfiskowałem sobie to wspomnienie, bom się spostrzegł, że ja je teraz fabrykuję ze względów, jakieś już powiedzieli, architektonicznych. Co za mania: wpatrujesz się w kulę szklaną, w szklankę wody, i nawet tam coś ci się z niczego wysnuje, kształt...

Piątek, 20 kwietnia

Europa przede mną! Paryż!

W przede dniu Paryża, gdy powinienem mieć połysk, twardość i ostrość brzytwy, jestem zamazany, rozproszony, rozpuszczony...

W Paryżu nie byłem od roku 1928-go. Trzydzieści pięć lat. Obijałem się wtedy o Paryż jako nic nie znaczący student. Dziś Witold Gombrowicz przybywa do Paryża, a zatem recepcje, wywiady, rozmowy, narady... i trzeba przecież zorganizować sobie efekt, jadę do Paryża żeby zdobywać. Już sporo ludzi wciągniętych zostało w tę bitwę i oni oczekują ode mnie efektu. A ja jestem chory! Usta spieczone, wzrok mętny, gorączka...

W tym rozprzeżeniu mężczy mnie konieczność, o której wiem, że jest nieunikniona — to, że ja w Paryżu będę musiał być wrogiem Paryża. Szkoda gadać! Połkną mnie zbyt łatwo, jeśli nie stanę kością w gardle — nie zdołam zaistnieć, jeśli mnie nie poczują jako wroga. Nie, żadnych skrupułów odnośnie do rzetelności takiej postawy *ad hoc*, na zimno wykombinowanej, rzetelność to bzdura, nie może być mowy o rzetelności, gdy się tak nic nie wie o sobie, gdy się niczego nie zapamiętało, gdy się nie ma przeszłości, gdy się jest tylko odpływającą wciąż terażniejszością... We mgle, jak moja, skrupuły moralne?

Ale trudno o los bardziej ironiczny: żebym ja, znowu, teraz, w moim zatraceniu, odpływaniu, musiał rzeźbić siebie z tej mgły, jaką jestem — i mgłę, tuman, na pięść w sobie przerabiać!

Niedziela, Barcelona

Dotknąłem ziemi europejskiej dziś, 22-go, od dawna wiem, że dwie dwójki to moja cyfra, ziemi argentyńskiej też dotknąłem po raz pierwszy 22-go (sierpnia). Witaj, magio! Analogia cyfr, wymowa dat... nędzarzu, jeśli nie możesz w co inne, spróbuj w to siebie złowić.

Doszedłem do placu, gdzie stoi posąg Kolumba, i rzuciłem okiem na miasto, w którym, być może, osiedlę się po Berlinie na stałe (przeraża mnie każde słowo tego zdania: „Doszedłem” i „do” i „placu”, etcetera).

Przeraża mnie niewymownie i wypełnia rozpaczą, że ja siebie obnoszę po tych miejscach, jak coś bardziej jeszcze nieznanego od wszystkich miejsc nieznanych. Żadne zwierzę, płaz, skorupiak, żadne mostrum imaginacyjne, żadna galaktyka nie są mi tak niedostępne i obce, jak ja (banalna myśl?).

Wysilasz się lata całe aby być kimś — i czymże się stałeś? Rzeką zdarzeń w terażniejszości, burzliwym strumieniem faktów, dziejących się teraz, tą zimną chwilą, którą przeżywasz i która nie jest w stanie nawiązać do niczego. Odmęt — to tylko jest twoje. Nawet pożegnać się nie możesz.

Dwieście dolarów. Ani w Las Palmas, ani w Barcelonie, nie pojawiły się... Więc co? Skąd wezmę na napiwki i rachunki? Milionerka!

Poniedziałek

Cannes, w nocy, iluminacja, feeria. Zaledwie wyostałem się na łód z walizkami, przybiega panienka z agencji, wręcza mi dwie-

ście dolarów (na szczęście milionerka pożyczyła mi na statku trochę pieniędzy).

Noc w hotelu. Nazajutrz (deszcz) pędzę „Mistralem” do Paryża, góry, morze, jeziora, dolina Rodanu, huczy i pędzi pociąg, wagon restauracyjny.

Paryż o pierwszej w nocy, hotele przepełnione, wreszcie taksówkarz umieszcza mnie w hoteliku niedaleko Opery, który nazywa się Hôtel de l'Opéra.

Otwieram okno. Spoglądam wzrokiem idioty z czwartego piętra na uliczkę, rue du Helder, wciągam w płuca powietrze, którym oddychałem lat temu trzydzieści pięć, otwieram walizkę, wyciągam coś z walizki, zaczynam się rozbierać. Sytuacja jest doskonale bezduszna, zupełnie próżna, absolutnie cicha i wszystkiego pozbawiona. Kładę się i gaszę światło.

Sroda

Naprzód dzwonię do Kota Jeleńskiego. Zaskoczony (bo spodziewał się mnie dopiero za kilka dni) wybucha przywitaniem. Ale ja: — Proszę cię, Kocie, jakby nigdy nic, udajmy, że się znamy od dawna i że widzieliśmy się wczoraj. Przyszedł do hotelu, poszliśmy do kawiarni na rogu, gdzie opowiadał naprzód o rozmaitych projektach w związku z moim przyjazdem... potem zaczęliśmy gawędzić troszkę...

Tak poznałem Jeleńskiego, który, rozwaliwszy moją argentyńską klatkę, zbudował mi most do Paryża. I co? Nic. Cicho i głucho. Wróciłem do hotelu.

Co to? Możliwość znieawidzenia Paryża — ta możliwość, która mi się narzucała po prostu jako konieczność walki o byt — już zbudziła się i szuka żeru. Wystarczyło trochę tych przechodniów, zobaczonych gdym siedział w kawiarni z Kotem, akcent i zapach francuszczyzny, ruch, gest, wyraz, strój... już wybuchają we mnie antypatie, z dawna żywione. Czy już staje się wrogiem Paryża? Czy będę wrogiem Paryża? Znałem nie od dzisiaj ukryte źródła mojej paryzofobii, wiedziałem, że to miasto zahacza o moją najczulszą stronę, o wiek, o problem wieku, i, rzecz pewna, jeśli miałem z Paryżem na pieńku to o to, że był miastem „po czterdziestce”. Och, mówiąc „po czterdziestce” nie myślę o starożytności tych murów tysiącletnich — chcę powiedzieć tylko, że jest to miasto dla ludzi sięgających piątego krzyżyka. Plaże są miejscem młodości. W Paryżu czuje się w powietrzu czterdziestkę, nawet pięćdziesiątkę, te dwie starsze damy wypełniają bulwary, place, skwery.

Wszelako, jeśli teraz to odczucie przeszło mnie tak ostro, to nie ze względu na swoją treść intelektualną, a dlatego, że było zatrute poezją. Poezja zmuszała mnie do tak gwałtownej niechęci. Na ścianie mojego pokoju wisiał oleodruk, będący tą chwilą ze sklepienia kaplicy Sykstyńskiej, gdy Bóg w postaci potężnego starca nadciąga nad Adama by tchnąć w niego życie. Przeglądałem się Adamowi, który miał około lat dwudziestu i Bogu, który był po sześćdziesiątce — zapytywałem siebie, kogo wolisz, Boga, czy Adama? Dwadzieścia wolisz, czy sześćdziesiąt? I to pytanie wydało mi się szalenie ważne, ba, decydujące — gdyż nie jest obojętne jaki ideał człowieka i ludzkości śpi w tobie, jakiej piękności domagasz się od rodzaju ludzkiego, jakim go chcesz mieć, tego człowieka. Człowiek — tak — ale w jakim wieku? Przecież nie ma jednego jedyne go człowieka. Jaki człowiek jest dla ciebie właściwym człowiekiem... najpiękniejszym... najszcześliwiej uformowanym fizycznie, duchowo? A może dziecko uważasz za najwyższe osiągnięcie piękności ludzkiej? Może starca? Czy też myślisz że wszystko ponad trzydziestkę, lub poniżej, jest już „gorsze”. Wpatrując się w Boga i Adama medytowałem, że najwspanialsze dzieła ducha, rozumu, techniki, mogą stać się niezadawalające z tego jedynie powodu, iż są wyrazem wieku ludzkiego, który nie jest w stanie wbudzić miłości, ani zachwytu — i będziesz musiał je odrzucić, niejako wbrew własnemu uznaniu, w imię racji bardziej namiętnej, związanej z pięknnością człowieczeństwa. I, dopuszczając się małego świętokradztwa, odrzucałem Boga na tym obrazie Michała Anioła by opowiedzieć się za Adamem.

To zaś robiłem, by wykuć broń przeciw Paryżowi — gdyż przecie musiałem, jako literat, wyodrębnić się z Paryża. Dziwne to i przykre, że piękność bywa we mnie taka *praktyczna*...

Tego samego dnia, wieczór

Guwernantki? Guwernantki? Mlle Jeanette, potem Mlle Zwieck, Szwajcarka... ćwiczące nas, dzieci, we francuszczyźnie i manierach... ongiś, tam, w Małoszycach. Wsadzone w świeży i szorstki krajobraz wsi polskiej, jak papugi. Moja niechęć do języka francuskiego... czy nie one mi to zaszczyły? A Paryż? Czy to nie dziś, dla mnie, jedna gigantyczna francuska guwernantka? Płś Mlle Jeanette i Mlle Zwieck, zwiewnych, wokół wieży Eiffla, na placu Opery... czy to one szybują nad trotuarami?

Precz, precz, śmieszne nimfy, kompromitujące mój atak na Paryż!

(Postscriptum z zupełnie innej beczki: przeskakując duchem z Paryża na rodzime podwórko zanotuję, iż stałem się

laureatem nagrody Wiadomości za „Dziennik”. Powiem szczerze, dostarczyło mi to sporej przyjemności, a nawet uciechy. I powiem szczerze, (nic nad szczerości!), że opis mąk i drgawek szanownego Jury, zamieszczony w tymże piśmie, jeszcze bardziej mnie uraczył. Bardzo to wszystko wypadło wspaniale. Najlepsze wrażenie wywarł na mnie w tej dyskusji pan Zygmunt Nowakowski, człek zacny, szczery i nie małostkowy — najchętniej uściskałbym mu prawicę, ale wiem, że by nie chciał. Pan generał Kukiel również przemówił otwarcie, krótko i węzłowato — brawo! Pan Grubiński był wzorem ostrożności i powściągliwości, a pan Stanisław Baliński robił, co mógł, żebym nagrody nie dostał, ale zamiast to robić z klasą kręcił, intrygował i kombinował, wykazując hipokryzję raczej tuzinkową i perfidię małego kalibru — ten poeta coraz mniej mi przypada do gustu, to format zanadto kieszonkowy.

Osobom, które w tym gronie walczyły o mnie, winien jestem podziękowanie. Pan Sakowski wygłosił wielkopańskie przemówienie, szczerze tak na 75% (to już jest coś). Gdy mowa o szczerości, ubolewam, że zgromadzenie nie zdobyło się na stwierdzenie jednej ultra-oczywistej prawdy, mianowicie, że przyznano mi nagrodę pod presją, po prostu dlatego, że nie można było bez skandalu trzymać w dalszym ciągu pod korcem kogoś wielbionego przez Paryż i inne stolice (to nie stosuje się, naturalnie, do kilku członków, którzy od dawna usiłowali mnie przepchać z narażeniem własnej reputacji). Po cóż, powiedzcie, robić miny jak gdyby się odkrywało, po skrupulatnej rozwadze, zalety mego pióra, gdy Szanowne Jury dowiedziało się o tych zaletach od Francuzów i innych nacji (nie mówiąc już o wzgardzonych „cmokierach”, jak Jeleński, Sandauer i Mieroszewski)? Prawda nie grzech! Szczeroci! Człowiek zaraz inaczej się czuje! W szczególności zdziwiło mnie, iż poeta Baliński dawał do zrozumienia jakoby on już przed wojną poznał się na moich utworach. A fe, cóż to za snobizmy! Skądże tam Balińskiemu do znania się na takich świętych tajemnicach!

Dodam z nie mniejszą szczerocią, iż szanowni członkowie za wiele świadczą sobie czotobitności. Bardzo byłem zbudowany rozmaitymi pochwałami pod moim adresem, ale mina mi zrzedła, gdy przy sposobności dowiedziałem się, że pan Zygmunt Nowakowski jest „wielkim literatem”, że w jury zasiada „dziesięciu poważnych i wytrawnych znawców”, że książka Kukieła jest „wspaniała” a książka Mackiewicza to „Dostojewski o tchnieniu Tolstoj’a”, że pan Z. Nowakowski jest „niezłomny”, że pp. Kukiel i Nowakowski są „znakomici” etc. etc. Proszę panów, jeśli ja w dzienniku samego siebie sam wychwalam, to przynajmniej wiadomo, że ja sam samego siebie; ale rozdzielić samochwalstwo

na głosy i stworzyć w tym celu organ zbiorowy o polifonicznej strukturze, to już jest zbyt wielkie wyrafinowanie i nawet nabieranie gości. Działki, nie gniewajcie się za tych kilka morałów, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie. Mnie tę nagrodę przyznano akurat, gdy dość ostro wsiadłem na „Wiadomości” wytykając temu pismu że przemilcza mnie nie gorzej od prasy czerwonej w kraju. Wsiadłem ostro, ale, jak zawsze zwykłem, prawdziwie. Zgoda, „Wiadomości” zamieszczały o mnie w ciągu tych lat ostatnich, bardzo z rzadka, jakąś wzmiankę czy recenzję, aby nie wyglądało, że się mnie nie traktuje na równi z innymi pisarzami. Ale, rzecz jasna, pismo literackie emigracji to nie biurokratyczne okienko, załatwiające klientów stojących w ogonku. Takie pismo jest od tego, żeby wolną sztukę polską popierać — wpływ jej utrwalać — sukcesy artystów w świecie rozgłaszać — i to tym bardziej, im bardziej oni są gnębieni w kraju. Gdyby nie „Kultura”, pies z kulawą nogą nie wiedziałby na emigracji, że ja coś nie coś dla imienia polskiego zdziałalem.

Mniejsza z tym. Cieszę się, że „Wiadomości” w ostatnich numerach zaczęły traktować mnie życzliwiej i muszę przyznać, że redaktor Grydzeuski dał dowód niemałego opanowania publikując z angielską flegmą przychylny o mnie artykuł i inne równie sympatyczne notki, mimo iż tak dosadnie się wyraziłem. Dalsze moje stosunki z tym pismem mogą być lepsze, lub gorsze, a nawet zupełnie dobre — to wyłącznie zależy od pisma — ale w każdym razie postaram się niczego nie obwijać w bawełnę. Szczerłość! Jawność! Rzetelność! Nóżki na stół! To jest fundament zdrowia społecznego!).

Witold GOMBROWICZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wiersze

TA RÓŻA*)

ta róża jest sztuczna mówi córka
żółta róża
ledwo rozchyła kielich
w środku czarna muszka
świeci sztuczna róża mówi córka
leży sztuka batystu w rowie
w sieci leży sztuka batystu
ma tyle potysku
czerwone jest dno rowu
to buta za nami świeci się
rzucając silny trop
z pewnością szlaka rwie łozyskiem
w zaspach piasku pali się
zastyga
zastyga sztuczna róża
już wieczór mówi córka
zaraz otworzy czarny kufer
wyjmować będzie świece
łać wosk
na lśniącą nocy lułę

W

w starej lipie
tkwi w koszyku
szmaragdowa głowa węża

*) Utwory wyjęte z nowego zbioru pt. „Anusi”, który ukaże się w Londynie nakładem „Oficyny Poetów i Malarzy”.

jak pytajnik
 w mierzwie w liściach
 mokre oczy
 leży na mchach
 szafranowa głowa ptaka
 rydlem ryją
 czarne rowy
 dotykają stałą głowy
 szmaragdowej głowy węża
 czystej wody
 szafranowej głowy ptaka
 czystej trawy
 kilo rtęci
 w kwarcie wody
 tyle chłodu
 w hełmie głowy
 w zimnym hełmie
 tyle wody
 szafranowa głowa ptaka
 w wypróchniałej starej lipie.

WALKA

żółta twarz
 zielone ręce
 żar
 żaby
 rzęsa wodna
 na rzęsach rzęsy wodnej krople krwi
 zielone ręce trzciny
 jastrząb rozerwał pliszkę
 pożera ją nad stawem
 zastaw pod życie
 rozgarnia żar żółta twarz słońca
 oddaje człowiek kości swe
 zapas kruchych kryształków
 nie kostki cukru nie kostki modne
 do gry za cienki grosz
 klejnoty nocy zsypują do pucharu
 tak srebrnego

by puchacz miał w co wycierać dziób
 ratunku można szukać też w przepaści
 gdy pod nią nie ma nic

ZAPISKI KOREKTORA

ludzie popełniają błędy
 śmieszne błędy nie mówię o zecerach
 bo na przykład kształt ryby zapach na przykład
 na przykład chciałbym się napić kawy
 ale nie to chciałem powiedzieć
 błędem największym jest gdy żyje się nie w porę
 kto żyje w porę
 taki błąd poważny
 przyniósł jej czarne ruże
 kucharki cęgami wyciągają część ognia
 czarne ruże z rusztu
 składacz się myli ona się omyliła
 autor się myli i ten z różami się pomylił
 picie kawy nad morzem cynober na maszcie
 nigdy nie myślimy w pierw gdy mówimy
 tę drobinę żółtego szkarlatu scałować z loku
 gdy się wychylił nieopatrznie
 wszyscy popełniamy błędy
 chodzi spać z marynarzami żeby była świeża
 świeża jak wydrukowana na skatach zorza
 przetykają ją muszle zabłyśnie taka
 zabłyśnie taka w łózku potem nasycona
 najpierw skopie koldrę potem cienki koc
 wełna czysta i chemicznie oczyszczona
 pachnie fosforem i odrobiną czułości
 nic nie rozumiem poprawiam skrypty styl
 jakbym pilnikiem usuwał zrosty
 szmaragdowe okno wilgotnej krypty
 przewrócony przecinek
 rozgnieciona kropka
 wydma piasku
 zbitka suchego grzbietu zdechniętej ryby
 plus dwie muszelki różowe
 aż dziwaczne że szczepione nierdzewiejącym mitem
 leży to w szczelinie wiatr dmucha
 jak się wyspała z marynarzami narzeczona
 wychodzi włochata na pokład

DZIECI ARACHNE

pod mostem z marzeń i czerwonej rdzy
szkielet fabryki zrujnowanej przez lokaut
potomstwo arachne bogini pieniądza
po szarych żebrach wyżartych przez deszcz
rozpięło sieci łowi w nie muchy
muchy zielone jak krople wiszące
co schną na linach cieńszych od promienia
a w górze dzieci arachne nieruchomo tkwią
każde z odwłokiem krągłym i w odwłoku każdym
przez cienką skórę kapsla rtęci lśni
na tych stu słońcach gdy uderzy promień
rozpromieniona przędza rozbłyśnie w nich
czasem skorupy zażagwi w rowach
o słupy się otrze z zerwanymi drutami
żaden telegram
żaden telegram tej rudej kałuży
nie opryska iskrami gdy zapadnie noc

BEZSENNOŚĆ

kobiety noszą w sukniach tyle chaosu
mówią chory na lęk
nie chcę odpowiadać
wyciągu z goździków
katastrofy samolotu
ciężkiej sztaby
na drodze założona sztaba złota
z banku zapachów leśnych
na welonie kwitnących ostrzeżnic brudne bandażę
brudne bandażę zdjęte z wiecznej rany
kto wie coś pewnego o serum przeciw tępcowi
kobiety noszą w sukniach tyle chaosu
mówią chory na lęk
nie chcę odpowiadać
rąbać siekierą w szczerym polu pasącej się krowy
gdy strzykają z niej promyki mleka
nie można się napić lekarstwa na bezsenność
gladiolus ranny od chłodu
czernieją na wietrze makijaże głupstwa
co czepiają się ścian
czerstwe zaczepki białoniebieskiej pajęczyny

w płucach kopalnie wapna
można to zważyć
chemicznie opracować
nikt nie wie jaką męką są zrosty
drozdy wypadły z gniazda
parzy je
chłodna rosa
jak surowicy pęd ze strzykawki
narody śmiać się będą
będą skowyczeć
na pasach transmisyjnych przebiegają lasy
składnice liści
kobiety noszą w sukniach tyle chaosu
mówią chory na lęk
ile się namęczyła roztrzęsiona brzoza
żeby nie rozlać
żeby nie rozlać i nalać rosy
do srebrnej próbówki

SPIĄC NA KONWALIACH

śpiąc na konwaliach obok traktu
w lesie pociętym przez nożyce
w śnie słyszy bębny
huk bębnow i grzechotki
w dalekiej wsi barany bodą baby pod brogami
huk bębnow i grzechotki
co śni sam nie wie
wciąż do taktu
huk bębnow także błyskawice
śpiąc na konwaliach do jesieni
leży z czarnymi policzkami
aż zniknął w śniegu
przez zimę w zaspę i śnieżyce
słychać huk bębnow i grzechotki
huk bębnow

Marian CZUCHNOWSKI

TREN

*Sylogizm promieni ciało rozczepia
potężne a srogie; liście opadły;
kły śmierci.*

*Potok radości jest miesiącem też; wykres
szkieletów; we krwi się pocą; żebra żaluzji
na kirze krzyży.*

*Elipsa grzechu rozmiarem dogmatu; czas
Andromedę spuścił z uwięzi; srebro mroźne:
tza cięciem stożka.*

*Późną jesienią: gradacja liści
czerwona i złota w dłoniach unosi
trójkąty skrzydeł.*

*Trzciny: plusk ryby, wody pierwiastek,
przestrzeń i czas; już światła gaszą,
gwiazdy falują, jesień kolczasta.*

*Kotyszą jabłka ciężarki światła; tryby
ciemniste ścieśniają powietrze, sprężystych rżysk dymy
skłębione jak owce.*

*Gwiazdy wsiąkają w prostokąt boru; głucho;
lata wycięte na pniu; pieśń próchna, śmierć.*

POŚPIESZNY NEAPOL — RZYM

*W rozprutej zastonie świat oglądamy
złudzeni snopem kartonowych scen;*

*w rozsnutej zastonie poznają tę kibić
przeziętą — cynowa
pełnia wyswietla zarośla,
bliski blask bioder północy
nieznany.*

*Inaczej dziś rano
w upale jak dynie siola
obwisły zaszczipione skalom
inaczej*

*profil krateru tli się
wyobraźnią, człowiek w gablotce
gotowy do skoku a ramię jego
jest gniazdem termitów.*

*Secesja
wnętrz: On zwiedzał Sycylię lądował
w Messynie soczewką lustrzanki zwabił
chrom księżycyca*

*dramatyzuje krzewów
krzaczastość graniastość skał żebra
semaforów.*

*Co nas uchroni
przed rachunkiem chłodu, kto z nas
wytrzyma ból tego spojrzenia
zdeterminowany rozkładem galaktyk!
O siebie wsparci zgrzani ciał
drzeniem a na zastonie, zastonie brunatnej
księżyc nam stał się wyszywanym
astrem.*

*Pomyśl:
człowiekiem jesteś a chwalisz ciemności.*

KSZTAŁT KOBIETY W MUZYCE

Kazimierzowi Serockiemu

1.

*Jak uzmysłować śpiewność polichromii?
Oświetlenie jest słabe, sondy nie posiadam;
ramy obrazu obwarują pustkę, twarz
osoby na otomanie jest albo zakryta
dłonią, albo zurócona w kierunku
drzwi, zza których, podobno, dochodzi
brzęczenie strojonych instrumentów; okno
jest matowe.*

2.

*Mija kilkaset stuleci: nastrojono
instrumenty, ktoś objaśnił knot, wypełnił ramy
smugą kobiety schylonej nad robótką;
dostrzegam też przemysłne wzory na dywanie,
którego obecność uszła kiedyś mojej uwadze.
Kto jednak słyszy te instrumenty
zagłębione w niekształcie akwarium?*

3.

*Letnie słońce przez rozbitą szybę ład
wprowadza do cielesnej rupieciarni
kobiety, która nie jest już obrazowana
muzyką.*

Adam CZERNIAWSKI

Archiwum polityczne

Stulecie, które nas minęło

Gdy Prus pisał swoją „Lalkę” — był socjologiem, filozofem społecznym, odkrywcą faktów i zbieraczem informacji. Na ówczesnym czytelniku książka Prusa musiała robić rewelacyjne wrażenie. Lecz dziś na Zachodzie nim Prus zamaczałby pióro w kałamarnicę — socjologowie przenicowaliby wszystkie problemy, zebrali informacje, usystematyzowali fakty i opinie. W oparciu o ten dokumentacyjny materiał pisarz typu Ludovica Kennedy napisałby „story” o Wokulskim. I napisaliby ową „story” w rekordowym tempie. Ci, którzy mówią o zmierzchu powieści nie zdają sobie sprawy jak trudno jest dziś pisarzowi być odkrywcą. Najbardziej skomplikowane stany psychiczne, najdziwniejsze reakcje i przeżycia, najintymniejsze pasje i namiętności, kompleksy, zahamowania, alienacje, frustracje — to wszystko jest stale badane, analizowane, kartotekowane i klasyfikowane. I należy stwierdzić spokojnie, że o człowieku indywidualnym i społecznym dowiedzieliśmy się niepomniernie więcej od psychologów i socjologów niż od pisarzy.

Literatura jeszcze ciągle odgrywa wielką rolę w tych krajach w których Prus może być Prusem. Do tych krajów należą Rosja i Polska, ale nie Anglia czy Ameryka. W krajach wysoko uprzemysłowionych i bogatych kultura scjentyficzna spycha literaturę na margines. Akcent spoczywa na słowie „bogaty”. Kultura scjentyficzna w przeciwieństwie do czystej humanistyki jest bardzo kosztowna. „Lalkę” można pisać popijając czarną kawę i przysmierzając głodem. Wiele arcydzieł literatury powstało w podobnych warunkach. Natomiast badania psychologiczne i socjologiczne prowadzone na wielką skalę kosztują mnóstwo pieniędzy. Wymagają olbrzymiej aparatury, laboratoriów i tysięcy wysoko wykwalifikowanych specjalistów.

Kultura scjentyficzna stanowi nadbudowę systemów wielkoprzemysłowych. W kraju rolniczym i ubogim jak Chiny można haftować poematy Mao Tse na jedwabiu, ale nie można prowadzić badań socjologicznych na wielką skalę. Kennedy nie pisuje wierszy i w jego otoczeniu nie ma ani jednego czystej krwi humanisty.

Prezydent otoczony jest technokratami, menadżerami, specjalistami — którzy z kolei opierają się na sztabach wielkich organizacji i instytucji badawczych.

Kultura scjentyficzna na Zachodzie wychowuje swego masowego odbiorcę. Radio, telewizja, prasa codzienna, tygodniki, periodyki — roją się od artykułów popularyzujących nauki ścisłe i „półściśle” jak socjologię we wszystkich jej gałęziach i odmianach. Problemy małżeńskie, planowanie rodziny, tzw. „trudne dzieci” — to wszystko jest dziś domeną fachowych *social workers*, którzy na z lekarzem przynoszą swoją wiedzę do domu pacjenta. Czy ktoś ma trudności w swej pracy zawodowej, czy nieporozumienie z teściową, czy cierpi na bezsenność, czy się jąka — nie szuka wzniostych przykładów w literaturze ani pocieszenia u księdza proboszcza tylko zwraca się o pomoc do nauki.

Poruszam ten zespół tematów bo wielu Polaków krajowych uważa pozycję literatury polskiej za anachroniczną. Rozumowanie tej grupy inteligentów streścić można następująco. „Byt określa świadomość”. Innymi słowy — jeżeli w Rosji a z czasem i w Polsce — baza przemysłowa w najszerszym tego słowa znaczeniu — osiągnie poziom zachodnio-europejski, automatycznie zniknie większość różnic dzielących Wschód od Zachodu.

Najbliższe dekady przyniosą w Rosji i w Ameryce rewolucję pełnej automatyzacji — co pociągnie za sobą daleko idące analogiczne przemiany w obu krajach. Jeżeli fabryki-giganty w Sowietach będą bliźniaczo podobne do zautomatyzowanych gigantów amerykańskich, jeżeli po autostradach sowieckich krążyć będą miliony samochodów, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, jeżeli fala towarów konsumpcyjnych sięgnie pułapu podobnie jak za „Wielką Wodą” — ludzie sowieccy zaczną reagować bardzo podobnie — jeżeli nie identycznie jak „American people”.

Wnuk Chruszczowa, jeśli śladem dziadka zajmie kiedyś wybitne stanowisko partyjno-państwowe — nie będzie musiał staczać homeryckich bojów z abstrakcjonistami i niesfornymi poetami. Ci panowie przestaną być ważni i nikt się nimi nie będzie interesował. Szufflady pisarzy i intelektualistów opróżnią się z dynamitu. Ludzie sowieccy będą patrzyli na telewizję i czytali nową literaturę — na niższym szczeblu rozrywkową — na wyższym szczeblu informacyjną i dokumentacyjną. Literatura przez wielkie „L” usunie się w głęboki cień uniwersytetów, świadoma zmierzchu epoki proroków. Gdy to nastąpi wówczas przepaść ideologiczna pomiędzy Wschodem a Zachodem zacznie się wyrównywać, aż osiągniemy punkt, w którym suma podobieństw wielokrotnie przewyższy sumę różnic.

To są poglądy szeroko rozpowszechnione w pewnych kołach inteligencji i intelektualistów. Należy poświęcić im chwilę uwagi tym bardziej, że określa się je często mianem ewolucjonizmu.

Wróćmy do literatury od której zaczęliśmy niniejsze rozważania. W Anglii nie ma nowego Dickensa lecz po dwutygodniowym pobycie na tych wyspach każdy bezstronny obserwator musi dojść do wniosku, że Dickens spełnił swoje zadanie. Nie ma również no-

wych „Road to Wigan Pier” (Orwella) ponieważ nie ma „Wigan Pier”.

Gdy w latach 90-tych ubiegłego stulecia Sydney i Beatrice Webb rozpoczęli swą działalność jeszcze nikt nie marzył ani o automatyzacji ani o drugiej rewolucji przemysłowej. Webbowie w znacznej mierze ukształtowali brytyjską Partię Pracy, „Fabian Society”, London School of Economics i pozostawili po sobie powódź prac, rozpraw, studiów, politycznych i socjologicznych. Można powiedzieć za Malcolm Warnerem, że Webbowie byli „rodzicami-założycielami” brytyjskiej socjologii. Poprzez Webbów, pisze prof. Warner, mamy dziś w Anglii socjologię i państwo dobrobytu i opieki społecznej.

Webbowie robili błędy lecz ci, którzy wypominają im późniejsze pro-komunistyczne nastawienie — winni pamiętać, że pionierzy zawsze robią błędy. Ich mylne odczytanie stalinizmu w roku 1935 w niczym nie pomniejsza ich pionierskich prac z lat 90-tych ubiegłego stulecia.

Posłużyłem się przykładem Webbów, by wykazać, że wbrew temu co głosi marksizm „nadbudowa” wyprzedza „bazę” — koncepcja wyprzedza możliwości realizacji. *Welfare State* zrodził się jako koncepcja społeczna na wiele lat przez „drugą rewolucją przemysłową”, przed automatyzacją, energią atomową, mózganymi elektronowymi itp.

Z całą pewnością można by wykazać, że na Webbów i działaczy lewicowych owego okresu wywarła wielki wpływ literatura odstawiająca krzywdę społeczną. W tym sensie tacy pisarze jak Dickens w Anglii czy Zola we Francji byli pierwszymi socjologami.

Literatura jeżeli nawet dziś wycofuje się w mury uczelni uniwersyteckich — na Zachodzie spełniła jedno ze swoich istotnych społecznych zadań. Dziś pisarz zachodni nie musi być socjologiem ponieważ problematyka społeczna jest przedmiotem naukowego badania. Nie musi i nie może być socjologiem, ponieważ nie dysponuje ani wiedzą, ani metodą, ani aparatem naukowym.

Filozofię socjalną Webbów ujmuje Warner w jednym zdaniu: „Służby społeczne plus nauka”. Sądzę, że jest to do dziś dnia obowiązująca definicja *Welfare State*.

Konsekwencją zarówno wysokiego uprzemysłowienia jak i rozwoju wiedzy o człowieku a więc wszystkich gałęzi medycyny, psychologii, socjologii itp. — jest fakt rosnącego wpływu nauki na ludzkie życie. Owa inwazja kultury scjentyficznej odbywa się w pewnej mierze kosztem literatury. Ludzie w znacznie większym stopniu niż dawniej pragną faktów i informacji. Problematyka społeczna przestała być wyłączną domeną literatury i stała się przedmiotem intensywnych badań różnych gałęzi socjologii.

Krytycy literaccy angielscy piszą o „wymieraniu wielkich spraw”. Wielkie sprawy nie wymarły tylko znaczny ich procent z biur literatów przeniosł się na biurka socjologów. Był czas, że nie było ani socjologii ani służb społecznych i byli tylko odważni pisarze. Dziś jeszcze w pisarzach wymierającego pokolenia odzy-

wa się czasem nostalgicznym echem owa epoka „wielkich literatur”.

W moim przekonaniu rola pisarza w społeczeństwach zachodnich jest dziś niewspółmiernie trudniejsza niż za czasów Dickensa. „Służby społeczne plus nauka” odindywidualizowały człowieka i niekiedy budzi się podejrzenie, czy za *welfare* nie płacimy utratą *humanity*. Nauki społeczne i *Welfare State* zrodziły się z głębokiego humanizmu wybitnych jednostek i jest rzeczą podstawową wagi by takimi pozostały. Potrzebujemy dziś w większym stopniu niż dawniej pełnego człowieczeństwa Prusów i Dickensów, gdy do zagadnień społecznych podchodzimy z szkiełkiem i okiem nowoczesnej gigantycznej aparatury naukowej.



W okresie nocy stalinizmu literatura milczała. Gdy ludzi wywożono, fałszywie oskarżano, rozstrzeliwano — sowieccy pisarze milczeli. Gdy agenci UB w „minionym okresie” wrywali ludziom paznokcie — pisarze polscy albo milczeli albo pisali lakiernicze produktyjniaki.

Ze społecznego punktu widzenia nie to jest ważne, że pisarz X wykazał charakter, a poeta Y załamał się i upodlił. Ważne jest tylko, że literatura nie wypełniła swego społecznego zadania.

Nie można ogrodnikowi zabraniać uprawiać jarzyn, nie można lekarzom zabraniać leczyć chorych, nie można pisarzowi zabraniać pisać o krzywdzie społecznej. Ustrój, który uniemożliwia wypełnienie tych zadań jest niehumanistyczny.

Jestem przekonany, że pisarze, tak sowieckich jak i polskich — dławi kompleks niespełnionego zdania. Nie wydajemy sądu o jednostkach, bijemy czołem przed talentem, cywilną odwagą i dziełem — kornie chylimy głowę przed indywidualną męką i hartem — współczujemy wszystkim. Lecz mówiąc o zjawisku jako o całości trzeba powiedzieć, że literatura w bloku wschodnim nie spełniła i nie spełnia swego podstawowego społecznego zadania i to stanowi istotę kryzysu.

Dlaczego literatura jest tak istotna? Odpowiedź jest jasna. Tam gdzie literatura nie może pełnić swobodnie swojej funkcji społecznej — nie ma humanistyki. Nie ma humanistycznie pojmowanej historii, filozofii, socjologii — jednym słowem nie ma i nie może być humanistycznych nauk i kultury.

Baza przemysłowa Związku Sowieckiego to druga połowa 20-go stulecia — nadbudowa kulturalna to skompleksowany wrak 19 wieku.

Ani w Rosji ani w Polsce literatura nie może odejść w cień uniwersytetu z dwóch przyczyn. Po pierwsze, na uniwersytetach nie ma humanistyki — po drugie, literatura w bloku wschodnim nie może wkroczyć w scjentyficzny wiek dwudziesty, bo nie spełniła swych zadań dziewiętnastowiecznych.

Na Zachodzie literatura odsłaniająca krzywdę społeczną w znacznej mierze spełniła swe zadanie i na wielu odcinkach mogła

ustąpić pola naukom społecznym. W bloku wschodnim — choć wyrównano pewne dawne krzywdy — dodano tak wiele nowych, że głos dziewiętnastowiecznych pisarzy jest ciągle żywy i słyszalny bo niespełniony. Jak dawniej robotnicy pozbawieni są prawa strajku, jak dawniej nie mają prawdziwych, niezależnych związków zawodowych, jak dawniej nie mają nic do powiedzenia w fabrykach, w których pracują, jak dawniej i jak zawsze nie mogą związać końca z końcem. Są wczasy, lecz wśród stypendystów i wycieczkowiczów z Polski Ludowej zwiedzających Paryż czy Londyn robotników nikt nie zobaczy. Jak dawniej zagranicę jeżdżą ludzie „ważni”, ale nie robotnicy.

Jak można mówić o socjologii w takich warunkach? Gdyby Webbów wydobyć z krypty w Westminsterze i wskrzeszonych przemieścić do Warszawy — musieliby na biurku rozłożyć papiery z lat 90-tych ubiegłego stulecia i zaczynać wszystko od „A”.

Gomułka w referacie na XIII Plenum wyraził pełne votum nieufności pisarzom, historykom, socjologom, filozofom — jednym słowem polskiej kulturze humanistycznej jako całości.

Nie ma powodu powtarzać tych zarzutów i gróźb wypada jednak stwierdzić, że jeżeli ktoś dostarcza „amunicji wrogiej propagandzie” to przede wszystkim sam Gomułka.

Po dwudziestu latach Polska Ludowa nie ma swojej własnej kultury. Pod tym względem Gomułka ma stuprocentową rację. Istnieją ustrojowe ramy gospodarczo-administracyjne i oficjalna ideologia, lecz kulturę czerpią ludzie z kapitału kulturalnego wyprodukowanego w przeszłości i z zagranicy.

W rezultacie powstał zupełnie nowy fenomen socjologiczny a mianowicie kraj o zaawansowanym rozwoju technologicznym i o zapóźnionym rozwoju kulturalnym.

Gdy się przeanalizuje dokładnie referat Gomułki musi się dojść do wniosku, że pierwszy sekretarz stawia znak równania pomiędzy humanistyką, a reakcją. W naukach ścisłych podział na wykładnie „socjalistyczną” i „burżuazyjną” w znacznym stopniu został przełamany. Nikt się dziś nie przejmuje „dialektyką przyrody”, a p. Łysenko szukający poparcia dla swych teorii u ideologów partyjnych jest widmem „minionego okresu”. Gdyby powiodło się staroświecką kulturę humanistyczną zastąpić w całości kulturą scjentyficzną — kryzys byłby zażegnany.

Groźni są pisarze na miarę Prusa czy Żeromskiego. Jeżeli jednak Prusa rozbije się na serię elementów składowych, a więc na *story* w popularnym wydaniu, na kontrolowany *research* socjologiczny, na reportaże telewizyjny itp. — wówczas otrzymamy produkt masowej kultury, który panom z KC snu z powiek nie sploty.

Jeżeli tak jest na Zachodzie dlaczego nie może być w Polsce? Tylko Chruszczow i Gomułka toczą zaciekle boje z pisarzami, malarzami, historykami, socjologami. Gdyby prez. Kennedy śladem Gomułki poświęcił 60% swego przemówienia amerykańskiej literaturze, historiografii i socjologii — w masach amerykańskich zbu-

dziłaby się obawa czy prezydent jest całkowicie zdrow nie tylko na ciele, ale i na umyśle.

Niewątpliwie i w Polsce kultura scjencyficzna mogłaby sięgnąć po berło. I w Polsce literatura szukałaby wówczas schronienia za murami uniwersytetów ustępując pola nowym czasom i nowej naukowej kulturze.

Można jeszcze dodać, że potencjalny bunt humanistów w Polsce dla zachodniego obserwatora jest czymś ujmującym i sympatycznym, lecz równocześnie czymś bardzo staroświeckim. Nieszcześnie abstrakcjonistów poniewieranych przez Chruszczowa w Moskwie jeden z angielskich korespondentów porównał do sufrażystek walczących o swoje prawa. Moskwa — która chciałaby uchodzić za stolicę najbardziej nowoczesnego państwa świata — na turystach z Zachodu robi wrażenie wiktoriańskiej Anglii.

Zarówno Gomułka jak i wielu emigracyjnych znawców przedmiotu — zgodni są w przekonaniu, że kryzys dotyczy nadbudowy. Różnica polega jedynie na tym, że Gomułka widzi przyczyny kryzysu w wpływach Zachodu na humanistykę — natomiast publicyści i pisarze emigracyjni przyczyn kryzysu dopatrują się w wpływach Wschodu tzn. w ograniczeniu wolności, socjalistycznym realizmie itp. Lecz zarówno Gomułka jak i większość specjalistów emigracyjnych mówią w kółko o literaturze, socjologii, historiografii — jednym słowem o humanistyce.

W moim przekonaniu rozpoznanie zarówno Gomułki jak i wielu specjalistów emigracyjnych jest błędne. Kryzys dotyczy nie nadbudowy, ale dotychczasowej bazy. Nadbudowa kulturalna odbija jak zwierciadło kryzys podstawowy tj. kryzys układu społeczno-gospodarczego.

Gdyby dziś zapalono zielone światła „odwilżowe” z całą pewnością ukazałoby się wiele książek, artykułów i opracowań odmalowujących prawdziwy stan rzeczy w Polsce Ludowej. Lecz kryzys trwałby nadal. Robotnicy nadal nie mieliby prawa do zorganizowanej, niezależnej obrony swoich interesów, Sejm nadal składałby się niemal z samych komunistów itd. itp.

Nowoczesne państwo to nie tylko „służby społeczne plus nauka”. Nowoczesne państwo to jeszcze „proces demokratyczny”, który 70 lat temu Webbowie uważali za oczywistość. „Proces demokratyczny” polega na tym, że projekt reformy poprzez rozmaite stadia znajduje drogę do parlamentu i gdy zdobędzie poparcie większości staje się prawem.

Ludzie w Polsce na wszystko wrzuszają ramionami, bo nikt nie poczuwa się do społecznej współodpowiedzialności. Lecz poczucie współodpowiedzialności nie jest fenomenem izolowanym. Nie można współodpowiadać za coś na co nie ma się absolutnie żadnego wpływu.

„Proces demokratyczny” jest koniecznością nie z uwagi na wniosłe hasła, lecz z uwagi na *efficiency* — z uwagi na sprawność i wydajność.

Wszystkie oceny ekonomiczne, socjologiczne reportaże i opracowania publikowane w prasie krajowej na temat sytuacji gospo-

darczej sprowadzić można do jednego wspólnego mianownika: nie wydajność plus niesprawność.

Poczucia współodpowiedzialności nie można wydobyc z ludzi ani presją administracyjną ani wyłącznie bodźcami ekonomicznymi. Olbrzymie i różnorodne doświadczenia wskazują, że poczucie współodpowiedzialności może być wpojone społeczeństwu tylko poprzez „proces demokratyczny”.

Prem. Chruszczow w czasie swej sierpniowej wizyty w Jugosławii przemawiając do robotników w jednej z fabryk pod Belgradem zauważył m.in. „Nasze zakłady przemysłowe są dziś tak olbrzymie, że dyrektor mógłby się stać dyktatorem, gdyby nie było zmobilizowanej opinii społecznej”. W dalszej części cytowanego przemówienia Chruszczow udzielił ostrożnego poparcia jugosłowiańskim radom robotniczym. Powiedział m.in.: „Sytuacja w Związku Sowieckim dojrzała do demokratyzacji zarządu fabryk mamy bowiem za dużo biurokracji”. Premier sowiecki zapowiedział wysłanie do Jugosławii specjalnej misji, która zbada system jugosłowiański i opracuje odpowiednie propozycje dla rządu sowieckiego.

Gdy Chruszczowa poinformowano, że sprawy sporne pomiędzy radami robotniczymi, a dyrekcją danego zakładu regulowane są w Jugosławii na drodze dyskusji lub przez powołanie arbitrów z zewnątrz — premier sowiecki oświadczył (cytuje za „The Guardian” 22.8.63) że w takich wypadkach decyzja winna spoczywać w rękach dyrektora zakładu przemysłowego.

Staroświecki kapitalizm i staroświecki komunizm hołdują jednej wspólnej zasadzie: *one boss principle*. Nieufność Chruszczowa do wszystkich rad robotniczych i jakichkolwiek form demokratyzacji — wywodzi się z obawy, że godzą one w leninowską zasadę jednego bossa. Jaki może być pożytek z rady robotniczej jeżeli w każdej sprawie spornej ostateczna decyzja zależy od dyrektora zakładu przemysłowego?

Nowoczesny kapitalizm już dawno odszedł od leninowskiej zasady „jednego bossa”. W każdym brytyjskim zakładzie przemysłowym przedstawiciele związków zawodowych mają niezmiernie wiele do powiedzenia. W rzeczywistości tak wiele, że często dyrektorzy „walczą o uznanie praw zarządu do zarządzania fabryką”. Tych słów użył jeden z dyrektorów fabryki Forda w okresie wielomiesięcznych dyskusji i strajków w ubiegłym roku.

Tytuł własności środków produkcji nie rozwiązuje wszystkich problemów. Można sobie wyobrazić fabrykę stanowiącą własność kooperatywy robotniczej i można sobie z łatwością wyobrazić zarząd wyzyskujący zatrudnionych w tej fabryce robotników. Robotników chronią tylko ich własne prawa (z prawem strajku włącznie) w stosunku do zarządu fabryki. Obojętnie jest kogo ten zarząd reprezentuje — kapitalistę, państwo, dyktaturę proletariatu, czy zakon dominikanów. W każdym wypadku robotnicy będą mieli tylko tyle ile zdołają wywalczyć bo zarząd, w czymkolwiek imieniu działający stara się zawsze produkować jak najwięcej i jak najtaniej.

Komuniści mówią: „kapalista bogaci się kosztem robotników”. Lecz istnieje jeszcze inny, boleśniejszy typ wyzysku, który polega na tym, że nikt się nie bogaci. Robotnik w Polsce Ludowej jest źle płatny i nie jest dla niego żadną pociechą świadomość, że Gomułka też się nie bogaci. Dyrektor uczciwy, lecz nieudolny, który prowadzi nierentownie przedsiębiorstwo i wskutek tego źle płaci swoich robotników z punktu widzenia robotnika jest takim samym wyzyskiwaczem jak kapitalista bogacący się trudem robotniczym. Wyzyskiwaczem jest ten, kto nie płaci robotnikowi godziwej stawki, obojętne z jakich przyczyn — czy dla chęci osobistego zysku, czy na skutek nieudolności, czy w rezultacie stosowania archaicznej doktryny gospodarczej.

Polska wkracza nieśmiało w epokę scjentyficzną wlokąc za sobą nierozwiązany kompleks zagadnień socjalno-gospodarczych.

Klasa robotnicza w Polsce jest najbardziej niezadowolona, rozczarowana i wroga komunizmowi. Jest to jednak warstwa nowa, nieufirmowana, która nie miała ani czasu ani możliwości wychowania własnych przywódców.

Poza krótkim okresem Października klasa robotnicza została zdradzona przez inteligencję. Oderwanie się inteligencji od robotników nigdy chyba nie było tak całkowite jak obecnie.

Sytuacja jest istotnie paradoksalna. Strajkujący robotnicy mieliby dziś przeciwko sobie nie tylko partię i policję, lecz również inteligencję opanowaną przez neo-pozytywistów i lojalistów. Polska klasa robotnicza nigdy nie była tak odcięta i wyizolowana. Z jednej strony zarządy fabryk oparte na reakcyjnym *one boss principle*, z drugiej strony inteligencja albo socjalnie całkowicie obojętna albo podporządkowana neo-pozytywistom.

Obecnie w obliczu rozłamu pomiędzy Moskwą a Pekinem istnieją potencjalne możliwości „skoku naprzód” na drodze de-stalinizacji polskiego modelu. Inteligencja w kraju winna zrozumieć, że komunizm w sowieckim wydaniu okrada Polskę z europejskiego 20 wieku. Komunizm rosyjski utracił ostatnio jakiegokolwiek pozory ruchu uniwersalnego i dziś nie jest ani ruchem europejskim ani azjatyckim.

Trzeba wrócić do postawy wyjściowej. Przemian społecznych nie wywalczą inteligenci, pisarze, socjologowie w oderwaniu od klasy robotniczej. Przemiany społeczne powoduje „akcja przemysłowa” poparta przez społeczeństwo i programowo opracowana przez oddanych klasie robotniczej postępowych inteligentów. Dwugodzinne strajki w kilku poważniejszych zakładach przemysłowych dadzą większe rezultaty niż dramatyczne „odwilże” na literackim olimpie.

Robotnicy polscy nie wyjeżdżają na Zachód. Gdyby wyjeżdżali przekonali się natychmiast, że pomiędzy robotnikiem polskim a robotnikiem brytyjskim czy francuskim istnieje przepaść. Polski inżynier na kierowniczym stanowisku w przemyśle jest gorzej płatny od swego kolegi brytyjskiego czy francuskiego, lecz w skalach uposażeń na wyższych szczeblach nie ma przepaści. Nożyce różnic rozwierają się gwałtownie w miarę jak schodzimy w dół.

Największe różnice w płacy dzielą niewykwalifikowanego robotnika polskiego od niewykwalifikowanego robotnika brytyjskiego. Tych dwóch robotników — polskiego i brytyjskiego w płacy, w uprawieniach politycznych, w służbach społecznych — oddziela od siebie dosłownie przepaść stulecia.

By przeciwdziałać wpływom Zachodu rozmaici krajowi ideolodzy głoszą, że „cywilizacja rzeczy”, powszechny dobrobyt itp. jaki obserwujemy w zachodniej Europie prowadzą do upadku humanizmu i uniemożliwiają pełny rozwój osobowości ludzkiej.

Można by na to odpowiedzieć, że z dwojga złego lepiej już przeżywać „upadek humanizmu” w warunkach materialnego komfortu, lecz nie o to chodzi. Pomijam również absurdalne z marksistowskiego punktu widzenia potępienie pełnego rozwoju sił produkcyjnych i oparcia procesów produkcji na naukowych metodach. Przecież tę potępioną przez różnych panów Szczypiorskich Amerykę pragnie „dogonić” prem. Chruszczow.

To jest fałszywe rozpoznanie bo *de facto* nie ma „cywilizacji rzeczy” jest tylko cywilizacja ludzi. Humanizm mierzony tomikami poezji wykaże w Polsce wyższy poziom i dynamikę niż w Anglii. Lecz humanizm mierzony służbami społecznymi i statusem politycznym, społecznym i materialnym robotnika w wydaniu brytyjskim jest wręcz nieporównywalny z niedorozwojem polskim.

Czy mam pouczać p. Szczypiorskiego, że humanizm — podobnie jak wolność — dla marksisty jest pojęciem klasowym? Humanizm — ale dla kogo? Czy dla żyjących „mitem burżuazyjnym” pisarzy i intelektualistów, których potępił z taką pasją towarzyszy Wiesław w swym referacie na XIII Plenum?

Myślę, że p. Szczypiorski (ideologiczny komentator Iwaszkiewicza) zgodzi się ze mną, że chodzi o humanizm dla najszerszych warstw pracującego społeczeństwa. Humanizm w tym kontekście oznacza nie wieczory autorskie w świetlicach robotniczych, lecz kulturę socjalną, której wyrazem są wysoka stopa życiowa, różnorodność i prawidłowo funkcjonujące służby społeczne oraz uznane prawo do obrony indywidualnych i grupowych interesów.

I jeszcze jeden punkt niezmiernej wagi. Polacy krajowi nawet wysoko wykształceni i znający Zachód z perspektywy turysty — nie mogą nigdy rozgryźć jednej z najprostszych jego tajemnic. Na Anglików „pracowali Murzyni”, Ameryka ma „nieprzebrane bogactwa naturalne”, Niemcy Zachodnie otrzymały „gigantyczną pomoc dolarową” — weźmy więc dla przykładu Danię, która nie ma ani Murzynów, ani „nieprzebranych naturalnych bogactw”. Dania jest znana czytelnikowi krajowemu z pięknej książki Iwaszkiewicza i z „komentarza ideologicznego” p. Andrzeja Szczypiorskiego.

Współczesna Dania posiada równie wysoką — jeśli nie wyższą stopę życiową jak Anglia — znakomite służby społeczne itp. Według p. Szczypiorskiego amerykańskie naukowe metody organizacji produkcji są rzekomo odpowiedzialne za duński „cud gospodarczy”. Kto broni Polakom, Czechosłowakom czy Węgrom stosowania identycznych metod? To nie są tajemnice wojskowe i me-

tody duńskie można studiować na miejscu bez żadnych przeszkód.

Lecz w gruncie rzeczy tajemnica zachodniego sukcesu jest czymś znacznie prostszym, jednak szukać jej należy nie w analizie technologicznej, lecz socjologicznej. Piramidy egipskie czy sputniki sowieckie może budować dyktator, ale masowy dobrobyt budować może tylko społeczeństwo w 80% zadowolone ze swego ustroju. Nikt nie jest w stanie zbudować nowoczesnego *Welfare State'u*, państwa dobrobytu i opieki społecznej w oparciu o niezadowoloną klasę robotniczą.

Owego charakterystycznego dla zachodniej Europy bogactwa różnorodnych dóbr w ostatecznym rozrachunku nie budują inżynierowie w oparciu o tajemnicze „amerykańskie metody”, lecz robotnicy, dziesiątki milionów sprawnych i wydajnych robotników.

Polsce nie brak wykształconych i utalentowanych inżynierów, nie brak wyobraźni twórczej i znajomości nowoczesnych metod naukowych. Polsce natomiast brak owych milionów sprawnych, wydajnych, odpowiedzialnych robotników, którzy plany inżynierów przekształcają w rzeczywistość.

Nowoczesne państwa zachodniej Europy z ich dobrobytem materialnym i służbami społecznymi są produktem nie tylko rewolucji technologicznej, lecz i rewolucji socjalnej. Webbowie są może w większym stopniu odpowiedzialni za obecny dobrobyt mas społeczeństwa brytyjskiego niż pionierzy nowoczesnych metod technologicznych.

Polskę w sensie rewolucji socjalnej ominął europejski wiek dwudziesty. I dlatego zacząć trzeba od początku — to znaczy od emancypacji klasy robotniczej. Polski robotnik będzie pracował równie sprawnie i równie wydajnie jak robotnik zachodnio-europejski, gdy zdobędzie analogiczne uprawnienia i warunki. Bez walki to nie nastąpi, bo i na Zachodzie status społeczny i dobrobyt robotnika są rezultatem walk pokoleń.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LAMENT GĘSI I KRZYK PAWI

W jakiej mierze współczesna polityka jest owocem personalnych decyzji? Patrząc na fotografię trzech panów siedzących przy owalnym stole w sali katarskiej na Kremlu. Ci gentlemani reprezentują łącznie światowy potencjał

atomowy. Któżby się zdołał oprzeć decyzji podjętej przez wielką atomową trójcę?

Jeśli jednak zastanowimy się nad przemianami w świecie, których jesteśmy świadkami — przekonamy się, że tylko nieznacznym procentem tych przemian przypisać można takiej czy innej decyzji polityków. Weźmy dla przykładu upadek kolonializmu. Czy ruch antykolonialny, który objął Afrykę i Azję został przez kogoś zadekretowany? Anglicy jeszcze kilka lat temu walczyli na Cyprze i więzili arcybiskupa Makariosa, który dziś jest prezydentem niepodległego Cypru. Ów „wicher przemian”, który objął Afrykę i Azję — nie zrodził się przy żadnym stole obrad i nie jest produktem kancelarii dyplomatycznych. Przeciwnie, mocarstwa kolonialne walczyły przeciw owemu „wichrowi przemian” i skapitulowały. Lecz dlaczego skapitulowały? Jest oczywiste, że skapitulowały nie przed siłą militarną. Mocarstwa kolonialne dysponowały arsenałem nowoczesnych narzędzi walki, którym ludy kolonialne nie mogły *de facto* niczego przeciwstawić. Techniczno-militarne możliwości ujarzmania narodów są dziś znacznie większe niż w wieku 19-tym, epoce „budowniczych imperiów”.

Słowo angielskie „trend” — znakomity słownik Bulasa i Whitefielda tłumaczy jako „tendencja ogólna”. Nie jest to przekład idealny lecz niewątpliwie najlepszy z możliwych. W moim odczuciu „trend” jest czymś więcej niż tendencją. Termin ten oznacza kierunkowy ruch opinii społecznej ku czemuś.

Na pytanie przed czym skapitulowały mocarstwa kolonialne należy odpowiedzieć, że skapitulowały pod naporem „trendu” opinii społecznej zarówno wewnętrznej, własnej, jak i światowej. Kolonializm upadł nie tylko w Afryce czy w Azji, lecz przede wszystkim upadł w Anglii i we Francji.

Antykolonializm zdobył status — jeśli wolno się tak wyrazić — istotnej tendencji opinii wolnego świata. Oznacza to, że ci, którzy stosują jeszcze metody kolonialne mają większość opinii światowej przeciwko sobie.

Neo-kolonializm sowiecki nie budzi w wolnym świecie analogicznej reakcji. Co stanowi istotę kolonializmu? Istotą kolonializmu nie jest wyzysk gospodarczy ani nawet okupacja. Istotą kolonializmu jest przede wszystkim obrabowanie słabszego narodu z podstawowego prawa do samostanowienia. Polacy, Węgrzy czy Czechosłowacy nie mogą samostanowić o swoim losie ponieważ ich kraje znalazły się w orbicie imperium sowieckiego.

Panowanie sowieckie choć różni się w metodach od techniki kolonialnego rządu z 19 wieku — w istocie swej jest czystym kolonializmem i obiektywni obserwatorzy na Zachodzie zgodni są w tej materii. A jednak neo-kolonializm sowiecki nie budzi takiego sprzeciwu w społeczeństwach wolnego świata jak budził kolonializm zachodni. — Dlaczego?

Winą za ten stan rzeczy w znacznej mierze przypisać musimy sobie samym. Na Malcie istnieją partie polityczne, które głoszą, że program niepodległościowy jest sprzeczny z maltańską racją stanu. Potężna maltańska partia pracy proponowała unię z Anglią i chciała, by maltańscy posłowie zasiadali w parlamencie brytyjskim. Czy w takim wypadku można mówić o kolonializmie?

Wprawdzie nikt w kraju ani poza krajem nie wysuwa projektu Polski jako 17 republiki Związku Sowieckiego — niemniej protestujemy słabo i nieskutecznie. Wielu z nas z charakterystycznym snobizmem podkreśla wobec

cudzoziemców, że w Polsce wszystko wygląda inaczej, że literatura protestu, że dowcipy, że swoboda mówionego słowa, że teatry, kabarety, że my niemal... niepodlegli. Jak kogoś raz oklaskiwano jako „natchnienie świata” trudno przyznać się publiczności, że już nie ma najmniejszych powodów do oklasków.

W sumie powiodło nam się stworzyć na Zachodzie legendę, że w bloku wschodnim jesteśmy czymś wyjątkowym, czymś „extra”. Dzięki temu, sowietolodzy zachodni ilekroć piszą o Polsce cytują po dawnemu Ważyka i Kołakowskiego. — tak jakby Październik kwitł w całej pełni.

W przeciwieństwie do nas, Niemcy zachodni potrafili wytworzyć potężny i jednolity „trend” w opinii wolnego świata w odniesieniu do problemu niemieckiego komunizmu. Z całą pewnością istnieją wielkie różnice pomiędzy Gomułką a Ulbrichtem. Lecz z całą pewnością różnice nie są ani tak wielkie ani tak zasadnicze jak w „portretach prasowych” obu komunistycznych przywódców. W zwierciadle prasy zachodniej Gomułka to skromny *self-made man*, patriota, „liberał” — ułożył stosunki z kościołem, zjednał sobie chłopów i co najważniejsze oddziałuje „sedatywnie” na Chruszczowa.

Prasowy portret Ulbrichta stanowi dokładną antytezę Gomułki. Tępy brutal, agent, super-stalinowiec, masowy morderca — najciemniejsza figura w światowym ruchu komunistycznym.

Jeżeli się nawet przyjmiemy, że Ulbricht jest takim monstrum jakim go malują — to z całą pewnością Gomułka nie jest takim świętkiem jakim go malują.

Na Zachodzie w gruncie rzeczy nikt nie chce zjednoczenia Niemiec, lecz antykomuniści niemieccy mimo to mają opinię i sympatię całego wolnego świata za sobą. Poddanie 17 milionów Niemców dyktaturze komunistycznej odczuwane jest na Zachodzie zupełnie inaczej niż poddanie dyktaturze komunistycznej 30 milionów Polaków. To jest wielki sukces Niemców, że pomimo widma zjednoczenia — zdołali „trend” opinii w krajach zachodnich bezkompromisowo przechylić na swoją stronę.

Pierwszy raz w dziejach jest coś zakłamanego w naszej postawie wolnościowej.

Tadeusz Galiński w artykule ogłoszonym w „Nowych Drogach” — stwierdza, że inteligencja polska jest jeszcze wciąż „nie przekonana o wyższości kultury komunistycznej”. W środowisku tym — pisze Galiński, trzeba nadal „usilnie walczyć o pełną świadomość socjalistyczną”.

Trzeba jednak stwierdzić, że znaczny procent tych nie przekonanych inteligentów wykazuje niechętny lub wrogi stosunek do emigracji polskiej na Zachodzie — a przed cudzoziemcami odwiedzającymi Polskę stara się wybielać ustrój, który we własnym środowisku krytykuje bezlitośnie.

W grę wchodzi dwa kompleksy, z którymi walka jest bardzo trudna. Niestety w swych konsekwencjach oba kompleksy grają na korzyść komunistów.

Pierwszy kompleks wyraża się poglądem, że do krytyki upoważnieni są tylko ci, którzy mieszkają nad Wisłą. Drugi kompleks wyrósł z wadliwej interpretacji przykazania „niekalania własnego gniazda”.

Między nami na emigracji a inteligencją w kraju przez owe ćwierć wieku wyrósł mur obcości i byłoby dziwne gdyby było inaczej. Lecz w danym konkretnym wypadku chodzi tylko o jedną sprawę, a mianowicie, że tak inte-

ligencja w kraju jak inteligencja na emigracji jest „nie przekonana” o wyższości kultury komunistycznej. Powinniśmy uznać nadrzędność tej sprawy nad wszystkim innym. W przeciwnym wypadku nie przekonamy opinii światowej, że minister Galiński ma *de facto* rację, że Polacy naprawdę nie chcą u siebie kultury komunistycznej.

Inżynierowi, który w odbudowę kraju zainwestował najlepsze lata swojego życia — trudno jest w rozmowie z zagranicznym dziennikarzem czy turystą opłuć wszystko z góry na dół.

Inteligent-humanista, gdy spotka zamożnego turystę z krajów „neonowobenzynowych cywilizacji” drapuje się w tożę lewicowej postępowości. W rozmowie z cudzoziemcem krytykuje (często trafnie i subtelnie) ustrój i cywilizację kapitalistyczną. Nasz inteligent-humanista nie zdaje sobie natomiast sprawy, że w 90 wypadkach na 100 jego cudzoziemski rozmówca, ową krytykę kapitalizmu poczyta za afirmacją ustroju komunistycznego.

Nie ma powodów ani narzekać ani wszystkiego opłuć. Lecz tego co mówi minister Galiński nie należy chować pod kocem. Każdy zachodni turysta wyjeżdżający z Polski winien wywozić z sobą przekonanie, że inteligencja i cały naród polski są nie przekonani.

Komuniści robią wszystko by przekonać zachodnich publicystów, dziennikarzy i specjalistów od wschodniej Europy, że w Polsce wszyscy są za nimi. Jedyni, którzy brudzą to są emigranci. Powyższa akcja, prowadzona z wielkim nakładem środków finansowych przynosi rezultaty. Na Zachodzie nie brak kół bardzo wpływowych, które chcą wierzyć, że Polacy kochają komunizm, uwielbiają cenzurę a ideał kuchni narodowej zjeść mogli dopiero w współczesnych jadłodajniach.

Wystarczy jednak przeczytać referat Gomułki na XIII Plenum, czy cytowany artykuł Galińskiego w „Nowych Drogach”, by przekonać się czarno na białym, że to właśnie my, emigranci, mamy rację twierdząc, że inteligencja polska jest dotąd nie przekonana. P. Galiński jest naszym koronnym świadkiem, który autorytetem swego wysokiego urzędu potwierdza wszystkie nasze informacje.

W gruncie rzeczy w tej podstawowej sprawie istnieje solidarna więź pomiędzy inteligencją krajową i emigracyjną, lecz niestety owej solidarności nie umiemy nadać odpowiedniego wyrazu. I dlatego nie zdołaliśmy wytworzyć „trendu” w opinii zachodnich społeczeństw w stosunku do neo-kolonializmu sowieckiego. Ci sami pisarze i publicyści anglosascy, którzy są uczuleni często do przesady na najmniejszy przejaw kolonializmu w wydaniu zachodnim — Polskę nadal widzą w rewolucyjnym blasku — niepokonaną „Rzeczpospolitą Poetów” — gdzie jak pisze Tadeusz Kubiak:

„...nawet niepiśmienni chwytają za pióro,
ani bacząc na lament gęsi i krzyk pawia,
nienapisane wiersze kołyszac na stawie
od tysiąc lat z gór”.

Skończmy okłamywać siebie samych, a przede wszystkim skończmy okłamywać cudzoziemców. Domaganie się demokracji nie jest nigdy „kalaniem własnego gniazda”. Natomiast strojenie się wobec cudzoziemców w piórka rewolucji, której nigdy nie było — jest kontynuacją „pawia i papugi”.

RENEZANS W PEŁNI

Był czas, że Gombrowicza nie tłumaczono jeszcze tak tłumnie na obce języki i w pismach Paryża nie ukazywały się wywiady z autorem „Transatlantyku”. W kraju Sandauer ogłosił serię szkiców o Gombrowiczu i zainicjował szeroką dyskusję o jego twórczości. Sandauer nazwał Gombrowicza „największym współczesnym polskim pisarzem”.

Dziś Gombrowicza tłumaczą na wszystkie języki europejskie, a o jego twórczości ukazują się liczne studia i szkice. Autor „pamiętników z okresu dojrzewania” po 50 latach dojrzał i dojrzał wspianiale. Jest znany i czytany na obu półkulach i nawet londyńskie „Wiadomości” dały mu nagrodę.

A co dziś w Polsce pisze się o Gombrowiczu?

Posłuchajmy co mówi Stanisław Zieliński w długi artykule w warszawskiej „Kulturze”:

„W Berlinie zachodnim gombrowiczowskie borykanie się z Polską stało się błazeńską kontynuacją osławionego wydawnictwa hitlerowskiego. Ukazywało się podczas wojny i zawierało, jak zawsze opracowane naukowo, wszystkie opinie ujemne o Polsce i Polakach”.

Zieliński w całym artykule przed nazwiskiem Gombrowicza dodaje „wielki pisarz” w cudzysłowach.

Czy można mówić o krytyce literackiej, o kulturze i o zwyczajnej przyzwoitości w kraju, w którym oficjalny tygodnik literacko-kulturalny redukuje całą twórczość wybitnego pisarza „do błazeńskiej kontynuacji wydawnictwa hitlerowskiego”. Zieliński poniżej takich krytyków jak Błoński czy Kijowski, którzy są skazani na kolegowanie z tej klasy paszkwilantami. Ani w „Nowej Kulturze” ani w „Przeglądzie Kulturalnym” taki czysty bierutyzm nie byłby do pomyślenia.

Nie bronię Gombrowicza ani go nie reklamuję, bo Gombrowicz nie potrzebuje ani obrony ani reklamy. Gdy ukazał się pierwszy numer warszawskiej „Kultury” było oczywiste, że ten szacowny organ służyć będzie renesansowi stalinizmu w literaturze. Lecz między najbardziej nawet marksistowsko-ortodoksyjną krytyką literacką, a przemianowywaniem twórczości Gombrowicza na kontynuację wydawnictw hitlerowskich jest jednak pewna różnica. Renesans stalinizm w każdym nowym wydaniu jest coraz bardziej ponury, ponieważ redaktorzy typu p. Wilhelmiemu dysponują już nie trzeciorzędnym, ale czwartorzędnym garniturem współpracowników.

Jest dziś dość materiału by opracować i wydać (oczywiście na emigracji) antologię marksistowskiej krytyki literackiej. Zrobiłby to doskonale Aleksander Wat. Cytowany powyżej fragment dotyczący Gombrowicza stanowiłby niewątpliwie ozdobę proponowanej antologii. Ponieważ warszawska „Kultura” po kilkunastu miesiącach padnie ofiarą następnej re-organizacji — postanowiłem najcelniejszą wypowiedzi krytyków tego pisma przedrukować na tym miejscu, by zachować je dla przyszłych badaczy.

Lecz oczywiście zgodnie ze stalinowskim ceremoniałem nie tylko Gombrowicz jest kontynuatozem hitlerizmu. Wszyscy w paryskiej Kulturze jesteśmy znów hitlerowcami na żołdzie rewizjonistów niemieckich, dokładnie jak za czasów nieboszczyka Bieruta.

„Tygodnik Demokratyczny” (nr 34) obwieszcza zgodnie z nową linią:

„Nie od dziś *Kultura* paryska jest entuzjastką zintegrowania Europy wokół Niemieckiej Republiki Federalnej. Podkreśla to w prawie każdym numerze Londyńczyk, zaznaczając wszystkie przeglądy niemieckie, które zajmują w tym piśmie bardzo dużo miejsca. Środowisko *Kultury* opanowane kontrrewolucyjną fobią widzi w NRF nowe „przedmurze”.

Lecz głównym celem ataku jest recenzja Stanisława Bóbr-Tylingi pt. „Głos niemieckiego przyjaciela” w 3-cim „Zeszytach Historycznym”. W recenzji tej Bóbr-Tylingo omówił „Geschichte der polnischen Nation 1916-1960”, prof. dr. Hansa Roosa’a.

W. Sulewski pisze:

„Właściwie nie wiadomo co jest bardziej rażące, tupet dra Roosa czy cynizm autora rozważań w 3 numerze „Zeszytów Historycznych” *Kultury*. W każdym razie Stanisław Bóbr-Tylingo dał bardzo rzadki wśród Polaków przykład patrzenia na losy Polski przez pryzmat interesów „niemieckiej polityki wschodniej”.

„Swoje rozważania o „Geschichte der polnischen Nation 1916-1960” kończy pan Bóbr-Tylingo wyrazami gorącej sympatii dla tych ośrodków rewizjonistycznych, które reprezentuje dr Hans Ross. Oto do czego prowadzi całkowite zerwanie z własnym narodem, który już dawno określił swój stosunek do teoretyków i realizatorów „dziejowej misji Niemiec na wschodzie”.

Zaś Wojciech Giełżyński („Dookoła Świata” nr 32, 11.VIII.1963 dodaje:

„Z tym środkiem oddziaływania 'na masy' współdziałają również inne kanały propagandowe, przenikające raczej 'do elity'. Jak na przykład paryska „Kultura”. Ten organ, cieszący się wśród pewnych osób mitycznym wprost autorytetem 'intelektualnym' (stempel „Paryż” robi swoje lepiej niekiedy niż stempel „USA”) stoi pozornie na uboczu, nie miesza się w krzykliwym froncie podrzędnych radiostacyjek i piśemek, dyrygowanych wprost przez Agencję Informacyjną Stanów Zjednoczonych. Atoli ukryć się nie da, iż „Kultura” ochoczo spełnia funkcję dzięki partyzantki na tyłach”.

Dla klasycznych stalinowców nie ma dobrych Niemców poza granicami NRD. Naród niemiecki składa się z 55 milionów rewizjonistów i hitlerowców oraz z 17 milionów pokój miłujących komunistów żyjących za wielkim murem Ulbrichta.

Bóbr-Tylingo pochwaliwszy uczciwą i odważną książkę dra Roosa... „całkowicie zerwał z własnym narodem”. Gdyby mi ktoś rok temu powiedział, że ożyją wszystkie sztance bierutowej propagandy — nie uważałbym tego za możliwe. Ileż to razy panowie Arscy i Szlągowie w „minionym okresie” pisali, że *Kultura* „zerwała z własnym narodem”.

Bronić polonofila Roosa w polskim piśmie byłoby rzeczą śmieszną. Wystarczy wyjaśnić, że Roos bywa krytyczny w stosunku do Sowietów. W swojej książce przypomniał jak armie sowieckie przyglądały się obojętnie zgnie-

niu Powstania Warszawskiego — wykazał, że okupant sowiecki w pewnych połaciach kraju np. w Sandomierskim więcej wyniszczył Polaków w pierwszym pół roku swej okupacji, niż Niemcy w ciągu całego okresu wojny. Wspomniał również beznadziejny opór oddziałów NSZ i WIN.

Chodzi tu więc nie tyle o „patrzenie na losy Polski przez pryzmat interesów niemieckiej polityki wschodniej” ile o naruszenie stalinowskiego dogmatu nadrzędności interesów sowieckich.

Osobiście — w przeciwieństwie do pewnych wybitnych postaci Polski Ludowej — nigdy nie byłem zwolennikiem zbrojnego oporu przeciw armiom sowieckim w końcowym okresie ubiegłej wojny — lecz polonofilizmu historyków niemieckich nie możemy oceniać ich stosunkiem do Sowietów. Wprawdzie znane jest powiedzenie Bieruta: „powiedz mi jaki jest twój stosunek do Związku Radzieckiego, a powiem ci czy jesteś dobrym patriotą” — lecz to kryterium, choć obowiązuje w „Tygodniku Demokratycznym”, nie może stanowić sprawdzianu pro-polskich sympatii u cudzoziemców.

Jeżeli czołowy tygodnik kulturalno-literacki borykanie się Gombrowicza z polskością uważa za kontynuację wydawnictw hitlerowskich — jeżeli prof. Roos jest antypolskim rewizjonistą — w takiej sytuacji wszystko jest możliwe. Tylko patrzeć kiedy ukąsą się nowe produkcjuniaki i arcydzieła literatury „neo-buraczanej”.

ZAMEK

Z prasy krajowej wynika, że pogrzebano definitywnie projekt odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie.

Można powątpiewać z czysto formalnego punktu widzenia w sens odbudowywania pomników przeszłości. Stare Miasto, choć budzi podziw turystów w przeciwieństwie do krakowskiego rynku nie jest autentycznym. Lecz w gruncie rzeczy pieczołowicie odbudowane Stare Miasto w Warszawie spełnia identyczną funkcję jak autentyk — Polaków wzrusza, obcych zachwyca, a jednym i drugim mówi o naszej przeszłości. Nowoczesne bloki mieszkaniowe nie spełniłyby tego zadania.

Amerycanie, którzy mają krótką historię i mało zabytków, daliby wiele za autentyczny tytuł do odbudowy tak świetnego zabytku jak Zamek Królewski w Warszawie. Polacy mają tytuł, oryginalne miejsce, dokładne plany i fotografie, lecz komuś na gorze partyjnej projekt odbudowy nie spodobał się.

Rosjanie mają order Suworowa — bądź co bądź carskiego generała — a wszyscy zachodni korespondenci opisują z podziwem troskę z jaką pielęgnowane są i konserwowane wszystkie pałace i budowle historyczne w Związku Sowieckim.

Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie winien zaapelować o pomoc nie tylko do społeczeństwa w kraju i Polaków zagranicznych, lecz również do rządów zachodnio-niemieckiego, sowieckiego i amerykańskiego.

Pałac Kultury jest pomnikiem „minionego okresu”. Pomoc sowiecka w odbudowie Zamku Królewskiego miałaby inny charakter i budziłaby inny oddźwięk w społeczeństwie polskim.

Odbudowa Zamku byłaby wreszcie bezspornym projektem łączącym w solidarnym wysiłku kraj z Polonią zagraniczną. Polacy zagraniczni zamiast

fundować po szerokim świecie tablice pamiątkowe — przekazywałyby pieniądze na odbudowę Zamku w Warszawie.

Kamień jest nie-kontrowersyjny. Wawel, Stare Miasto, Zamek Królewski w Warszawie mówią polszczyzną ponad-partyjną, ponad-czasową — wszystkim nam wspólną. Kamienie przeszłości są źródłem łączności nie tylko z umarłymi, lecz i żywych z żywymi.

„WSPÓŁCZESNOŚĆ” I WSPÓŁCZESNOŚĆ

„...Dobre uniwersytety wyposażają mężczyzn i kobiety opuszczające ich mury w charakterystyczną intelektualną postawę, a mianowicie w zdolność harmonizowania ortodoksji z rewizjonizmem i buntem. Organizacja życia intelektualnego wymaga szacunku dla przeszłości i przyjęcia ścisłej dyscypliny związanej z tradycyjnym nauczaniem. W tym sensie uniwersytety stanowią ogniwa stabilizacji w społeczeństwie i zakotwiczą naród w jego własnej przeszłości.

Lecz ortodoksja jest bezpłodna i nie rodzi nowych idei. Jeżeli tradycja nie jest ustawicznie poddawana rewizji — staje się hamulcem. I dlatego w ramach swego rozwoju uniwersytety nauczyły się nie tylko przekazywać spadek nauki i idei — lecz nauczyły się również przysposabiać studentów do wykrywania błędów w nauce i do rewidowania idei.

Słowa wypowiedziane ostatnio na temat nauki przez Michaela Polanyi — zastosować można do wszelkiej działalności uniwersyteckiej: normy zawodów naukowych muszą nakładać ramy dyscypliny i równocześnie zachęcać do buntu przeciwko przyjętej dyscyplinie... Szczególnym powołaniem społecznym uniwersytetów jest kształcić młodzież w owej dialektyce pomiędzy ortodoksją a rewizjonizmem i protestem. Jakakolwiek zmiana w organizacji uniwersytetów, która zagroziłaby powyższej funkcji — stanowiłaby zagrożenie dla społeczeństwa, któremu uniwersytety służą”.

Przytoczyłem powyżej w nieudolnym przekładzie Londyńczyka fragment przemówienia Sir Erica Ashby wygłoszonego w czasie sierpniowego kongresu Royal Society w Aberdeen.

Ortodoksja jest bezpłodna. Jedynym jej potomkiem jest nuda. Wszyscy ortodoksyjni ideolodzy i pisarze są śmiertelnie nudni. W całej Polsce — jak długa i szeroka nie ma jednego ortodoksyjnego marksisty, który potrafiłby pisać o komunizmie z fascynacją.

W sierpniowym numerze „Twórczości” ukazał się interesujący artykuł Janiny Katz o Uniłowskim. Autorka wspomina również ów kamień rzucony w okno wystawowe „Wiadomości Literackich” już po śmierci pisarza. Janina Katz pisze: „Niech ktoś dzisiaj umrze, kto z przechodni, i za co, pytam, za co, rzuci kamieniem?”.

Istotnie za co dziś rzucić kamieniem? Tylko literaturę protestu i buntu przeżywa się naprawdę. Lecz kto się dzisiaj buntuje w polskiej literaturze, kto demaskuje, kto odślania społeczną krzywdę?

Owszem, młodzi pisarze pluą — lecz nie pod właściwym adresem i boją się „doplwać” do końca. A cóż bardziej beznadziejnego jak „niedoplute” płociny!

Drodzy panowie — jakie się ma uniwersytety taką się ma młodzież — jaką się ma młodzież taką się ma „Współczesność” w cudzysłowach i bez.

ANTY-ABSTRAKCYJONISCI WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

N. Chruszczow:

„Do czego taki obraz, hę? Pokrywa na urywał co? (Malarz Żółtowski występuje wezwany w ten sposób). Wyglądasz bracie, na porządnego chłopca, ale jak mogłeś coś podobnego namalować? Miałbym ochotę ściągnąć ci portki i posadzić cię w gąszczu pokrzyw, żebyś tak długo siedział, aż zrozumiesz swój błąd”.

Dr Z. Stahl:

„Choć Chruszczow mówi o tych sprawach w Moskwie, do swoich, zdaniem moim rozsądnie, (ocena ta nie znaczy, oczywiście, że jestem za stosowanymi tam środkami nacisku czy represjami) — na Zachodzie komuniści popierają sztukę nowoczesną aby, anarchizowała pojęcia i rozluźniała obyczaje”.

Można jednak żywić nieśmiałą nadzieję, że dr Stahl jest przeciwnikiem ściągnięcia z abstrakcjonistów portek i sadzania ich w pokrzywy. Dobre i to.

CZY MOŻNA NIENAWIDZIEĆ KULTURALNIE?

Posłuchajcie:

„Nowa obłapka kremlńska rozpoczęła się od niemal rytualnego przymilania się, świadczenia sobie czułości, merdania ogonami, posikiwania, mizdrzenia się, wzajemnego czochrania, baraskowania i błaznowania niegodnego nie tylko poważnych ludzi ale podrzędnego prowincjonalnego cyrku”.

Tak rozpoczyna się notatka pt. „Nuklearne na Kremlu Gody” w czołowym emigracyjnym tygodniu wydawanym w Londynie. Czytelnikowi nie obznajmionemu z intelektualnym Olimpem londyńskim — nigdy nie przyszoły do głowy, że owe „obłapki” i „posikiwania” spłynęły spod pióra jednego z najbardziej wykształconych i kulturalnych ludzi na emigracji.

Miłość przez wielkie „M” często oślepia i zaślepia, lecz nie uordynarnia. Nienawiść przez wielkie „N” jest zawsze brutalna i ordynarna.

LONDYŃCZYK

Sąsiedzi

Iwan Bahrianyj

W ciągu niespełna roku ukraińska literatura na emigracji poniosła szereg bolesnych strat. W jesieni 1962 zmarł w Stanach Zjednoczonych Todoś Ośmaczka, przed kilkoma miesiącami, w Niemczech — Mychajło Orest, obecnie przychodzi wiadomość o zgonie Iwana Bahrianego.

Przypadek — czy tylko przypadek? — chciał, że wszyscy trzej pochodzili z Ukrainy Naddnieprzańskiej i w mniejszym lub większym stopniu padli swego czasu ofiarą sowieckich represyj. Ośmaczka miał już pod siedemdziesiątkę, ale Orest i Bahrianyj zmarli — obydwaj na udar serca — w wieku, w którym ogromna większość pisarzy na Zachodzie dopiero wchodzi w okres pełnej dojrzałości życiowej i twórczej. Skutki przebytych więzień, śledczej mordęgi i „poprawczych” łagrów sowieckich dają się odczuć i na wolności, w dalszym ciągu ścigając ofiary, którym swego czasu udało się ująć prześladowaniom.

Iwan Bahrianyj urodził się 2 października 1907 roku w Ochtyrce, na Charkowszczyźnie. Ojciec pracował jako murarz, matka pochodziła ze wsi. Był zatem Bahrianyj, jak i przeważająca ilość pisarzy epoki „rozstrzelanego odrodzenia”, pochodzenia proletariackiego.

Kilka lat szkoły ludowej, następnie studia techniczne, wreszcie szkoła ceramiki. Zamknięcia literackie objawiły się bardzo wcześnie, już w jedenastym roku życia. Młody chłopiec nie poszedł za złudzeniami, jakie wzbudzała powszechnie rewolucja bolszewicka. Mając lat dwanaście, był świadkiem okrutnej śmierci dziada i stryja, zamordowanych przez komunistów z zemsty za udział w zbrojnej akcji Petlury. Tam należy szukać uczuciowych źródeł zawziętej, bezkompromisowej postawy anty-komunistycznej Bahrianego. Gdy wielu innych wybitnych pisarzy ukraińskich potrzebowało długich lat i gorzkich doświadczeń, aby

rozczarować się w stosunku do bolszewizmu, Bahrianyj od najmłodszej młodości posiadał postawę jasną i zdecydowaną.

Jako pisarz, zadebiutował bardzo młodo, najpierw w szeregu czasopism, następnie tomikiem wierszy (1927). W tym samym czasie wstąpił do grupy literackiej „MARS”, razem z Kosynką, Pidmohilnym, Antonienko-Dawydowyczem, Hałyczem i Ośmaczką. Dwaj pierwsi zostali rozstrzelani, inni powędrowali na wiele lat do więzień i łagrów. Nie uniknął tego losu i sam Bahrianyj. Partyjna krytyka zaczęła atakować go już w roku 1930-ym, gdy ukazała się powieść historyczna „Skelka”. Tytuł pochodzi od nazwy wsi połtawskiej, w której przebiega akcja powieści. Pisarz przedstawił w niej russyfikacyjną akcję na Ukrainie, przeprowadzaną przez cara Piotra I-go po bitwie pod Połtawą. Antymoskiewskie akcenty wystarczyły, aby Bahrianyj mianowano „piewcą kułackiej ideologii”. W dwa lata później, gdy Kreml przystąpił do metodycznego niszczenia kultury ukraińskiej i warstwy chłopskiej, rozpaczliwie broniącej się przed kolektywizacją, Bahrianyj dostaje się do więzienia i otrzymuje wyrok pięciu lat zesłania na Daleki Wschód. Wiedząc, że stanie ponownie przed sądem, ucieka przed upływem terminu i przez dwa lata ukrywa się wśród ludności ukraińskiej, osiedlonej na wschodnim Sybirze.

Wraca na Ukrainę i po raz drugi wpada w ręce NKWD. Prawie dwa i pół roku siedzi w śledczym więzieniu w Charkowie. Doświadczenia tego okresu stały się kanwą dla wstrząsającej powieści „Ogród w Getsemani”, wydanej na emigracji w r. 1950.

Dzięki wybuchowi wojny sowiecko-niemieckiej, w pierwszym okresie pogromu i paniki udało mu się wydostać na wolność, a następnie przenieść się na Zachód i zamieszkać w Niemczech Zachodnich, gdzie prowadził rozległą i niezwykle intensywną działalność literacką, publicystyczną i polityczną. Zmarł na serce po dłuższej chorobie, 25 sierpnia 1963 roku, w wieku lat 56, i pochowany został na cmentarzu w Nowym Ulmie.

W pierwszych latach powojennych każdy emigrant zajmował w jakimś sensie polityką i nie zawsze dawało to dobre wyniki. Bahrianyj był politykiem i organizatorem z urodzenia i z temperamentu. Był nim w tragicznym okresie największego nasilenia komunistycznego terroru na Ukrainie, i później na zesłaniu i podczas wojny, gdy znalazł się w szeregach Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA), i wreszcie w ciągu osiemnastu lat wytężonej działalności emigracyjnej.

Zdecydowany, sztywny antykomunizm często doprowadza do przegięcia pałki w przeciwną stronę. Wówczas zaczyna się egzorcyzmowanie jednego diabła innym szatanem i fatalny krąg zamyka się na nowo. Nie pierwszy to raz reakcja gnębionego narodu wyradza się w wąski, sztywny nacjonalizm, a my, Polacy, dobrze o tym wiemy z własnych historycznych doświadczeń. Bez żadnych intencji osądzania wewnętrznego układu po-

litycznego emigracji ukraińskiej, stwierdzić należy, że grupa, na której czele stał Bahrianyj, odznaczała się zawsze stosunkowo dużym umiarkowaniem w sprawach, budzących zazwyczaj pasje niełatwe do zażegnania.

Tuż po wojnie Bahrianyj założył Ukraińską Partię Rewolucyjno-Demokratyczną (URDP), wypowiadając się w jej imieniu najczęściej na łamach pisma „Ukraińskie Wisti”. Z ramienia tej Partii był stałym członkiem Ukraińskiej Rady Narodowej, której przewodniczył kilkakrotnie w różnych okresach. Od listopada ubiegłego roku zajmował stanowisko wiceprezydenta UNR. „Państwo na uchodźstwie” straciło w osobie zmarłego jednego z najwybitniejszych działaczy.

Aż do końca doczesnych dni Bahrianyj walczył żywym i dobitnym piórem o niepodległość swego narodu i o swoje przekonania polityczno-społeczne. Powołanie rasowego polityka łączyło się w nim z temperamentem urodzonego publicysty. Cieszył się szacunkiem i poważnym wpływem, zarówno jako pisarz jak działacz. Naturalnie, jak każdy człowiek walczący, miał swoich przeciwników i wrogów. Konflikty polityczne w naszych czasach, niestety, nie odznaczają się elegancją, i nie było jeszcze w dziejach takiej emigracji, którą ominęłyby gorszące spory, „za późne żale” i „potępieńcze swary”.

Czy i o ile Bahrianyj-polityk i dziennikarz zaszkodził Bahrianyemu-pisarzowi? W życiu autora „Ogrodu w Getsemani” trudno oddzielić politykę i publicystykę od literatury, co wynikało organicznie z samej konstytucji pisarskiej. W tych warunkach trudno mówić o jakimś konflikcie. A jednak faktem jest, że po wojnie, w miarę wchodzenia coraz głębiej w działalność polityczno-organizacyjną, Bahrianyj pisał coraz mniej, jeśli nie liczyć stałych wypowiedzi publicystycznych. Zapewne przyczynił się do tego zły stan zdrowia: pisarz, który zmarł na serce, przez długie lata zmagał się z gruźlicą. Tak czy owak, rozkwit twórczości Bahrianyego przypada na lata wojny i pierwszy okres powojenny. Po roku 1950-ym — data wydania „Ogrodu w Getsemani” — napisał już tylko dwie książki: powieść „Ogniste koło” (1953) i satyrę „Antoni Bida — bohater pracy” (1956).

Właściwie normalnymi warunkami spokojnej pracy Bahrianyj nie rozporządzał nigdy. Najlepsze swoje lata, między 1932 i 1945, dzieli między areszty, więzienia, zsyłki, ucieczki, nielegalne wędrówki, spiski i partyzantkę. I mimo to właśnie te burzliwe lata stanowią najpłodniejszy okres w jego pisarstwie. Jak tu po tym wszystkim zapewniać, jakoby Muzy musiały milknąć wśród szczyku bitewnej broni!

Nie, na pewno nie milkną, ale w przejściu od jednego do drugiego pobojuwiska przemawiają z pośpiechem, często głosem zachrypniętym od gniewu i uniesienia, nie mając czasu na szlifowanie słów, ani na dbałość o staranne układanie fałd oratorskiej

togi. Prawie wszystko, co Bahrianij po sobie zostawił, pisane było właśnie w najwyższym pośpiechu, niemal tak, jak pisze się meldunek na kawałku papieru, położonym wprost na siodle, albo gdzieś na nocnym postoju w chłopskiej izbie, przy pełgającym blasku świecy, wetkniętej w szyjkę butelki.

Jest to twórczość żywiołowa, potoki zdań płyną przez dygoczącą krtać niepowstrzymanie, w gwałtownym skurczu serca i bólu spieczonych warg, zdobywają się na patetyczny krzyk, opadają bezsilnie, znów się podrywają, a zawsze towarzyszy im niepodrabiana szczerłość, autentyczne cierpienie, prawda życiowa, nie tyle podpatrzona, co po tysiącokroć odczuta na własnej skórze.

Gdy przed laty pisałem dla „Kultury” obszerną recenzję z „Ogrodu w Getsemani”, zwróciłem uwagę na brak precyzji i dyscypliny słowa, rozlewność, nadmierne dłużyżny, gadatliwość, ale z tym wszystkim nie mogłem nie uznać, że chodzi o książkę stanowiącą wstrząsający dokument epoki. Dokument ludzkich zbrodni i heroizmu, nikkczemnej tyranii i wspaniałej walki samotnego człowieka o wolność, honor i godność osobistą. Podkreśliłem również, że ta opowieść, mimo iż sięga aż do samego dna sowieckiego piekła, jest w gruncie rzeczy książką optymistyczną, gdyż pokazuje zwycięstwo ludzkiego heroizmu. Heroizm, tak — to najważniejsze określenie, gdy mowa o tej, zapewne niedoskonałej artystycznej, ale głęboko humanistycznej twórczości.

W młodości Bahrianij był również poetą. Jego wiersze, wydane w 1946 w okazałym zbiorze „Złoty bumerang”, mają te same zalety i wady, co proza powieściowa i dramaty. Ta sama wybuchowość, bezpośredniość, bujna rozrzutność patetycznego słowa i metafory. Gdyby osobiste koleje życia potoczyły się inaczej, gdyby Bahrianij był bardziej literatem, a mniej człowiekiem walki, który warsztat pisarski ustawia w poprzek barykady, może by tendencja poetyckiego baroku, najświetniej we współczesnym piśmiennictwie ukraińskim reprezentowana przez Mykołę Bażana w jego młodości, znalazła jeszcze jednego wybitnego przedstawiciela.

Ale trwanie na barykadzie ma swoje prawa, spod których wyłamać się niesposób. W liryce skończyły się na interesującej zapowiedzi. Iwan Bahrianij zdobył sobie pozycję w literaturze głównie jako prozaik.



Nawet pobieżny rzut oka na biografię zmarłego pisarza pozwala stwierdzić, że niewiele miał czasu na systematyczną pracę literacką. Mimo to łatwość pisania sprawiła, że należy do autorów płodnych, zwłaszcza gdy chodzi o okres sprzed roku 1950. Niektóre z jego utworów zaginęły, lub znalazły się w archiwach GPU i NKWD. Oto bibliografia, prawdopodobnie niepełna, gdyż nie mam pod ręką wszystkich materiałów.

„Ku zakazanym granicom”, poezje, 1927; „Ave Maria”, proza, 1929; „Skelka”, powieść historyczna, 1930; „Przywidzenie”,

powieść, 1932; „Łowcy zwierząt”, powieść, 1944; „Łowcy tygrysów”, przeróbka poprzedniej powieści, 1946; „Złoty bumerang”, poezje, 1946; „Generał”, „Pogrom” i „Morituri” — utwory dramatyczne, nie znam dat wydania; „Ogród w Getsemani”, powieść 1950; „Ogniste koło”, powieść, 1953; „Antoni Bida — bohater pracy”, utwór satyryczny, 1956. Poemat „Marusia Bohusławka” i powieść „Marko Kohut”, skonfiskowane przez GPU, nie ukazały się, o ile wiem, w druku. Być może, w papierach po zmarłym znajdują się inne, niewydane dotąd utwory. Ponadto pozostaje bardzo obszerny, porzrzucany po czasopismach dorobek publicystyczny.

„Ogród w Getsemani” został przełożony na francuski i niemiecki; „Łowcy tygrysów” ukazały się w przekładzie angielskim (trzy wydania), niemieckim (dwa wydania) i holenderskim.

Józef ŁOBODOWSKI

Protest Hansa Mayera

Reżym ulbrichtowski w Niemczech wschodnich nie ma szczęścia w stosunkach z intelektualistami. W roku 1956 zbuntował mu się młody filozof Wolfgang Harich, który stanął na czele sporej grupy rewizjonistów. Haricha posadzono do więzienia, gdzie wciąż jeszcze odbywa karę za zbyt śmiałe myślenie i działanie. Pięć lat później, po wzniesieniu muru w Berlinie, jesienią 1961 roku, reżym SED spotkała druga z kolei klęska w dziedzinie kultury i nauki. Ernst Bloch, najwyższy obok Lukacsa autoritet w filozofii marksistowskiej w obrębie bloku wschodniego, nauczyciel całej plejady młodych naukowców wschodnio-niemieckich przeszedł na stronę Zachodu. Teraz, jesienią 1963 roku nastąpił trzeci cios: Hans Mayer, czołowy marksistowski krytyk literacki, znawca nowoczesnej literatury i kierownik Instytutu Badań nad Literaturą Współczesną na uniwersytecie lipskim ustąpił ze wszystkich stanowisk i postanowił pozostać na Zachodzie, dokąd go wysłano w związku z jakąś konferencją w Hamburgu.

Z odejściem profesora Mayera marksistowskie studia literackie w Niemczech Wschodnich znajdują się w takim samym opłakanym stanie, jak to już wyraźnie nastąpiło na polu filozofii, historii, sztuki itd. Nawiasem mówiąc, niedawno wybrał wolność młody historyk prof. Müller, który był dumą i nadzieją reżymu

w nader ważnej z politycznego punktu widzenia dyscyplinie Afrykanistyki. Prof. Müller — to zresztą syn jednego z twórców armii w Niemczech Wschodnich, generała Winzenza Müllera, który przed dwoma laty, rozczarowany rozwojem sytuacji we własnym kraju, odkręcił kurek od gazu! Ale choć strata wynikała z ucieczki afrykanisty Müllera jest dotkliwa, to jednak jest ona niewspółmierna z tym, co oznacza odejście Hansa Mayera. Komunista z przekonania, umysł światły i otwarty, erudyta rzadkiego kalibru, zajmował w życiu duchowym Niemiec Wschodnich pozycję, którą można chyba przyrównać do tego, czym przed wojną był György Lukacs na Węgrzech. Jego umysłowość łączy w szczęśliwym powiązaniu solidność wiedzy i precyzyjność metody badawczej z lekkością i kunsztem formy literackiej.

Okres hitleryzmu spędził Mayer na Zachodzie, głównie w neutralnej Szwajcarii. Tam też powstały pierwsze poważne studia o Sartrze i jego twórczości. Po wojnie Hans Mayer wrócił do Niemiec, początkowo do Zachodnich, skąd gdzieś około 1948 roku przeniósł się do Wschodnich. Wierzył, że może przyczynić się do budowy nowego ładu. Tutaj też, obok pracy uniwersyteckiej i literacko-badawczej, brał bardzo aktywny udział w zbliżeniu z intelektualistami polskimi. Był jednym z pierwszych Niemców, których przyjęto w zniszczonej Warszawie. Odtąd stał się wielkim przyjacielem Polscy i Polaków. Jeździł często nad Wisłę, nawiązywał więzy szczerzej przyjaźni, ubolewał nad zastojem literatury i nauki w czasach stalinowskich, cieszył się Październikiem. Wtedy to, kiedy Ulbrichtowcy intrygowali przeciwko odradzaniu się wolności w Polsce, Hans Mayer stanął po stronie polskich reform. Próbował je przeszczepić na nieurodzajny grunt NRD.

W zasięgu ogólnopolitycznym mało z tego wyszło, ale młodzież uniwersytecka Lipska wyniosła z wykładów Mayera z tego okresu wrażenia, które zapadły głęboko i kiedyś dadzą owoce. Otwarta obrona zakazanych swobód oraz opowiedzenie się po stronie polskich i węgierskich rewizjonistów spowodowały masę trudności, z których Mayer wychodził dlatego obronną ręką, bo reżym nie mógł sobie pozwolić na stratę tak wybitnej i reprezentatywnej osobistości. Mayer nie chciał zresztą uciekać, bo uważał, że jego miejsce jest wśród studentów, naukowców i literatów, aby walczyć i wychowywać ich w duchu socjalizmu, wolności i tolerancji. Chyba już w roku 1956 Mayer przestał być „wierzającym”, ale trwał na posterunku. Miarka kompromisów przebrała się w roku 1961 po wzniesieniu muru w Berlinie. Pojechał wtedy do przyjaciół polskich w Warszawie i poprosił o azyl. Aparatczycy Gomułki, wówczas już bardzo blisko związani z Ulbrichtowcami, odrzucili jakąkolwiek formę pomocy dla Hansa Mayera. Wrócił do Lipska zdruzgotany. Szybko jednak odzyskał werwę i ochotę do dalszej walki. Poszedł nawet na akcję równie odważną jak ryzykowną, bo oto w okresie największego nawrotu do stalinowskiej polityki w kulturze i nauce NRD, pod koniec roku 1962 ogłosił w hamburskim wydawnictwie Ro-

wolta zbiór esejów: „Poglądy o współczesnej literaturze” (1). Dzieło to wywołało energiczną reakcję partii, akcję do której wciągnięto cały aktyw partyjny uniwersytetu lipskiego.

Cóż to za książka, która tak dotknęła dogmatyków z grupy Ulbrichta? Jest to, jak już wspomniałem, zbiór esejów. Większość z tych prac była augurom literatury już dawniej znana i choć patrzyli na nie z nieukrywaną złością — nie wzbudzały one tak żywiołowego sprzeciwu jak rzeczy nowe, po raz pierwszy włączone do zbioru. Z tego co wiadomo, cztery nowe eseje były przyczyną rozpętania całej kampanii. Są to: „Doktor Żiwago”, „Poglądy Witolda Gombrowicza”, „Ionesco i ideologie” oraz „Literatura i dzień powszedni”. Największą burzę wywołał Mayer esejami o znanej powieści Pasternaka i o twórczości Gombrowicza. Aby choć w przybliżeniu ocenić postawę Mayera-krytyka, przytoczymy mały wyjątek z rozdziału o książce „Doktor Żiwago”:

„Zasadniczym tematem powieści Pasternaka jest totalne niezaangażowanie się człowieka. Ta przesłanka jednak... nie jest właściwością Jurija Żiwago, ale cechą pewnego typu ludzkiego i społecznego. Całkowita ideologiczna i emocjonalna wstręmięliwość ludzi, którzy w pewnej epoce swego życia, a jednocześnie wydarzeń, postanowili być nie-bohaterami ich czasu, co w pewnym stopniu przemienia ich w zjawiska typowe i czyni właśnie „bohaterami ich czasów”. Właśnie nie-akcję i sceptyczną uporczywość swego bohatera Peczorina zawarł Lermontow w formule „bohater naszego czasu”. Konflikt życiowy Żiwago zaostrza się jeszcze wskutek tego (uwypatniła to polemika w sprawie powieści Pasternaka), że niezaangażowanie się doktora przypada na okres, który — bardziej niż jakakolwiek epoka burżuazyjnej sytości i historycznego zastoju — po prostu wołał o zaangażowanie i zdawało się, że to osiągnie.

Z tego wynika, że lekarz i pisarz nie tylko popada w konflikt z tymi, którzy się zaangażowali, czy to występując po stronie rewolucji, czy też (jak jego żona i teść) opuszczając Rosję i idąc na emigrację, ale jednocześnie sam wypada z biegu historii. Nieangażowanie się Żiwagi oznacza decyzję na rzecz niehistorycznego bytu w chwili najwyższego napięcia historycznego”.

Jeszcze kapitalniejsze jest — jak mi się wydaje — studium o Gombrowiczu. Jest to chyba — nie robiąc ujemy ani Jeleńskiemu, ani Bondy'emu — najlepsze odczytanie gombrowiczowskich tekstów i podtekstów, a przede wszystkim filozoficznej postawy pisarza. W jednym miejscu Hans Mayer zwraca uwagę na to, że „stosunek powieści *Ferdynand* do myśli, które ogólnie wiąże się dzisiaj z filozofią Sartre'a, jest bardzo dziwny i świadczy o swoistej pechowości tego trudnego i niewygodnego Polaka-Gombrowicza. *Ferdynand* jest w istocie Sartre'm przed Sartre'm, albo może: jednocześnie z Sartre'm. Obydwie powieści *La Nausée* i *Ferdynand* ukazały się w tym samym 1938 roku,

(1) Hans Mayer. *Ansichten zur Literatur der Zeit*.

zupełnie niezależnie od siebie, w Paryżu i w Warszawie. Sartre'a „Autodykt” mógł równie dobrze znaleźć się w polskiej wersji u Gombrowicza”.

Gdzie indziej, pisząc o *Pornografii*, którą analizuje z wielką jasnością i stawia bardzo wysoko, odkrywa Mayer „literackie korelacje” ze sztukami i powieściami Geneta, zastrzega się jednak przy tym, że sprawa, czy Gombrowicz te rzeczy czytał, jest zupełnie drugorzędna, bo: „powieść *Pornografia* jest i będzie autentycznym Gombrowiczem”.

Na próżno byłoby też doszukiwać się w absurdalności trzech mordów w finale książki jakichś „wpływów” Ionesco czy Dürrenmatta, bo u Gombrowicza — jak orzeka stanowczo Mayer — „to wszystko wywodzi się z pozycji filozoficznych”.

Wiele miejsca poświęcił Mayer gombrowiczowskiemu *Dziennikowi*. Widzi on w tej formie pisarskiej „idealną możliwość wypowiedzi” Gombrowicza. Podkreśla, że polski pisarz jest „niezwykłą postacią współczesnej literatury”, zaznacza jednocześnie, że „geniuszowych możliwości tego artysty” nie sposób wyłożyć ani powoływaniem się na człowieka-Gombrowicza, ani poprzez jakąś segregację jego tez i myśli, bo jak mówi dalej: „Fenomen literacki Witolda Gombrowicza leży poza sferą wszystkich twierdzeń i faktów życia”. Co więcej Hans Mayer kończąc wywody na temat stosunku artysty-Gombrowicza do krytyków literackich, pisze: „Osobliwość Witolda Gombrowicza w historii literatury polega na tym, że ten nieuchwytny stosunek pomiędzy artystą a krytykiem, pomiędzy „ja” i otoczeniem, stał się właściwym tematem Witolda Gombrowicza. Jego jedynym tematem”.

Jeśli zważyć, że Gombrowicz w Niemczech Wschodnich literacko nie istnieje i istnieć nie może, bo czerwoni epigoni formuły hitlerowskiej *Kunst für Volk* postawili go na indeksie, to chyba łatwo zrozumieć dlaczego Hans Mayer musiał odejść od tego reżymu. Powzięcie takiej decyzji na pewno nie było dla niego łatwe. W Lipsku zostawił nie tylko wielotysięczną, przez wiele, wiele lat pieczołowicie kompletowaną bibliotekę, ale co ważniejsze, wielką gromadę wiernych i bliskich mu studentów. Hans Mayer powiększył grono tych pisarzy, artystów i krytyków, którzy tak długo wierzyli w ziszczenie się nowego ładu, dopóki nie zobaczyli, że szlachetna utopia zamieniła się w błoto.

Należy cieszyć się, że człowiek typu profesora Hansa Mayera, który nawet we Wschodnich Niemczech miał odwagę samodzielnej myśli, znalazł się na Zachodzie.

BERLIŃCZYK

Przegląd niemiecki

Adenauerowska era w Niemczech Zachodnich dobiega kresu. Wkrótce prof. Ludwig Erhard obejmie ster rządów. Czy popularnemu ekonomście chadecji uda się powstrzymać dojście do władzy socjalistów — wykażą dopiero następne wybory do Bundestagu. Na razie decyzja przekazania w nadchodzącej jesieni kanclerstwa Erhardowi uspokoiła ferment w szeregach chrześcijańskich demokratów, a przyszyły kanclerz osiągnął osobisty sukces w wyborach do parlamentu krajowego w Dolnej Saksonii, gdzie jego partia zdołała zwiększyć ilość otrzymanych głosów z 30,8% na 37,7%. Ale jednocześnie socjalistom i liberalom także przybyło wyborców: socjaliści otrzymali 44,9% (poprzednio 39,5), a Wolni Demokraci 8,8% (poprzednio 5,2) głosów. Zdecydowaną porażkę poniosła uchodźcza „Gesamtdeutsche Partei”, która schodzi bezpowrotnie ze sceny politycznej. Znika też lokalna hanowerska partia konserwatywna — „Deutsche Partei”.

Jeżeli uwzględnić głosy konserwatystów oddane przeważnie na chadeców, a częściowo na liberałów, właściwymi zwycięzcami w wyborach okazują się socjaliści. Sukces Erharda w tych wyborach polegał raczej na przywróceniu lepszego samopoczucia w szeregach własnej partii, niż na przyroście głosów. To samopoczucie było mocno osłabione wewnętrznymi tarciami i skutkami wyborów w Hesji — gdzie socjaliści zdobyli absolutną większość 50,9% głosów, a później w Berlinie, — gdzie większość socjalistów osiągnęła 61,9% głosów.

Wyniki wyborów do lokalnych parlamentów w czterech krajach związkowych i w Berlinie pozwalają scharakteryzować kończącą się erę adenauerowską ustaleniem się systemu dwupartyjnego. Trzecia partia — Wolni Demokraci — nie ma zbyt różowych perspektyw na długotrwałe odgrywanie roli jęczyczka u wagi. Na razie korzysta z zastarzałych antagonizmów partyjnych, nie pozwalających chadecce, niezadowolonemu ze swej partii, głosować na socjalistów i odwrotnie. Ale różnice programowe między chrześcijańskimi i socjalistycznymi demokratami zacierają się tak szybko, że trudno sobie wyobrazić, aby przez dłuższy czas znajdowało się jeszcze miejsce i dla Wolnych Demokratów.

Następną cechą kończącej się ery jest związane Niemiec z Zachodem. Nie tylko w pakcie przyjaźni z Francją. Należy tu rozumieć cały obóz zachodni jako przeciwieństwo komunistycznego Wschodu. Związanie się Niemców z obozem zachodnim za rządów Adenauera zostało na tyle ugruntowane, że znikła wszelka, mogąca mieć znaczenie, opozycja przeciw takiemu stanowi rzeczy. Dotyczy to powiązań zarówno politycznych jak i gospodarczych. Zdołano w tym kierunku usunąć wiele dawnych przesądów, zdołano przekonać własne społeczeństwo, że dobre współzycie z Za-

chodem jest więcej warte niż względy prestiżowe i przebrzmiałe mity polityczne.

To utrwalenie powiązań z Zachodem stanowi podstawę wielkości historycznej ustępującego kanclerza. Wielkości tej nie pomniejsza wcale fakt, że Adenauer w ciągu czterech lat rządów nie zdołał przygotować wyraźnej pozycji wyjściowej do ułożenia w przyszłości poprawnych stosunków z bezpośrednimi sąsiadami na Wschodzie. Być może — nie przygotowano takiej podstawy nie dlatego, że nie chciał, lecz że zadanie to wymagało i wymaga znacznie dłuższego czasu niż ubiegłe czarnaście lat.

Jeżeli więc stosował politykę odwiekania decyzji, to widocznie uważał, że czas wytłumaczy społeczeństwu niemieckiemu dobitniej, a z mniejszymi wstrząsami, utratę pruskiej pozycji na wschodzie. Ale dopiero przyszłość pokaże, czy polityka „na zwłokę” była manewrem wielkiego męża stanu, czy tylko wątpliwej wartości rachubą na sukcesy wyborcze.

W rezultacie — ustępujący Kanclerz, poza wieloma skomplikowanymi zagadnieniami wewnętrznymi i zachodnimi, pozostawia swemu następcy niezmiernie kłopotliwą, pozbawioną wyraźnego kierunku, politykę wschodnią.

Wytłumaczenie społeczeństwu niemieckiemu podstaw polityki wschodniej Adenauer pozostawiał wolnemu ścieraniu się poglądów między statystami miary autorów znanego „Memorandum Ośmiu”, a ich adwersarzami. Jako najbardziej zainteresowani, winniśmy uważnie śledzić rozwój ścierania się tak skrajnych przeciwieństw, jak wspomniane „Memorandum” i „30 tez o zjednoczeniu Niemiec i zagadnieniu Odry-Nysy”, opublikowanych przez *Göttinger Arbeitskreis*.

O Memorandum pisaliśmy już obszernie (Kultura nr 174). Natomiast zajmowanie się treścią „Tez”, lub wdawanie się w polemikę z ich autorami, wydaje się jałowym zajęciem. Tezy pomyślane są nie jako podstawa do dyskusji z Polakami, lecz przede wszystkim jako narzędzie mające zdruzgotać Memorandum, następnie jako zaporę przeciw ewentualnemu nawiązaniu stosunków dyplomatycznych między Bonn a Warszawą i — wreszcie — stanowią one nieco zamaskowaną, lecz dostatecznie wyraźną ofertę współpracy z Rosją. „Tezy” stanowią jednak przeciwległy biegun dla Memorandum, przeto oscylacja niemieckiej myśli politycznej między tymi biegunami ma dla nas niezwykle ważną wymowę.

Obecnie, w pięć miesięcy po opublikowaniu tez, można już powiedzieć, że słabo spełniają one zadania wyznaczone im przez autorów: w wielkiej prasie, poza nielicznymi drobnymi wzmiankami, brak zainteresowania tezami; w Dolnej Saksonii majowe wybory zmiotły z areny politycznej ministra Schellhausa, żądającego kary więzienia za tzw. „Verzichtspolitik”, czyli za ustępliwy stosunek do Polaków; Republika Związkowa zawarła w międzyczasie układ handlowy z Warszawą o wyraźnie politycznym znaczeniu; wpływy związków uchodźców i ziomkostw raczej słabną; zaś myśli polityczne ujęte w Memorandum zataczają coraz szersze kręgi.

Trzeba jednak pamiętać, że getyngenski *Arbeitskreis* i bliskie mu duchowo kierownictwo ziomkostw, posiadają wielu posłów, usadowionych równomiernie we wszystkich trzech partiach wchodzących do Bundestagu, a poza tym mają wiele powiązań i wpływów w biurokracji państwowej.

Dla posłów związanych w jakikolwiek sposób z kierownictwem ziomkostw, bez względu na przynależność partyjną, „30 Tez” stanowi coś w

rodzaju utrzykrotnionych dziesięciorga przykazań i obowiązuje zarówno chadeka, jak socjalistę i wolnego demokratę. Dla nich myśl o restytucji państwa niemieckiego w granicach z 1937 roku jest dogmatem, którego są gotowi bronić do upadłego i wszelkimi dostępnymi im środkami.

Publikacja „30 Tez” być może miała także na celu powstrzymanie rozpowszechniającego się w Niemczech zainteresowania sprawami polskimi. To zainteresowanie jest niezwykle ciekawym zjawiskiem, występuje spontanicznie i znikąd nie jest kierowane. Prowadzi do upowszechnienia znajomości Polski, jej dziejów i imponderabiliów, a tym samym umożliwia w przyszłości porozumienie. Jak dotąd jednak znajomość spraw polskich jest w Niemczech wciąż jeszcze mniej niż znikoma. Ilość rzeczywistych znawców tych spraw z pewnością zmieścilibyśmy w trzycyfrowej liczbie, a nawet ilość osób, którym wydaje się że znają sprawy polskie też nie jest wielka. Jeżeli przeto spotykamy się tutaj stale — w audycjach radiowych, w prasie, w różnych dyskusjach — z wieloma niedokładnościami lub nieporozumieniami, nie należy w takich wypadkach doszukiwać się złej woli.

Wyrazem zainteresowania naszymi sprawami jest stale wzrastająca ilość wydawnictw tłumaczonych z polskiego, zaś wyrazem nieznaności tych spraw jest niezawsze fortunny wybór tłumaczonych książek. Z największą słuszością dr H. Lauen mówił (31.V.63) w radio hanowerskim: „...obecnie należy u nas niejako do dobrego tonu, aby każda niemiecka firma wydawnicza drukowała swoją polską książkę. Nic temu nie można by zarzucić, gdyby jakość tłumaczonej książki była na odpowiednim poziomie, co jednak nie zawsze ma miejsce”.

Również wyrazem zainteresowania naszymi sprawami jest stale wzrastająca ilość audycji radiowych o Polsce, często na bardzo wysokim poziomie.

Wszystkie niemieckie radia krajowe są niezależne i bardzo tolerancyjne, dopuszczają przeto do głosu najbardziej antagonistycznych autorów. Słyszemy więc czasem w sprawach polskich i wypowiedzi dostosowane do smaku getyngenskiego *Arbeitskreisu*. Natomiast za takie audycje, jak blisko godzinny odczyt Tadeusza Nowakowskiego o Niemcach w zwierciadle literatury polskiej, nadany w radiu bawarskim trzeciego maja, należy kierownictwu radia wyrazić podziękowanie.

Radio bremeńskie, w porozumieniu z radiem warszawskim, zorganizowało w dniach 26.5 — 1.6. „Tydzień Polski”. Nadano ponad 50 audycji obszernie omawiających obecnie warunki społeczne, kulturalne i gospodarcze w Polsce.

Wiele hałasu w prasie, zwłaszcza uchodźczej, wywołał reportaż z Wrocławia, nadany przez hamburską telewizję i stwierdzający, że niemiecność tego miasta niknie całkowicie. Sprawozdawcy dopatrują się przyczyny tak szybkiej polonizacji miasta, które przed 19 laty było niemal sto procentowo niemieckie, w liberalizmie Polaków. Pokazano obecny uniwersytet wrocławski, w którym portrety wybitnych niemieckich profesorów tego uniwersytetu, starannie odnowione, wiszą na dawnych miejscach. Rektor uniwersytetu i wielu profesorów mówili poprawną niemiecką i z dumą podkreślali, że w sprawach wiedzy są kontynuatorami dawnego niemieckiego uniwersytetu w równej mierze jak i przeniesionego tu uniwersytetu Jana-Kazimierza. Burmistrz przyjmował reporterów również

poprawną niemiecką. W odbudowanym magistracie i w innych budynkach historycznych, nie zacierają się śladów niemieckich. Przeciwnie, pieczołowicie się je rekonstruuje, jeżeli tylko przedstawiają wartość artystyczną lub historyczną.

Oczywiście tego rodzaju reportaż wywołał wprost zgorznienie u ludzi, którzy czują się osobiście dotknięci, gdy Polak mówi Wrocław, a nie Breslau. Z powodu tego reportażu pismo skrajnych nacjonalistów, czy może neo-nazistów, *National und Soldaten Zeitung*, które przez swą napuszoną patetyczną krańcowość i dobór odpowiednich tytułów jest właściwie jedynym w Niemczech świetnie redagowanym pismem humorystycznym, zdobyło się na tytuł: „Was haben die Polen in Breslau zu suchen?” — czego Polacy szukają we Wrocławiu?



Audycje na polskie tematy w niemieckich radiach krajowych są wrazem wrastającego zainteresowania tymi sprawami, mogą mieć duże znaczenie polityczne, nie stanowią jednak instrumentu polityki. Inaczej przedstawia się sprawa audycji nadawanych po polsku przez radiostacje znajdujące się w dyspozycji Rządu Związkowego. To już jest przede wszystkim polityka.

Przed rokiem rządowa stacja *Deutsche Welle* rozpoczęła na krótkich falach codzienną półgodzinną audycję po polsku. Od 12 czerwca również rządowy *Deutschlandfunk* nadaje na fali 1538kHz/195 metrów o sile 300 kW półgodzinną audycję po polsku od g. 20.00 do 20.30.

Deutschlandfunk jest nowoczesną stacją, uruchomioną dopiero w styczniu 1962 roku, nadającą na jednej długiej fali 1986,8 metra i na trzech średnich, 195, 397 i 548 metrów. Obecna siła stacji, 300 kW., będzie w ciągu 1964 roku podwojona. Będzie to więc fala łatwo i dobrze słyszalna w każdym zakątku Europy.

Deutschlandfunk według słów Intendenta (co w radiach i teatrach niemieckich oznacza Naczelnego Dyrektora), dra H.F.G. Starke, od początku swego istnienia jest nastawiony na Europę i swoje niemieckie zadania widzi w Cieszynie w 1914 roku, ukończył niemieckie gimnazjum realne w Łodzi, rozszerzał, aż osiągniemy cel, dla którego *Deutschlandfunk* został ufundowany: aż staniemy się niemiecką stacją radiową dla sprawy Europy”.

Jednocześnie z polskimi audycjami rozpoczęto na tej samej fali nadawanie po czesku (godzina 20,30 — 21.00) i po serbsko-chorwacku (21.00 — 21.30). Jesienią rb. rozpoczną się audycje węgierskie i rumuńskie, a polskie prawdopodobnie będą przedłużone do całej godziny. Rosyjskich audycji *Deutschlandfunk* nie projektuje.

Redakcje powyższych pięciu audycji już zostały skompletowane i zatrudniają od ośmiu do dwunastu pracowników: szefa, redaktorów, speakerów i tłumaczy. Szefostwo polskiej sekcji objął 4 czerwca były naczelny redaktor berlińskiego *West-Östliche Begegnung*, Peter Nasarski. Urodzony w Cieszynie w 1914 roku, ukończył niemieckie gimnazjum realne w Łodzi, później Wyższą Szkołę Grafiki w Wiedniu, w latach 1934-39 był jednym z redaktorów łódzkiego dziennika niemieckiego „Freie Presse”, od końca

wojny przebywał w zachodnim Berlinie, trudniąc się zawodowo dziennikarstwem i radiofonią, prowadząc w radiu berlińskim trzy audycje specjalne.

Poza szefem, P. Nasarskim, redaktorem sekcji polskiej jest Hans Joachim Knaute, lat 32, z Poznania, zawodowy dziennikarz. Sekcję polską uzupełniają trzech tłumaczy, dwóch speakerów i trzy sekretarki. Wszystkich współpracowników sekcji obowiązuje biegła znajomość polskiego.

W wywiadzie udzielonym „Kulturze” w lipcu rb. zastępca intendenta, dyrektor programu politycznego *Deutschlandfunke*, Josef Viehöver, lat 38, katolik, socjalista, pochodzący z Saary i były wieloletni współpracownik radia w Saarbrücken, mówił:

Koresp. Kultury

Czy mogę otrzymać informacje o strukturze prawnej, o zależnościach organizacyjnych i politycznych *Deutschlandfunke*?

Dyr. Viehöver

— *Deutschlandfunk*, podobnie jak i wszystkie inne radiostacje zachodnio-niemieckie, jest instytucją użyteczności publicznej, zależną wyłącznie od ogólnoniemieckiej Rady Radiowej, do której wchodzi przedstawiciele wszystkich partii politycznych, wyznań religijnych, związków zawodowych itd.

Rada Radiowa wybiera i kontraktuje na sześć lat intendenta, których zatwierdza prezydent Republiki Związkowej. *Deutschlandfunk* przeto, tak jak i inne radia zachodnio-niemieckie, jest całkowicie niezależny od Rządu, jest instytucją autonomiczną, posiadającą wyłącznego szefa w osobie intendenta, który jest odpowiedzialny tylko wobec Rady. Wszelkich instrukcji może udzielać intendenta jedynie Rada Radiowa — konstytucyjnie autonomiczny organ ogólnoniemiecki.

Deutschlandfunk różni się od stacji radiowych poszczególnych Krajów Związkowych tym, że jest przeznaczony dla słuchaczy zagranicznych na terenie całej Europy. Dlatego zorganizowane zostały audycje polskie, czeskie, serbo-chorwackie, wkrótce zostaną uruchomione audycje węgierskie i rumuńskie, w dalszej kolejności francuskie i angielskie, a z czasem zapewne i inne.

Koresp. Kultury

Czytałem niedawno w prasie niemieckiej, że radca legacyjny, dr Hille, został delegowany z ministerstwa spraw zagranicznych do *Deutschlandfunke* i *Deutsche Welle*...

Dyr. Viehöver

Znam tę notatkę. Jest ona bardzo niecisła i może wprowadzić w błąd. Dr Hille nie jest u nas żadnym „politrukiem” MSZ-tu, jest jedynie wysokim urzędnikiem swego ministerstwa, wyznaczonym do wzajemnych funkcji kontaktowych między *Deutschlandfunke* i MSZ-tem. Nasz stały kontakt z innymi stacjami nadawczymi i z MSZ-tem jest oczywistą koniecznością, ale podkreślam — minister spraw zagranicznych konstytucyjnie nie jest

w mocy udzielać zleceń lub instrukcji ani nam, ani naszemu najwyższemu dysponentowi, tj. Radzie Radiowej.

Koresp. Kultury

Deutschlandfunk rozpoczynając polskie audycje podejmuje się niezwykle skomplikowanego zadania: przemawiania w imieniu Niemców do narodu, od którego rząd Niemiec oficjalnie domaga się zwrotu około trzeciej części obszaru państwowego, zamieszkałego obecnie przez co najmniej siedem i pół miliona Polaków, czyli przez czwartą część ogólnej ludności współczesnej Polski. Do czego przeto zmierzają audycje polskie?

Dyr. Viehöver

Audycje polskie są zamierzone na długą metę. Zadaniem naszym jest obiektywna informacja o Niemczech Zachodnich, prostowanie propagandy zainteresowanej w skłóceniu polsko-niemieckim, przygotowywanie terenu pod rzeczowy dialog polsko-niemiecki w ramach jednoczącej się Europy, dialog, którego potrzebę odczuwają obie strony.

W dalszej rozmowie okazało się, że *Deutschlandfunk* może zatrudniać statutowo w charakterze stałych współpracowników tylko obywateli Republiki Związkowej.

Audycje trwają już dwa miesiące. Do stałego programu wchodzi: dziennik, przegląd wydarzeń, przegląd prasy niemieckiej, jedno lub dwa słuchowiska specjalne. Odbiór był stale zakłócany przez odpowiednie urządzenia zakurtywowe, jednak zagłuszanie jest nieregularne i o różnym natężeniu, zmienianym w czasie audycji.

W sierpniu zaprzestano zagłuszania. Na jak długo — zobaczymy.



W salonach recepcyjnych Bawarskiej Akademii Umiejętności w Monachium odbywała się 24 maja rb. niezwykła uroczystość: inauguracja Ukraińskiej Emigracyjnej Akademii Umiejętności i przekazanie wynajętego dla niej na 25 lat domu, w Monachium, przy ulicy Laplace 24.

Nowa Akademia powstała przez integrację działalności trzech instytucji: założonego w 1873 roku we Lwowie Towarzystwa Naukowego imienia Szewczenki, założonego w 1921 roku w Pradze Ukraińskiego Wolnego Uniwersytetu, i Ukraińskiej Akademii Gospodarczej połączonej z Ukraińskim Techniczno-Gospodarczym Instytutem, założonymi w Czechach w 1922 roku.

Ukraiński Wolny Uniwersytet, po exodusie z Pragi w 1945 roku, osiadł w Monachium, gdzie od 1950 roku znów posiada pełne prawa akademickie. Wskutek dalszej masowej emigracji Ukraińców do Ameryki Uniwersytet zajmuje się przeważnie pracami badawczymi, koordynując współpracę czynnych w Niemczech i na Zachodzie 54 profesorów i docentów.

Uzyskanie w warunkach emigracyjnych na 25 lat własnej siedziby, mieszczącej wszystkie wymienione instytucje, mogło być urzeczywistnione tylko przy wydajnej pomocy niemieckiej. Pomocy finansowej udzielił Rząd

Związkowy, Rząd Bawarii i Miasto Monachium. Pomoc moralną i fachową organizatorzy ukraińscy znaleźli w Bawarskiej Akademii Umiejętności, u kolejnych Bawarskich Ministrów Oświaty i w Uniwersytecie Monachyjskim.

Ale byłoby wielkim nieporozumieniem, gdyby żywotność wymienionych tu ukraińskich instytucji emigracyjnych przypisywać tylko życzliwej pomocy niemieckiej. Tę pomoc Ukraińcy osiągnęli dzięki wieloletniej niezwykle wytężonej pracy, dzięki wysokim kwalifikacjom zawodowym swych uczonych i w wyniku wielkiej ofiarności swego społeczeństwa emigracyjnego.

Przysłuchując się uroczystości trudno było opędzić się różnym reminiscencjom. Narzekamy, że Niemcy nie mają pojęcia o naszej historii i kulturze. A kto z nas uprzytamnia sobie, że tereny od Donu po San i Użhorod, a od Prypeci po morza Czarne i Azowskie zamieszkuje dzisiaj zwarta masa czterdziestu milionów Ukraińców? Kto z nas zastanawia się, że po Niemczech Ukraińcy to nasz najliczniejszy bezpośredni sąsiad? Kto z nas wie, że półtora miliona sprzężycie zorganizowanej emigracji ukraińskiej posiada prasę wcale nie gorszą od naszej i ma wydawnictwo, które na emigracji kończy już druk wielotomowej encyklopedii? Kto z nas wie, że w Kanadzie czterysta tysięcy ukraińskich greko-katolików posiada własne Arcybiskupstwo i cztery diecezje z odpowiednią ilością wysokich dostojników duchownych? Kto z nas rozumie jakim orzechem jest dla Kremla odrębność kulturalna, historyczna i językowa czterdziestu milionów Ukraińców, urzędowo, według sowieckiej statystyki, przyznających się do swego języka i ojczyzny?

S. W. KOZŁOWSKI

TOM LXXXVII BIBLIOTEKI " KULTURY "

MAREK HŁASKO

OPOWIADANIA

Ulegając stałym prośbom naszych Czytelników wydajemy zbiór najlepszych — dawnych i nowych — nowel autora „Cmentarzy”. Nowele te nigdy dotąd nie ukazały się w wydaniu książkowym. W skład zbioru wchodzi głośny „Ósmy dzień tygodnia”, tłumaczony na wiele języków i sfilmowany.

Str. 192

Cena egz. 12 F. (18 sh.; dol. 2,50)

W listopadzie br. ukaże się jubileuszowy, setny tom „BIBLIOTEKI POLSKIEJ”, wydawanej od dziesięciu lat przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”. Będą to ozdobnie wydane „PAMIĘTNIKI” generała Józefa Hallera, z dołączeniem ważniejszych dokumentów historycznych oraz zdjęć fotograficznych. „PAMIĘTNIKI” będą niezmiernie cennym przyczynkiem źródłowym do dziejów polskiego narodu i polskiego wojska w pierwszej połowie XX wieku.

Sędziwy generał, zmarły w roku 1960 w wieku lat 87, podyktował swoje pamiętniki w ostatnich latach życia, a potem maszynopis przeczytał i własnoręcznie poprawił.

Autor zachował świeżą pamięć i opisuje nawet bardzo dawne dzieje z wielką dokładnością i plastyką. Książka pisana jest dobrotliwie. Sprawy sporne omawiane są w niej pojednawczo i bez zawziętości. Wielu kontrowersyjnych okoliczności, które gen. Haller poruszał w rozmowach, w pamiętniku swoim uznał za stosowne nie tykać. Historycy mogą to uznać za wadę, ale dla zwykłego czytelnika jest to raczej zaleta: obraz przeszłości, oglądanej oczyma człowieka, który niezmiernie wiele widział i przeżył, i który wypowiada to co wie z największą bezstronnością, rysuje się przez to w zarysach ogólniejszych z szerszej perspektywy.

Generał Haller służył najpierw jako zawodowy oficer w wojsku austro-węgierskim. Wystąpił z tego wojska w stopniu kapitana i pracował potem zarobkowo w życiu cywilnym we Lwowie, równocześnie biorąc żywy udział w działalności społecznej. Był jednym z przywódców galicyjskiego „Sokoła” oraz jednym z organizatorów harcerstwa. W chwili wybuchu wojny wstąpił do Legionu Wschodniego i spędził cztery lata niemal bez przerwy na froncie, najpierw jako dowódca pułku w drugiej brygadzie Legionów, a potem jako dowódca tej brygady. Po traktacie niemiecko-ukraińskim w Brześciu uznał, że polityka współpracy z Austro-Węgrami się załamała, uderzył pod Rarańczą ze swoją brygadą na Austriaków, przebił się na Ukrainę, połączył się z tamtejszym II korpusem wojsk polskich i stanąwszy na jego czele, przeszedł jawnie na stronę obozu aliantów. Otoczony przez Niemców pod Kanio-wem, stoczył z nimi przegraną, ale bohaterską bitwę, jedyną całkowicie niezależną polską bitwę z Niemcami w pierwszej wojnie światowej. Przedostał się następnie przez Moskwę i Murmań do Paryża, gdzie został przez Komitet Narodowy Polski mianowany wodzem naczelnym wojsk polskich. Jako dowódca „armii Hallera” powrócił w roku 1919 do kraju, odegrał decydującą rolę w rozstrzygnięciu wojny z Ukraińcami i zajął w 1920 roku w imieniu Polski Pomorze. W 1920 roku był organizatorem „armii ochotniczej”, a w bitwie warszawskiej dowódcą frontu północnego, odpowiedzialnym za obronę Warszawy na linii Radzymina i za ofensywę gen. Sikorskiego nad Wkrą. W okresie międzywojennym był czynny na wielu polach życia polskiego. W czasie drugiej wojny światowej zasiadał w rządzie emigracyjnym w Londynie i jeździł z ramienia tego rządu z misją do Ameryki. Lata powojenne spędził w Londynie, biorąc udział w życiu katolickim i politycznym.

Dochód z książki przeznaczył syn generała Hallera, zgodnie z wolą ojca, na Kolegium Polskie O.O. Marianów w Fawley Court.

Cena tomu w przedpłacie (do końca października br.) wynosi 30/-, dolarów am. 5,00.

Zamówienia przyjmuje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS”

12 Praed Mews, London, W.2.

Śmierć płk. Hańczy

Najwaleczniejszymi z walecznych byli nasi żołnierze Armii Krajowej. Ich odwaga i poświęcenie wychodzą poza ramy oklepanych porównań z najlepszym wojskiem, działającym na najcięższym może froncie, ale walczącym na otwartej, w terenie namicalnej linii, gdzie niebezpieczeństwo jest wielkie, jednak warunkowe i przemijające, z jednego tylko kierunku groźne. Walka zaś podziemna w kraju była ustawiczna, wrzała miesiące i lata, śród całkowitego okrążenia, śród ciosów ze wszystkich stron i pod ciągłą obawą czegoś gorszego niż sama śmierć, bowiem Akowcy nie byli chronieni przez żaden status strony wojującej i w razie ujęcia, znęcano się nad nimi nieludzko. Dopiero podczas powstania przyznano im prawa kombatantów.

Ale bohaterstwo nie może być ślepe ani platoniczne. Musi mieć swój cel i musi być kierowane. Zwłaszcza poświęcenie ludzi zagrzebanych w podziemiu, działających po omacku i rozproszonych po konspiracyjnych kretowiskach, może łatwo trafić w próżnię, jeżeli nie jest dowodzone od góry. Dlatego gdy ledwo powstały załączki organizacji podziemnych, za pierwszą konieczność uchodziło nawiązanie łączności z rządem, znajdującym się w Paryżu, czy później w Londynie. Rząd udzielał nie tylko błogosławieństwa politycznego i pomocy materialnej, ale musiał orientować i prowadzić za rękę półniewidomych bohaterów, regulować ich postępowanie zależnie od rozwoju sytuacji ogólnej na świecie i zgodnie z przewidywaniami, znanymi tylko na szczytach.

Łączność z podziemiem, improwizowana w pierwszych latach za skąpe grosze i pośpiesznie klecona na chałupniczą miarę, kulała i rwała się, idąc okólną drogą, przeważnie przez Stambuł i Budapeszt, a z braku środków technicznych, na wielu odcinkach polegała wyłącznie na zawodnym wysiłku nóg ludzkich. Dopiero

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

po uzyskaniu pierwszej pomocy alianckiej i przez ulepszenie metod pracy oddziału VI sztabu (obarczonego wyłącznie zadaniami na kraj), kontakty z A.K. oparły się na mocniejszych podstawach materiałowych, technicznych i finansowych. Podziemie wymagało regularnego dopływu broni, sprzętu, pieniędzy, ale głównie nie mogło obywać się bez stałego kierownictwa, ujętego w formę twardego rozkazu lub inteligentnej instrukcji, a na pewno potrzebowała stałego przesyłania informacji, podających co się dzieje na świecie i czego można spodziewać się od wrogów, a przede wszystkim od przyjaciół. Stworzono więc w tym celu giętką sieć łączności bez drutu, możliwie doskonałą technicznie i dostatecznie łatwą do manipulacji w ukryciu.

Kierownictwo opierało się na łączności radiowej i ta w najtrudniejszych warunkach pracowała bez pudła, natomiast samo kierownictwo polityczne i operacyjne zawiodło fatalnie. Zawsze i oczywiście, ważniejsze decyzje były zastrzeżone dla Londynu, bo nie można było polegać na procesie rozumowania dowódców krajowych, znając ich zapał i ciasne, skrajnie zwężone, możliwości oceny i wnioskowania. Zwężone mieli horyzonty z tej naturalnej przyczyny że pole ich widzenia zamykało się pod samym nosem, na lokalnym odcinku, bez głębokości i bez dalszego wglądu. Cały ich zasięg obserwacji był równie mały, jak u piechura okopanego czy pełzającego pod ogniem na brzuchu po ziemi. I wszelkie nadchodzące wiadomości, dostrzeżone zjawiska i odczuwane wrażenia były zbyt bezpośrednie i świeże, bo nie przechodziły zwykłej, opóźniającej gradacji szczebli, nie łagodniały na resorach czasu, a dochodząc z bliskich odległości, nie miały czasu dojrzewać i były niemal jednako u strzelca, jak i u wyższego dowódcy. Krzyżącym tego dowodem niech będzie jeden tylko przykład z dnia 31 lipca 1944 roku, kiedy już po południu generał Chruściel przyniósł dowódcy A.K., gen. Borowi, zasłyszaną Bóg wie od kogo, fałszywą wiadomość o pojawieniu się czołgów sowieckich na Pradze. Bór, sam nie posiadający ani wyższego wykształcenia wojskowego, ani praktyki dowodzenia wielkimi jednostkami, bez inteligencji operacyjnej, bez sądu wyrobionego, kierowany tylko odruchem, zamiast czekać i radzić się sztabu, wydał od ręki, z morderczym pośpiechem, na podstawie zupełnie niesprawdzonej informacji, swój rozkaz do powstania. Wiadomość była całkowicie fałszywa i nawet, gdyby i była prawdziwa, to na spokojny rozum, też nie stanowiła nic ważnego. Najkapitałniejszy dla nas w całej wojnie rozkaz został wydany w gwałtownej formie, mijając się z logiką, doświadczeniem i elementarnymi zasadami sztuki wojennej.

Z tego powodu decydującą była łączność z dalekim Londynem, rzekomo daleko widzącym ośrodkiem, chłodnym i opanowa-

nym, posiadającym dostateczne elementy do pobierania decyzji. Stamtąd miały iść rozkazy, rady, pouczenia, ostrzeżenia, a głównie informacje, szybkie i aktualne, hamujące pobudliwych serc wybuchy.

Dowództwo A.K. i kierownictwo polityczne podziemia było związane przez wiele ograniczeń w najistotniejszych decyzjach, ale raptem, w ostatnim momencie, dla poparcia swoich prosowieckich krętałów, Mikołajczyk samowolnie zwałił całą odpowiedzialność na nerwową i ślepą Warszawę, zrobił to skrycie przed rządem i w formie wprost popychającej do szaleństwa. Natomiast Anglicy i Amerykanie stale nas ostrzegali przed zrywem, niepotrzebnym dla nich, a dla nas szkodliwym, wyraźnie odmawiali nam wszelkiej pomocy, jak tylko na cele, związane z wywiadem i sabotażem na terenie Polski. Rewelacyjne jest pod tym względem świadectwo płk. L. Mitkiewicza, delegata Naczelnego Wodza w Waszyngtonie (*Zeszyt Historyczny, I* str. 95-156) o tym jak alianci sprzeciwiali się i starali się wybić nam z głowy myśl o powstaniu, które z góry było skazane na klęskę, jako robione na terenie operacyjnym zdecydowanie nam wrogiej Czerwonej Armii. Wskutek przestępnych manewrów w Londynie ukryto przed Warszawą te decydujące wiadomości. A w ślepych kręgu intryg i ignoracji wojskowej, pyszałkowate czy infantylnie ambicje sprowokowały wybuch powstania.

Baza A.K. we Włoszech

Stałą łączność radiową z krajem zorganizowano początkowo z baz ustawionych w Wielkiej Brytanii, ale na schyłku roku 1943, po opanowaniu południowych Włoch przez aliantów, zaczęto tworzyć i przerzucać wysuniętą sieć łączności oraz pomocnicze bazy do Włoch, jako do kraju położonego bliżej Polski i znajdującego się u startu najkrótszego, domniemanego i naszymi zbożnymi życzeniami wyścieranego szlaku, wiodącego wprost na Kraków.

Na przełomie lat 1943-44 zainstalowano we Włoszech bazę, a raczej szereg baz pod jednym dowództwem, mających na celu wszechstronne wspomaganie A.K. i utrzymywanie z nią wykonawczej łączności, bo cała dotychczasowa sieć łączności w Anglii i całe rozkazodawstwo zasadnicze pozostało nadal w rękach centrali. Intrygi i waśnie, ta nagminna zaraza w naszym Londynie, nie dochodziły do bazy włoskiej, mającej charakter pomocniczy i pośredni i rozbiętej tylko na ściśle fachowe działy.

Po przybyciu do Włoch jednostki bazy A.K. wygodnie zakwaterowały się w terenie na wschód od Taranto, pomiędzy La-

tiano — Bari — Brindisi, a kwatera główna dowództwa stanęła w Latiano. Dowódcą całości został świeżo przybyły z kraju ppłk. wojsk łączności Malewicz, uparcie używający wyłącznie swego pseudonimu krajowego, Hańcza. Wybór w zasadzie był dobry, bo Hańcza przebywając dłużej w A.K., poznał warunki walki podziemnej, nabrał tak odrębnego doświadczenia i rozumiał specyficzne potrzeby A.K. Osobiście Hańcza wyróżnił się w Warszawie i Naczelny Wódz gen. Sosnkowski, w uznaniu zasług, awansował go i równocześnie nadał mu krzyż *Virtuti Militari*.

Cichy i opanowany, Hańcza był ideowym, pracowitym i twardym oficerem o ledwo dostatecznej inteligencji. Był dobrym fachowcem łączności, posiadał zdolności organizacyjne, ale był mało zorientowany w ogólnej sytuacji wojennej, nie miał szerszych poglądów. Nie przenikał politycznej strony zmagañ, bo nie otrzymywał i nie czytał odpowiednich informacji, traktowany przez Londyn tylko jako technik i pomocnik niezasługujący na wtajemniczenie wyższego rządu. Nawet nie dostawał obfitych i niezwykle źródłowych materiałów, jakie roszyły wywiady angielski i amerykański w formie komunikatów, w zasadzie dostępnych tylko jednostkom nie niżej korpusu. Jeżeli Londyn nie mógł Hańczy zapewnić dopływu tych wiadomości, mógł on to wszystko znaleźć w 2 Korpusie Polskim. Ale tego nie robił, bo znowu ze względów pseudo-konspiracyjnych miał zakazane wszelkie komunikowanie się z nami — w ten sposób powstało błędne koło tępoty i ignoracji. Hańcza nie znał też kulis londyńskich i utrzymywał jedynie dorywczą korespondencję z gen. Tatarzem, z którym łączyła go znajomość z warszawskiego podziemia.

Hańcza wskutek swego dłuższego pobytu w kraju, przesiąkł do przesady manierami super-konspiracyjnymi i trzymał się ich nałogowo we Włoszech. Pod niemieckim terrorem żadna ostrożność nie była nadmierna, natomiast w wolnych Włoszech, w mundurowym szeregu, ekscentryczna tajemniczość nie miała racji bytu i raziła towarzyszy broni. Hańcza nie udzielał się swemu otoczeniu, zamykał się i izolował, poza godzinami służbowymi ślęcząc dalej nad urzędowymi papierkami, lub trawiąc czas na układaniu czy przepisywaniu konspiracyjnych rozkazów czy instrukcji o krecim zasięgu. Nawet w swoim kasynie — choć pierwsza osoba — stale zajmował miejsce tyłem do wejścia, jak gdyby twarz swoją chciał zataić przed względem własnych oficerów. Nie miał przyjaciół i nie szukał znajomości poza wojskiem wśród powabnych i wcale dostępnych Włosek, nie skusił go nigdy Neapol, pobliski i atrakcyjny, choć dotkliwie zniszczony przez wojnę. Po lądowaniu we Włoszech 2 korpusu, jako szef oddziału II, wybrałem się samochodem do bazy dla nawiązania stosunków, chyba tak celowych i rozumiałych. Kosztowało to

cały dzień jazdy po rozbitych drogach, a po przybyciu na miejsce, dowódca bazy nie chciał mnie widzieć, niczym natrętnego obcego dyplomate, niebezpiecznego z powodu umiejętności ciągnięcia za język. Może zasłaniał się rozkazem z góry, ale rabinackie trzymanie się litery prawa nie ma racji na wojnie totalnej.

Horyzonty Hańczy były wąskie i zasklepił się on całkowicie w sprawach technicznych i formalnych, a jego przesada konspiracyjna trąciła wyraźnie dziwactwem. Z drugiej strony była to wina Londynu, że szerzej nie informowano Hańczy, zwłaszcza na wypadek, kiedy w przyszłości mogły powstać pewne trudności, jak np. zerwanie łączności Warszawy z Londynem i kiedy na nieuświadomionego Hańczę mogły spaść obowiązki powyżej skali, do jakiej go przełożeni wtoczyli. Wydaje się dziwne i podejrzane, dlaczego sztab Naczelnego Wodza nie informował Hańczy i nie przysyłał jemu, i dalej do Warszawy, przynajmniej podstawowych wiadomości, jak np. wyciągów z raportów płk. Mitkiewicza, gdzie była mowa o sprzeciwie aliantów i o uporczywej odmowie pomocy dla powstania, tak neurastenicznie przez nas planowanego. Widocznie celowo tego nie robiono, bo raporty Mitkiewicza nie przypadły do gustu Tatara i zatajono je na polecenie Mikołajczyka-Tatara — dwumianu rządzącego w Londynie, wyróżniającego się dynamizmem wśród naszych safandul. Gdyby nie inicjatywa jednostki, to nawet same raporty zaginęłyby dla historii, jak wiele innych naszych dokumentów historycznych, po bizantyjsku zniszczonych czy ukrytych.

Traktowanie Hańczy przez Londyn jak rzemieślnika było szkodliwe i niewłaściwe, ale dużo gorszy i skandaliczny był fakt pomijania sztabu i samego dowódcy A.K. i trzymania ich w kompleksie dezinformacji w rzeczach kapitalnych i tyjących ich skóry.

Hańcza dysponował znacznymi środkami i ciążyła na nim duża odpowiedzialność. W skład bazy wchodziło paruset oficerów i około tysiąca szeregowych; zarządzał on materiałem technicznym, zapasami broni, stacjami radio i całą siecią łączności, kolumnami samochodów oraz miał pod ręką eskadry samolotów na pobliskich lotniskach. Grupa łączności była najsilniej rozbudowana oraz funkcjonowały liczne stacje wyczekiwania dla skoczków spadochronowych, szkolonych w Anglii i dosyłanych systematycznie. Specjalne ekipy objeżdżały front, zbierając zdobyczną broń maszynową, którą przerzucano do kraju, jako szczególnie cenną ze względu na amunicję niemiecką, łatwą do zdobycia na miejscu. Przy bazie znajdowała się ekipa angielskich oficerów łącznikowych, a sama baza podlegała szefowi oddziału VI — nominalnie, gdy naprawdę kierował nią gen. Tatar, zastępca szefa sztabu do spraw krajowych. Na terenie Włoch, wobec władz

angielskich, baza korzystała z przywileju zupełnej eksterytorialności, a z 2 Korpusem nie utrzymywała kontaktów.

Wskutek nieuświadomienia, czy zupełnie celowego wprowadzenia w błąd, Hańczy — przyzwyczajonemu do „kontentowania się sarmackim ubóstwem” — wydawało się że dysponował i pośredniczył w przesyłaniu środków, przeznaczonych dla zasilania A.K. jako siły zbrojnej, gotowej do większego działania, gdy naprawdę były to rzeczy otrzymane na cele związane wyłącznie z wywiadem i sabotażem, zadaniami na pozór skromnymi, które A.K. spełniała dla sojuszników z wielkim uznaniem z ich strony. Ten błąd Hańczy, zupełnie niezawiniony i wynikły wskutek fałszywego postępowania Londynu, zaciążył niezmiernie w przyszłości. Niepoinformowana Warszawa, patrzyła na pomoc oczami Hańczy.

Baza we Włoszech odegrała podstawową rolę w przygotowaniach wstępnych, a w czasie samego powstania pośredniczyła w dosyłaniu pomocy dla płonącej Warszawy, pomocy, jak wiadomo, zupełnie znikomej w stosunku do przedsięwzięcia. Wobec wrogiego stosunku Sowieców i wskutek niemocy politycznej Amerykanów i Anglików, nawet ta drobna pomoc trafiała tylko w małym ułamku do rąk powstańców. Sojusznicy byli zajęci akcją jawnych frontów we Francji i we Włoszech i ich zasięg operacyjny kończył się gdzieś nad Elbą, więc Warszawa z powodu ogromnego dystansu znalazła się poza orbitą sojuszników i była zdana na Czerwoną Armię, siedzącą nam już na karku. Alianci wysyłali do Rosji nieprzebrane ilości nam skąpionego materiału wojennego, traktując zdradzieckiego, ale potężnego „przymusowego” sprzymierzeńca, zbyt po rycersku, zamiast stosować nacisk i wstrzymywać dostawy zależnie od koniunktury politycznej. Tymczasem właśnie Sowiety zastosowały szantaż, zamroziwszy działania pod Warszawą i nawet zakazując aliancom używania swoich lotnisk. W ten sposób pomogli Niemcom zniszczyć samotnie walczącą A.K. i zapewnili sobie perfidną ulgę na politycznym odcinku, na korzyść kukielkowego Komitetu lubelskiego.

Sojusznikom można zarzucić prowadzenie błędnej polityki nad Wisłą, ale zawsze stawiali oni najwyraźniej zagadnienie naszego czynu zbrojnego i nie możemy dziś kłamać, że nic nie wiedzieliśmy o ich zdecydowanie negatywnym stanowisku w sprawie powstania. Natomiast ukrywanie opinii alianckich stanowi wielką winę naszego sztabu londyńskiego.

W czerwcu roku 1944 gen. Tatar wybrał się do Stanów razem z ówczesnym premierem Mikołajczykiem dla fachowego przedstawienia naszych najbardziej gwałtownych potrzeb. Prosił o broń, sprzęt i kredyty dla gotowej do skoku A.K. Roosevelt w odpowiedzi, zajął się politycznym urabianiem Mikołajczyka,

zachęcając go do ugody z Rosją na upadłościowej zasadzie, a sprawę pomocy dla A.K. odesłał na rozpatrzenie komitetu połączonych szefów sztabu. Ci znowu — wysłuchali z przejęciem referatu Tatar, i choć przyjaźnie usposobieni, ale mając swoje ustalone zapatrywania i plany, na wniosek polityków zapytali o radę... Moskwę. Stalin w brutalny sposób protestował przeciwko udzielaniu pomocy Polakom, uważając Polskę za sowiecką domęną operacyjną, wyraził przy tym obawę że „agenci Sosnkowskiego”, zaopatrzeni przez aliantów, zamiast walczyć z Niemcami, obrócą broń przeciwko Czerwonej Armii. Oczywiście Roosevelt poszedł za głosem Stalina, a Polacy dostali groźne i dobitne ostrzeżenie, że powstanie nie jest nikomu potrzebne i w razie jego ogłoszenia, nie możemy liczyć na żadne wsparcie. Wyraźnie i bez złudzeń.

Na odczepne, żeby nie zrażać Polaków (ale nie tych w Londynie, lecz polskich wyborców w Stanach, bo to był rok wyborów prezydenckich), Roosevelt zamiast 20-tu milionów, o które proszono, udzielił odręcznie A.K. kredyt w sumie 10 milionów dolarów w płynnej gotówce. Tatar podjął dolary wyłącznie w średnich i małych odcinkach, mających najlepszy obieg w kraju. Z tej sumy przekazał większą część (według pewnych źródeł, nawet całość) do bazy we Włoszech z poleceniem stopniowego przerzucania pieniędzy do kraju przy pomocy skoczków spadochronowych, których ubierano w specjalne pasy skórzane, wypchane dolarami.

Czasu jednak było mało i niebawem przekazy urwały się, bo 1 sierpnia wybuchło powstanie, w czasie którego Warszawa w tragiczny sposób domagała się każdej innej pomocy, niż dolarów, zbędnych w walce.

Mało ruszona dotacja amerykańska pozostała w rękach Hańczy, jako dowódca bazy A.K.

Włoska baza A.K. po wojnie

Po zakończeniu działań wojennych przystąpiono do szybkiej likwidacji ośrodków A.K. we Włoszech. Sprzęt zwracano Anglikom na miejscu, ludzie zaś odjeżdżali do W. Brytanii, lub na własne życzenie przechodzili do 2 Korpusu. Tylko zespół, dosłownie „szkieletowy”, z Hańczą na czele, przeniósł się na polecenie Londynu do Rzymu i otrzymał nowe zadanie szkolenia radiotelegrafistów oraz prowadzenia warsztatów sprzętu radiowego. Pod tą pokrywką Hańcza mógł dalej utrzymywać łączność z resztkami Armii Krajowej, doszczętnie rozgromionej na przemian przez obu okupantów. W Safar pod Rzymem, w fabryce Philipsa, zado-

wiły się warsztaty bazy pod dowództwem kpt. inż. Goczałkowski, a samo dowództwo i szkoła radio-operatorów zajęły zarekwirowany budynek na placu Remuria, w samej stolicy.

Hańcza, nieposkromiony konspirator, wynajął dwa czy trzy mieszkania prywatne, jako swoje potajemne kwatery. Jedno znajdowało się w arystokratycznej dzielnicy Parioli, tuż przy ogrodzie Zoologicznym, niedaleko Villa Borghese, drugie — przy ulicy Fonte di Fauno, blisko placu Remuria, i tam właśnie, o trzy minuty spaceru od biura, przeważnie mieszkał, co stało się powodem że mieszkanie zaczęło tracić swój charakter konspiracyjny. Dla zabezpieczenia łączności, Hańcza miał jedną, jakby oficjalną, radiostację na placu Remuria a dwie zachował w odwodzie, zatajone — jedną w Safar, drugą — w którymś mieszkaniu konspiracyjnym.

W skład rzymskiego zespołu bazy wchodziło niewielu oficerów, m.in. kpt. Miciński, adiutant, który miał powierzoną kasę i prowadzenie buchalterii, kpt. Mitko, kpt. Iwanicki, wymieniony już kpt. Goczałkowski, kpt. Werner oraz 3 czy 4 poruczników, specjalistów od różnych działów technicznych.

W lipcu roku 1945 miało miejsce wydarzenie, które przyczyniło się do zachłannych ataków i zakaśców na bazę, a z biegiem czasu ściągnęło fatalne skutki na głowę samego Hańczy i doprowadziło do utraty życia. Tragiczne i tajemnicze okoliczności, związane z jego śmiercią były pełne grozy, poruszyły do głębi „polskie” Włochy i do dziś nie zostały należycie wyjaśnione. Dowódca A.K., przełożony Hańczy i jedyny uprawniony do żądania urzędowych dochodzeń, nigdy sprawą jego śmierci nie zainteresował się i nie zabrał głosu.

Któregoś dnia w tym upalnym miesiącu, Hańcza z adiutantem Micińskim przywieźli samochodem do Rzymu ze zlikwidowanego ostatecznie dowództwa w Latiano, zagadkowy transport 11 czarnych waliz, owiązanych dla wzmocnienia kablem telefonicznym. Hańcza z wielkim nabożeństwem przekazał całość pod opiekę zamieszkałego na placu Remuria kpt. Wenera, poważnego oficera, znanego z pracowitości i solidności. Werner wraz z Micińskim z urzędu jako kasjerem, musieli na przemian przez 24 godziny strzec waliz, które miały zawierać niezwykle ważne dokumenty, jak to oświadczył Hańcza swoim oficerom.

Czułość, roztoczona nad walizami i ostre środki ostrożności, zarządzane przez Hańczę, zwróciły uwagę oficerów, ciasno skupionych i związanych wspólną pracą pod jednym dachem. Nie dało się na długo ukryć że walizy nie zawierają żadnego archiwum, tylko wielki skarb dolarowy, stanowiący pozostałość kredytu amerykańskiego, udzielonego osobiście przez Roosevelta. Skarb był zbyt wielki objętościowo i nie mógł zmieścić się ani w

kasie ogniotrwałej, ani nawet w normalnej szafie biurowej, musiał więc być złożony pod łóżkiem Wenera, gdzie też nie starczyło miejsca i resztę rozstawiono po mniej widocznych kątach pokoju. Powoli, na podstawie przyjacielskich rozmów z Micińskim jako kasjerem, od dawna operującym pieniędzmi bazy, koledzy dowiedzieli się o rzeczywistej zawartości waliz, a Werner potrafił drogą dedukcji ustalić nawet wysokość sumy ukrytej w walizach. Oceniał ją na cztery i pół miliona dolarów.

Oczywiście Hańcza nie był spokojny o pieniądze i poszukiwał bezpieczniejszego, a głównie bardziej tajnego ukrycia skarbu, ale bał się użyć do tego celu swych mieszkań konspiracyjnych, łatwych do ujawnienia i znacznie gorzej zabezpieczonych od biura. Liczył się że jego oficerowie szybko rozszyfrują zawartość waliz i, mimo obowiązku zachowania tajemnicy służbowej, obawiał się przesłania na zewnątrz informacji o skarbie. Obawy okazały się zupełnie słuszne i wieść o leżących odłogiem milionach, niejednemu sen odbierała.

Po pewnym czasie, wobec konieczności wyjazdu Wenera w sprawach rodzinnych do Egiptu, skarb został powierzony opiece kpt. Mitki, także wspólnie z Micińskim. Ale równocześnie nastąpiło całkowite ujawnienie wnętrza waliz i dolary ujrzały światło dzienne. Na rozkaz Hańczy otwarto jedną z waliz i w jego obecności odliczono pewną sumę dolarów i przekazano kpt. Iwanickiemu do przewiezienia do Niemiec, dokąd pojechał samochodem przez Brenner. Wysokość sumy tej wynosiła ok. 400 tysięcy i Iwanicki miał ją doręczyć przedstawicielowi A.K., znajdującemu się przy brygadzie Świętokrzyskiej, która w tym czasie przeszła z Czech do południowej Bawarii. Niewykluczone, że pieniądze trafiły tylko do skrzynki pocztowej i przekaz miał iść dalej — do Paryża czy Londynu — wszystko było otoczone tajemnicą, a ostateczny cel przesyłki znał wyłącznie Hańcza.

Znowu po paru tygodniach powtórzyła się podobna operacja — inną partię dolarów wywiózł kpt. Miciński, aż wreszcie w połowie września, sam Hańcza drogą okólną przez Paryż, wybrał się samochodem do Niemiec, zabierając dalszą porcję dolarów w sumie około pół miliona. Robiło wrażenie, że Hańcza wybiera się na spotkanie z pewną szyszką z Londynu, która ma głos decydujący we wszystkich sprawach bazy. Był zdenerwowany i ciążyła mu punktualność spotkania.

Przy opróżnianiu waliz i sprawdzaniu ich zawartości, okazało się, że dolary były starannie i równomiernie rozmieszczone w pasach spadochronowych — w każdym po 30 tysięcy, zaś jedna waliza zawierała przeciętnie 15 pasów. Tak dolary zostały przepakowane zaraz po nadejściu zza oceanu dla wysyłki do kraju i tak pozostawały w stanie nienaruszonym.

Ale po odliczeniu przesyłki dolarowej, którą zabierał Hańcza, cały skarb nagle zniknął z placu Remuria. I nie wiadomo dokąd.

Tuż przed swoim odjazdem, zabiegi Hańczy zostały uwieńczone powodzeniem, bo znalazł nowy bezpieczniejszy schowek i tam postanowił przewieźć dolary, dotychczas przechowywane w zbyt jawnym miejscu i narażone na niepotrzebny i szkodliwy nawet rozgłos. Nie dowierzając nikomu, Hańcza osobiście przewoził na nowe miejsce pozostałe 8 waliz. Nawet adiutantowi-kasjerowi nie zdradził nowego schowka i dla zupełnego zatarcia śladów i usunięcia ostatniego świadka, Hańcza w połowie drogi wysadził swego zaufanego szofera, sam doprowadził wóz na miejsce przeznaczenia i własnoręcznie znosił walizy. Jedyne Miciński dopełnił swego obowiązku i wyprowadził po ostatniej przesyłce saldo pozostałości, odnotowując to w książkach kasowych. Te książki pozostały nadal w rękach Micińskiego w biurze na placu Remuria, chowane w żelaznej szafie razem z tajnymi dokumentami. Tam zostały znalezione przez żandarmerię 2 Korpusu i skonfiskowane w czasie rewizji w lokalu bazy, dokonanej w początkach października, w dniu kiedy już po powrocie z podróży do Francji i Niemiec, Hańcza opuścił Rzym, wezwany do Korpusu.

Pościg za skarbem

W czasie od lipca do września, kiedy skarb był przechowany w pokoju Wernera w dość operetkowych warunkach, mimo pozornie ostrej dyskrekcji, obowiązującej oficerów bazy i będącej manią ostrożnego Hańczy, wiadomość o milionach dolarów, znajdujących się w wyłącznej dyspozycji pułkownika-odludka, wyszła na zewnątrz i m.in. doszła do Oddziału II Korpusu. Ta rewelacja mogła dotrzeć do dwójki równie dobrze drogą pośrednią przez Londyn, ale wydaje się bardziej prawdopodobne, że o tym odkryciu zameldowała placówka dwójki w Rzymie, doszedłszy tej tajemnicy dzięki przyjacielskim stosunkom z oficerami bazy, którzy na wół bezrobotni wobec likwidacji pracy na Polskę, starali się zbliżyć do 2 Korpusu, widząc tam swoją najbliższą przyszłość.

Informacja o skarbie najwidoczniej wywołała zainteresowanie w Korpusie, bo w połowie września szef Oddziału II przyjechał do Rzymu i nawiązał znajomość z kpt. Wernerem, przedstawionym mu przez kpt. Tajchmana, kierownika placówki dwójki w Rzymie. Werner, dawny oficer dwójki z lat 1919-1925, był wtedy na wyjeździe do Egiptu, przyjął zaproszenie i w trakcie poczęstunku, w najlepszej wierze potwierdził wobec starszego

kolegi frapującą wieść o skarbie dolarowym, znajdującym się w biurze bazy, przecież w tych samych polskich wojskowych rękach. Mówił z całym zaufaniem, wydawało się tylko dla zaspokojenia bezinteresownej wszechwiedzy zawodowej szefa dwójki, a nie przyszło mu nawet przez myśl że udzielona wiadomość może być wykorzystana w jakimś podstępnym celu.

Pozornie poza nawiasem sprawy skarbu dolarowego, tylko w związku z samą osobą Hańczy, kiedy wypłynął on z mrocznej czeluści prowincjonalnej na otwarty widnokrąg rzymski, zaczęły kursować plotki, posądzające go o przychylność dla reżymu warszawskiego i oskarżające o zamiar wyjazdu do Polski. Również opowiadano o niejasnych sprawkach Hańczy sprzed wojny, które miały oprzeć się o sąd i tylko wybuch wojny przeciął bieg urzędowy. Insynuacje robiły wrażenie raczej zmyślonych i celowo podtrzymywanych, bo Hańczy nikt nie znał, stał on zupełnie na uboczu i nikomu nie wadził, więc plotki w rezultacie miały krótki obieg. Prędko zgasły, zwłaszcza że przeżywalismy wtedy ciężką sytuację polityczną, kiedy cofnięto uznanie naszemu rządowi w Londynie. Były to pierwsze miesiące po gwałtownym krachu złudzeń, opartych na naszym wysiłku heroicznym w czasie wojny i wpływających z zobowiązań sojuszniczych. Właśnie wtedy przybył do Rzymu prof. Kot jako ambasador rządu Bierutowego.

W początkach października, po szczęśliwym odwiezieniu partii dolarów do Niemiec czy do Francji, Hańcza powrócił do Rzymu. Zaraz po powrocie, zupełnie niespodzianie, bo nic go z Korpusem nie łączyło, dostał on rozkaz Dowódcy 2 Korpusu, wzywający go do natychmiastowego stawienia się w dowództwie, które kwaterowało nad Adriatykiem w Porto San Giorgio. Korpus nie był uprawniony do wydawania rozkazów bazie, która podlegała wprost Londynowi, jednak Hańcza rozkazu usłuchał i pojechał na wezwanie, biorąc prawdopodobnie pod uwagę fakt, że gen. Anders pełnił przez pewien czas funkcje Naczelnego Wodza w Londynie i ułamek tego autorytetu ciążył nadal na nim.

Podejrzliwy z usposobienia i nieufny wobec tak nieoczekiwanego zaproszenia, Hańcza postępował ostrożnie i po przybyciu do rejonu rozlokowania Korpusu, z głębokim zacięciem konspiracyjnym, schował swój wóz wraz z kierowcą w pobliskim osiedlu, a sam spacerkiem udał się do sztabu i został przyjęty przez Dowódcę Korpusu. Przebieg rozmowy, odbytej w cztery oczy, nie jest znany, a według wersji domyslniej, wpływającej logicznie z późniejszego rozkazu Korpusu, wydanego w związku ze śmiercią Hańczy, miał on dostać rozkaz pozostania w m.p. Korpusu aż do odwołania. Jaki podany mu był powód czy pretekst tego internowania — również nie wiadomo. Według niesprawdzonych źródeł Hańcza miał słowem honoru potwierdzić rzeko-

mo narzucone mu zobowiązanie i chyba dlatego został puszczonej wolno, bez zastosowania bardziej krępujących argumentów. Niestety akta całej sprawy nie istnieją, zostały zniszczone czy ukryte przez zainteresowane osoby, które z tytułu swego stanowiska mogły mieć dostęp do archiwów.

Ale ledwo Hańcza minął północne rogatki rzymskie, jadąc do Korpusu, tego samego dnia, specjalny oddział żandarmerii, już zawczasu dostany do Rzymu, otoczył według najlepszych zasad sztuki śledczej, lokal na placu Remuria i przeprowadził rewizję po wszystkich biurach, magazynach i kwaterach, zajmowanych tam przez bazę A.K. Zaglądano po kątach i dziurach, otwierano biurka, szafy, skrzynie, wyłamywano zamknięte schowki, opukiwano ściany i nawet wyrwano podłogę w miejscu, które nasunęło podejrzenie dla fachowego oka. Szukano i szukano, ale nie ogłoszono, co jest przedmiotem poszukiwań, również niczego nie kwestionowano ani niczego nie zajęto.

Oficerowie bazy byli zaskoczeni postępowaniem żandarmerii i tą niezwykłą, jak na obyczaje wojska polskiego, rewizją dokonaną w oddziale wojskowym. Odmawiali wyjaśnień i pomocy przy przetrząsaniach, ale oczywiście wszelkie dokumenty, znajdujące się w łatwo otwieranych szafach czy skrzyniach lub biurkach, stały się dostępne dla rewidujących. Podobnie broń i cały sprzęt mogli żandarmi dowolnie oglądać, zając i wywieźć. Ale widocznie nie o to chodziło zupełnie, bo po przejrzeniu wszystkiego, niczego nie ruszyli. Jedynym obiektem, jaki raczej pozornie zainteresował badaczy urzędowych, to była znaczna ilość ręcznych zegarków w magazynie — resztką — bowiem baza w czasie wojny duże ilości czasomierzy wysyłała do Polski, jako użyteczny wojskowo, poszukiwany prywatnie i jednocześnie cenny równoważnik pieniądza. Towaru nie tknięto, tylko pytano nieufnie, czy nie są to zegarki przeznaczone na nielegalny handel prywatny.

Rewizja była robiona przez delegowany z Korpusu pluton żandarmerii pod dowództwem oficera i w asyście dodanych, oficera audytora i oficera z dwójki. W wyniku całej dwugotrwałej i przeciąganej inwestygacji, żandarmeria skonfiskowała jedną, jedyną rzecz, wymownie zdradzającą cel poszukiwań — znalezione w szafie kpt. Micińskiego książki kasowe funduszu specjalnego, które wykazywały imponujące saldo dolarowe, pozostałe w kasie bazy. Ale samych pieniędzy rewidenci oczywiście nie mogli się doszukać, choć pilnie badano również pokoje prywatne, szczególnie sypialnię Wenera, gdzie poprzednio skarb przechowywano pod łóżkiem i obok. Rewizja miała niewątpliwie intencję odnalezienia dolarów, ale była prowadzona na podstawie nieaktualnych już informacji, więc nie mogła doprowadzić do za-

mierzzonego celu. Tajniacki manewr Hańczy okazał się doskonałym w skutkach — skarbu nie znaleziono na starym miejscu, ujawnionym przez naiwną niedyskrecję.

Pogoń została zmylona.

Wypadki, które opisuję, znałem z bardzo bliska. Niedługo po zakończeniu wojny pod Bolonią, odszedłem ze stanowiska zastępcy dowódcy 2 Brygady Karpackiej i zostałem mianowany oficerem łącznikowym i zastępcą komendanta miasta płk. Bronisława Ostrowskiego. Wobec wyjazdu we wrześniu na urlop do Palestyny komendanta miasta, byłem w krytycznym czasie polskim urzędującym komendantem Wiecznego Miasta. Stanowisko to może nasuwało wiele zazdrości naszym megalomanom, ale na prawdę, na co dzień miało charakter więcej groteski, niż powodów do darcia nosa. Po cofnięciu nam uznania, stało się zgoła kłopotliwe, a po przybyciu ambasadora reżymowego było szarpane ze wszystkich stron, bo prof. Kot walczył zawzięcie o ewakuację wojska do kraju, a nie do Anglii.

Przed komendantem miasta zatajono zupełnie fakt rewizji, nie byłem o niej powiadomiony ani uprzednio, ani *post factum*. Natomiast wiedziałem o wszystkim prywatnie od kierownika placówki dwójki w Rzymie, kpt. Tajchmana, jako jego dobry znajomy i poprzedni szef. I obecnie, pisząc wspomnienia, odświeżyłem wszystko w pamięci, dzięki temu, że wybitni świadkowie sprawy, jak Tajchman, Werner, Harting i inni zamieszkują ze mną razem Argentynę, wspólną macochę emigracyjną.

Po rewizji, oficerowie bazy przychodzili do mnie na skargę, uważając ją za wielką obrazę mundur, zwłaszcza że rozgłos tego haniebnego wyczynu był duży i dla bazy bolesny. Było ogólne poruszenie i tysiące domysłów, jak zwykle mało przychylnych i dokuczliwych. Rewizja dokonana przez zaskoczenie, bez udziału władz lokalnych i traktująca całą jednostkę wojskową jako przestępcę, była rzeczą niecodzienną, bez precedensu u nas, gdzie organa bezpieczeństwa nie miały nieograniczonej, na zastraszaniu opartej władzy. Była to metoda zgoła azjatycka, jak ją ocenili miejscowi Anglicy.

Ale ferment w Rzymie po rewizji trwał krótko, bo niebawem nastąpiła śmierć Hańczy, która jako wydarzenie bez porównania mocniejsze, przesłoniła zupełnie i zagłuszyła swym tragicznym sprawę poprzedzającą ją o parę dni rewizji.

Śmierć płk. Hańczy

Hańcza, zatrzymany w Korpusie, nie dotrzymał swego reżymowego słowa i niebawem, na drugi czy trzeci dzień, myśląc

nastawioną na niego inwigilację, powrócił do Rzymu, skorzystawszy z tak przewidująco ukrytego samochodu.

Rozpoczął normalne urzędowanie i zaraz po przybyciu, został poinformowany o rewizji dokonanej na placu Remuria i o zabranii przez żandarmerię ksiąg kasowych funduszu amerykańskiego. Bez trudności domyślił się w jakim kierunku szła rozgrywka, ale był pewny siebie, bo tylko on posiadał tajemnicę ukrytych dolarów. W ten sposób łatwo mu było obronić się przed zakusami Korpusu na ten skarb.

Ucieczka internowanego Hańczy została od razu ujawniona i okrzyczana w Korpusie. Zaalarmowano posterunki graniczne i placówka dwójki w Rzymie dostała rozkaz wysledzenia zbiega i aresztowania. Panowało ogólne przekonanie, że Hańcza powrócił do Rzymu, jako do miejsca, gdzie znajdowały się schowane pieniądze, z tak wielkim rozczarowaniem nieznalezione przez żandarmerię na placu Remuria.

I rzeczywiście, Hańcza nie czując żadnych przewinień, po prostu wrócił do swej jednostki i zamieszkał po przyjeździe na swej kwaterze konspiracyjnej przy ulicy Fonte di Fauno, którą, jak okazało się, już dobrze wypatrzyła rzymska placówka dwójki.

Rankiem dnia 10 października, do mieszkania Hańczy na Fonte di Fauno udała się celem aresztowania go, ekipa dwójki w składzie dwóch podoficerów oraz por. Lipowicza i Aksana, atletycznie zbudowanego podchorążego, ale nerwowego i porywczego, urodzonego z domieszką gorącej krwi kaukaskiej. Trzech otoczyło dom i obserwowało wokoło, a podchor. Aksan, gdy frontowe drzwi okazały się zamknięte, próbował wejść od podwórza, przez schody prowadzące na otwartą werandę, na wysokim parterze. Wszedłszy, ponieważ drzwi z werandy do przyległej sypialni też były otwarte, Aksan z rewolwerem w ręku wszedł szybko do pokoju i zastał Hańczy gołącego się na siedząco przy stoliku, przed rozstawionym lustrem.

Hańcza miał zerwać się na widok zbrojnego natręta, ale co potem nastąpiło, do tego można dojść tylko pośrednio. Oficjalna wersja o samobójstwie Hańczy wydaje się nieprawdopodobna i sprzeczna z znanymi okolicznościami całego zajścia.

Placówka dwójki pośpiesznie zameldowała przez telefon do Korpusu, że Hańcza w momencie, gdy miał być aresztowany, popełnił samobójstwo. Nie zawiadomiono wcale polskiej komendy miasta, natomiast powiadomiono brytyjskie władze wojskowe, które tym faktem zbytnio nie przejęły się, wiedząc o obecności polskich władz lokalnych, których ingerencji byli pewni. Trup Hańczy wykazywał trzy rany postrzałowe i został złożony w kostnicy szpitala angielskiego. Pogrzebem zajął się por. Kurasiewicz z bazy, ale czekał na pozwolenie władz sądowych.

Nastąpiła wielka konsternacja w „polskim” Rzymie. Z Korpusu przybył płk audytor S. Rohm i bez porozumienia się z polską komendą miasta, zajął się przeprowadzeniem dochodzeń, które szybko zakończył i zaokrąglił sprawę z punktu widzenia prawnowo-wojskowego.

Korpus nazajutrz po wypadku, wydał specjalny tajny rozkaz oficerski (wyłącznie dla wyższych stopni), potępiający Hańczy za złamanie słowa i za domniemany zamiar wyjazdu do Warszawy, zakończony nie wiadomo dlaczego samobójstwem, a nie ucieczką. Treść rozkazu przytaczam z pamięci, bo dowody archiwalne są niedostępne.

Wokół tragicznego wypadku wytworzyła się napięta atmosfera i przypomniano plotki jakie za życia Hańczy obiegały Wieczne Miasto, nie wywołując wówczas zainteresowania. Opowiadano również że gołący się samobójca miał nawet pozostawić list, wymierzony przeciwko wymienionym z nazwiska, oficerom, których uważał za winnych fałszywego oskarżenia o zamiar ucieczki do kraju razem ze skarbem.

Sprawa śmierci Hańczy była oficjalnie zakończona, ale zaginione dolary, które wpędziły go do grobu, jeszcze bardziej zaczęły pasjonować wszystkich. Wyprowadzony w pole Oddział II szukał dalej skarbu na wszystkie strony.

Odnalezienie skarbu

Ze śmiercią Hańczy wszelki ślad po skarbie dolarowym urywał się. Wydawało się, że nieboszczyk bezpowrotnie zabrał do grobu tajemnice rooseveltowych pieniędzy. Znając skrajnie skryty charakter Hańczy, nie przypuszczano, aby ktoś poza nim wiedział o miejscu ukrycia dolarów, tak przewidująco i w czas wywiezionych z placu Remuria. Gdy dowiedziano się, że Hańcza osobiście zabierał i przewoził skarb, odesławszy nawet kierowcę, rozwiłała się nadzieja wpadnięcia na trop pieniędzy, jedynie przypadek mógł rozwiązać sprawę.

Z drugiej strony powstało przypuszczenie o wywiezieniu całości skarbu do Niemiec, chociaż temu przeczyły teoretycznie, ale wymownie, książki kasowe, wykazujące już po wyjeździe Hańczy z Rzymu, wielkie saldo zachowanych we Włoszech dolarów. Czy wszystkich były zwrócone na kpt. Micińskiego, jako jedynego możliwego nosiciela tajemnic, który choć razem z Hańczą nie wywoził skarbu, ale jako kasjer mógł być poinformowany o nowym schowku.

Ale niebawem skarb sam wypłynął na światło dzienne.

W parę tygodni po śmierci Hańczy, kiedy wieść o wypadku rozeszła się szerzej, zgłosił się do mnie w komendzie miasta ojciec Maurycy, Polak-zakonnik z klasztoru Bonifratrów na wyspie na Tybrze (w obrębie samego miasta). Doszła do niego z opóźnieniem wiadomość o śmierci znanego mu osobście Hańczy, więc uważał za swój obowiązek zawiadomić władze polskie o depozycie, jaki korzystając z poparcia właśnie jego, ojca Maurycego, przed przeorem, zostawił nieboszczyk w klasztorze. Były to walizy z bardzo ważnymi papierami, bo tak ich zawartość zadeklarował zmarły pod słowem, gdy prosząc o przechowanie, pod tym warunkiem wyłudził zgodę od przeora, obawiającego się panicznie depozytów tak z bronią, jak i z pieniędzmi.

Nie trudno było domyślić się o co chodziło. Według kompetencji urzędowej odesłałem ojca Maurycego do kpt. Tajchmana.

Tajchman odebrał walizy z dolarami i nie otwierając, odesłał je do Ankony, do tzw. ekspozytury Oddziału II. Tam, po otwarciu, miano znaleźć razem tylko 39 pasów spadochronowych, po 30 tysięcy w każdym. Ta informacja jest zupełnie przypadkowa, choć pochodzi ze źródeł „oficjalnych”, bowiem żadna komisja nie przyjęła pieniędzy, ani zrazu, ani potem i nikt z nich się nie wyliczył. Od 15 lat krążą rozmaite pogłoski o sprzeniewierzeniu tych pieniędzy, znalezionych w Rzymie, jak i tych, co dotarły do Paryża czy Londynu, zawczasu wysłane przez Hańczy.

Kpt. Werner, doskonale obeznany ze sprawą skarbu i który po powrocie z Egiptu został zatrudniony właśnie w ekspozyturze dwójki w Ankonie, ocenia wysokość znalezionej w klasztorze „resztówki” na znacznie większą, niż wymieniłem powyżej. Sądzi, że po wszystkich uprzednich wysyłkach, musiało pozostać w Rzymie ponad 3 miliony. Oblicza to w ten prosty sposób, że odnalezionych waliz było osiem, w każdej mieściło się przeciętnie 15 pasów, czyli około 450 tysięcy w każdej. Inny znowu świadek, kpt. Harting z dwójki, ocenia całość na około 2 i pół miliona. Decydującym dowodem w tej materii byłyby zarekwirowane w swoim czasie przez żandarmerię książki kasowe, bardzo dokładnie prowadzone przez Micińskiego, ale czy one dziś istnieją?

Zagadka płk. Hańczy

Sprawę Hańczy należy traktować na tle całego oddziału VI w Londynie, a zwłaszcza wspólnie z gen. Tatarem, który kierował despotycznie wszystkimi sprawami, jakie dotyczyły kraju.

Hańcza utracił życie w tragicznych okolicznościach w związku z zamachem Oddziału II na fatalne miliony i był napiętnowany

zupełnie dowolnie. Korpus nie miał racji, wtrącając się do kasy A.K. Również zarzut przygotowania ucieczki był zmyślony.

Niewątpliwie Hańcza był związany z gen. Tatarem, jedynym człowiekiem z jakim ten samotnik utrzymywał stosunki i korespondował. Ale ta znajomość pochodziła jeszcze z czasów warszawskiego podziemia, zanim Tatar zaciągnął się pod sztandary Mikołajczyka. W Londynie Tatar doszedł do władzy, natomiast Hańcza odosobniony we Włoszech przez klauzury wojenne, został zepchnięty do roli bardzo bardzo drugorzędnej. Tatar okazał się wielkim szkodnikiem, nie posyłając zasadniczych informacji ani Hańczy, ani Borowi, topił w swoim biurku wszystko, co nie odpowiadało polityce premiera. Hańcza był daleki od wszystkiego, raczej sam stał się ofiarą dezinformacji. Tatar długo przekomarzał się z reżymem i późno wyjechał do kraju, krótko cieszył się zaufaniem Bieruta, znalazł się na ławie oskarżonych w znanym procesie pokazowym i skończył w więzieniu.

Hańcza nie miał narowów Tatara i nie naśladował jego, nie miał żadnych ambicji władczych, stykając się osobście z Hańczyą w Rzymie, nie mogłem dopatrzeć się w jego postępowaniu żadnych poszlak, wskazujących na sympatie reżymowe i na zamiar wyjazdu do Warszawy. Nie był to człowiek łatwych decyzji — podejrzliwy, bał się każdego ryzyka, długo rozgryzał każdą nową sytuację, przeżuwał każdą nową myśl. Hańcza nie należał do tych, co odwiedzali ambasadora reżymowego i targowali się o cenę powrotu. Raczej należał do kół, którym odpowiadały myśli, wyrażone w pięknym liście ks. prof. I. M. Bocheńskiego, napisanym wtedy w Rzymie, w związku z wyjazdem kardynała Hlonda do kraju.

Gdyby Hańcza chciał wyjechać ze skarbem do Polski, mógł to uczynić bardzo łatwo, odjechać swobodnie samochodem do Bawarii, za pierwszym razem. Punkty graniczne północnych Włoch były otwarte i dopiero z końcem roku 1945 zaostrzono dość powierzchownie kontrolę. A w Niemczech, wśród okupacyjnego zamętu, Hańcza mając po-akowskie zaciepienia, mógł łatwo flirtować z Warszawą — gdyby chciał. Ale tak nie postąpił, skarb ukrył, przekazawszy stosunkowo mniejsze kwoty na jakieś cele pośrednie, najwidoczniej na rozkaz Tatara. A może Tatar, widząc opozycję czy niezdecydowanie ze strony Hańczy, wyciągał od niego pieniądze po trochu, może nawet go okłamując?

Według moich rzymskich spostrzeżeń, wyraźniej rysował się zamiar Hańczy pozostania na stałe w Rzymie, nawet po naszym odejściu do W. Brytanii. Zgadując dalej i szukając innej alternatywy, wyglądało równie prawdopodobnie, że powolnie rozumujący Hańcza raczej mógł zwlekać aż do czasu, kiedy na skórze przyjaźnionego generała okazałyby się skutki bierutowej gościn-

ności. Ale natychmiastowy odlot do Polski na pewno nie wchodził w grę. Oskarżenie było zmyślane.

Pisząc, nie korzystałem z żadnych dokumentów, więc gwoli prawdy historycznej, będę zobowiązany za wszelkie, nadesłane mi wprost lub skierowane do redakcji, poprawki i uzupełnienia do niniejszego artykułu.

Władysław MICHNIEWICZ

TOM LXXXIX

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA "DOKUMENTY"

WITOLD JEDLICKI

KLUB KRZYWEGO KOŁA



Str. 176

Cena 10 F (dol. 2.25; 15/-)

Sprawy i troski

Omówienie Ankiety "Kultury"

Ogólna charakterystyka zbiorowości respondentów

W ankiecie „Kultury” wzięło udział ogółem 221 osób, nadsyłając 225 odpowiedzi. Różnica pomiędzy tymi dwiema cyframi pochodzi stąd, że jedna osoba nadesłała aż 5 odpowiedzi, co można łatwo stwierdzić na podstawie analizy charakteru pisma oraz powtarzających się charakterystycznych sformułowań. Wypadek ten nie komplikuje jednak w sposób istotny obliczania wyników, gdyż jedyną rzeczą, jaka w tych pięciu ankietach się powtarza, jest skrajnie negatywna odpowiedź na pyt. 1. Dlatego tylko w tym punkcie oraz przy referowaniu ilości odpowiedzi nadesłanych z kraju, z którego nadeszło tych 5 ankiet, tj. z Francji, podany wynik będzie podwójny.

Jako kryterium ważności odpowiedzi przyjąłem odpowiedzię na przynajmniej jedno pytanie ankiety. Nie było jednak ani jednej odpowiedzi, która by tego warunku nie spełniała.

Niemal wszystkie odpowiedzi zostały nadesłane w języku polskim. Wyjątek stanowią dwie odpowiedzi w języku angielskim, jedna w języku czeskim oraz jedna w języku ukraińskim. Jedna odpowiedź została sformułowana w polszczyźnie tak niepoprawnej, że aż z trudem zrozumiałej. Poza tym jednym wypadkiem polszczyzna pozostałych odpowiedzi jest zupełnie poprawna i niemal bezbłędna.

Najwięcej odpowiedzi, bo aż 80 nadeszło ze Stanów Zjednoczonych. Na drugim miejscu jest Kanada — 36 odpowiedzi. Następnie idą w kolejności: Anglia — 27 odpowiedzi, Francja — 21 (17), Australia — 9, Afryka Południowa, Brazylia i Niemcy po 5, Argentyna i Polska po 4, Szwecja — 3, Holandia, Nowa Zelandia i Włochy po 2, Belgia, Cypr, Dania, Korea, Liban, Madagaskar, Portugalia, Szwajcaria, Urugwaj, Wenezuela i Wybrzeże Kości Słoniowej po 1 oraz 9 nieustalonych. Jeżeli chodzi o 4 odpowiedzi z Polski, to wyróżniam je bez względu na kraj nadania listu, na

Ankieta „Kultury” była dołączona do nru 3/173 (marzec 1962). Z braku miejsca cytujemy jedynie główne pytania bez podpunktów (Red.).

podstawie odpowiedniej wzmianki w tekście, informującej, że autor zamieszkuje stale w Polsce. W ankietach tych ze zrozumiałych względów brak jest odpowiedzi na pyt. 8-11.

W ankiecie wzięło udział tylko 30 kobiet, ale nie jest wykluczone, że pewna niewielka ilość kobiet kryje się jeszcze wśród odpowiedzi anonimowych.

Dość znaczna ilość respondentów potraktowała swoje zadanie w sposób nieformalny, tzn. nie ograniczyła się do zwięzłej odpowiedzi na pytania ankiety, lecz nadesłała obszernie nieraz elaboraty, w których niekiedy zostały poruszone kwestie, luźno wiążące się z pytaniami ankiety. Takie odpowiedzi zawierają niekiedy ciekawe myśli i sugestie, ale trzeba powiedzieć, że poziom większości odpowiedzi tego typu nie jest wysoki: masę tam nieznośnego gadulstwa, frazeologii i skłonności do grafomanii. Niektóre odpowiedzi są jednak naprawdę interesujące.

Autorzy odpowiedzi na ankietę nie mogą być uważani za reprezentację ogółu czytelników „Kultury”. Przede wszystkim 4 odpowiedzi z Polski na pewno nie odzwierciedlają rzeczywistej proporcji krajowych czytelników „Kultury”. Wydaje się, że w strukturze respondentów ze względu na kraje zamieszkania zachodzą i inne poważne dewiacje (np. zupełny brak odpowiedzi z Izraela). Nie jest też chyba prawdopodobne, żeby kobiety stanowiły tylko 13% ogółu czytelników „Kultury”. Wydaje się, że respondenci w swojej masie wyróżniają się spośród ogółu czytelników „Kultury” takimi cechami, jak kontakty z redakcją pisma, większy stopień zainteresowania pismem, aktywność osobista, potrzeba wypowiedzenia się, umiejętność formułowania myśli w poprawnej polszczyźnie. Zbiorowość autorów odpowiedzi na ankietę stanowi więc w masie czytelników pisma raczej elitę niż przeciętną.

Pyt. 1: Ogólne opinie o „Kulturze”

Odpowiedzi na to pytanie podzieliłem zasadniczo na pozytywne, negatywne i krytyczne, choć jest rzeczą zrozumiałą, że w ramach każdej z tych kategorii są gradacje. Otóż odpowiedzi, które można zakwalifikować jako pozytywne, jest aż 169, negatywnych 18 (14), a krytycznych 27. Dwie osoby zrozumiały pytanie nie jako pytanie o ich własne opinie na temat pisma, lecz jako pytanie o opinie kursujące czy przeważające o piśmie. Zaledwie 9 osób nie odpowiedziało na to pytanie w ogóle.

Jeżeli chodzi o motywację odpowiedzi negatywnych lub krytycznych, to w 7 wypadkach powtarza się zarzut, że pismo jest nierówne, 6 osób zarzuca pismu nadmierne rozpolitykowanie lub politykierstwo, 4 osoby twierdzą, że poziom pisma spada, również 4 osoby zarzucają mu prokomunistyczność względnie chwiejność w stosunku do komunizmu, 3 osoby uważają pismo za rodzaj towarzystwa wzajemnej adoracji, 2 osoby uważają, że pismo jest jednostronne, nie precyzując bliżej na czym ta jednostronność polega, po 2 osoby mają za złe pismu jego orientację

socjalistyczną, jego stosunek do granic wschodnich oraz jego stosunek do legalizmu i prezydenta Zaleskiego. 1 osoba twierdzi, że pismo jest nudne, 1 że jest przereklamowane, 1 że zalatuje trupem. Również po 1 osobie zarzuca pismu bezkrytyczność w stosunku do zachodu, nieinteresowanie się Ziemiami Odzyskanymi, brak orientacji w sprawach krajowych, za dużo miejsca na sprawy personalne oraz za dużo miejsca dla Gombrowicza. 1 osoba zarzuca „Kulturze” w 5 nadesłanych odpowiedziach (p. wyżej) zdradę Polski lub coś podobnego. 2 osoby nie podały żadnych motywów swoich negatywnych lub krytycznych opinii.

Pyt. 2: Jakie działy czyta Pan(i) najchętniej?

Jako na działy najchętniej czytane na eseje wskazało 129 osób, na archiwum polityczne 149 osób, na najnowszą historię Polski 128 osób, na dział krajowy 158 osób, na inne działy ogółem 101 osób. Spośród tych 101 osób, 15 osób wymienia jako ulubiony przedmiot lektury listy do redakcji, 14 osób recenzje książek, 8 osób poezję, 7 osób prozę, 5 osób kronikę kulturalną lub dział kulturalny, 3 osoby dział literacki lub utwory literackie (nie wyszczególniając, czy mają na myśli poezję czy prozę), 3 osoby dział „Sąsiedzi”, 2 osoby sprawy emigracji oraz po 1 osobie artykuły dyskusyjne, naukę, „sprawy i troski” oraz listy nazwisk ofiarodawców.

Jest rzeczą ciekawą, że 51 osób w tej czy w innej formie wskazało na wszystkie pięć działów, jako na działy czytane najchętniej. Wielokrotnie powtarza się zwrot „od deski do deski”.

11 osób zrozumiało pytanie nie jako pytanie o wybór działu najchętniej czytanego, lecz jako pytanie o kolejność wyborów. Jeżeli te 11 odpowiedzi punktować w ten sposób, że działowi wskazanemu na pierwszym miejscu nada się wartość 5, następnemu 4 i tak dalej aż do 1, to dział esejów otrzyma 28 punktów, archiwum polityczne 48 punktów, najnowsza historia Polski 31 punktów, „Kraj” 35 punktów, inne 23 punkty.

Pyt. 3: Co daje Panu(i) lektura „Kultury”?

93 osoby twierdzą, że lektura „Kultury” daje im orientację polityczną, 113 osób, że daje im pogląd na zagadnienia kulturalne, 134 osoby, że daje im pogląd na kraj i emigrację. 55 osób wskazuje na wszystkie trzy rzeczy naraz, jako na korzyści odniesione z lektury „Kultury”.

24 osoby wskazują na inne korzyści nie wymienione w pytaniu. Spośród nich 7 osób twierdzi, że lektura „Kultury” pobudza ich do myślenia, daje im materiał do myślenia lub rozwija intelekt. 4 osoby twierdzą, że „Kultura” daje im uzupełnienie lub sprawdzian ich poglądów, możliwość porównań lub konfrontacji. Również 4 osoby twierdzą, że lektura „Kultury” daje im przyjemność.

3 osoby podkreślają, że „Kultura” to dla nich niemal jedyny kontakt z językiem polskim. 2 osoby twierdzą, że „Kultura” daje im pogląd na emigrację, ale zastrzegają się zarazem, że nie na kraj. 1 osoba twierdzi że „Kultura” daje jej bardzo wiele, 1 że ogólną orientację, 1 że nowe wartości literackie i 1 że materiał do kłótni z mężem.

2 osoby twierdzą, że „Kultura” im nic nie daje, 1 że szuka w piśmie polskiego punktu widzenia, ale że go tam nie znajduje, 1 zarzuca, że pytanie zostało wadliwie sformułowane.

Pyt. 4: Czy „Kultura” powinna kłaść główny nacisk na zagadnienia polityczne czy kulturalne?

Aż 90 osób domaga się bądź równego nacisku na zagadnienia polityczne i kulturalne, bądź zaleca utrzymanie dotychczasowych proporcji. Położenia głównego nacisku na zagadnienia kulturalne domaga się 69 osób, a na zagadnienia polityczne 46 osób. 13 osób domaga się nadto położenia nacisku na sprawy gospodarcze.

Wydaje się, że w tej przewadze preferencji kulturalnych nad politycznymi pewną rolę odgrywa nazwa pisma. Są respondenci którzy w nazwie pisma dopatrują się bądź sprawdzianu słuszności ich postulatów położenia nacisku na sprawy kulturalne, bądź przyczyny, dla której nacisk powinien być położony na sprawy kulturalne.

3 osoby odpowiedziały na pyt. 4 w sposób żartobliwy, 1 w sposób niejasny, a 16 osób nie odpowiedziało na to pytanie w ogóle.

Pyt. 5: Jaka jest Pana(i) opinia o stanowisku „Kultury” wobec problemów: rosyjskiego, niemieckiego, ukraińskiego i walki z antysemityzmem?

Opinię pozytywną o stanowisku „Kultury” wobec wszystkich czterech problemów narodowościowych wyraziło 81 osób, z czego 63 bez żadnych zastrzeżeń, a 18 z pewną rezerwą, wyrażaną przy pomocy takich zwrotów, jak „na ogół się zgadzam”, „przeważnie”, „raczej”, „w ogólnych zarysach” itp.

Sprzeciw wobec stanowiska „Kultury” w sprawie rosyjskiej wyraziło 36 osób, w sprawie niemieckiej 28 osób, w sprawie ukraińskiej 35 osób, w sprawie żydowskiej 57 osób.

Wśród 57 osób, sprzeciwiających się stanowisku „Kultury” w sprawie żydowskiej można wyróżnić następujące motywacje:

Przesada, nie ma antysemityzmu, sprawa jest nieaktualna, wyolbrzymiona, mało ważna, stanowisko „Kultury” nieszczerze, akcja spóźniona, walka z wiatrakami, zawracanie głowy, za dużo sentymentalizmu — 32 osoby. (1 osobą, zarzucając „Kulturze”, że wyolbrzymia problem, dodaje: „ale jeżeli dla celów propagandowych, to może i słusznie”).

Poglądy antysemickie deklaruje otwarcie 10 osób.

Nie dyskutować, nie przypominać — 7 osób (W dwóch wypadkach z oryginalnymi uzasadnieniami: „bo kołtuny powiedzą, że „Kultura” jest zażydzona” oraz „bo nie warto, gdyż antysemityzm i tak za 10 lat nie będzie”).

Nacisk na potrzebę wzajemności w stosunkach polsko-żydowskich („Niech Polacy walczą z antypolonizmem, Żydzi z antysemityzmem itp”, „Zająć się antypolonizmem Żydów”, „Zbyt surowa ocena strony polskiej”) — 4 osoby.

Polityczne stanowisko antysyjonistyczne lub antyizraelskie deklarują 2 osoby. 1 osoba zarzuca „Kulturze”, że nie zaregowała na powieść Urisa. 1 osoba zarzuca pismu, że jego stanowisko w tej sprawie jest jeszcze za słabe.

Wśród 35 osób sprzeciwiających się stanowisku „Kultury” w sprawie ukraińskiej wyróżnić można następujące motywacje:

Przesada, nieaktualne, nudne, za dużo sentymentalizmu — 6 osób. *Wishful thinking*, nierealne, i tak Ukraińców nie zjednamy — 6 osób. Nacjonalistyczne stanowisko antyukraińskie otwarcie deklarują 3 osoby. Stanowisko „Kultury” jest zbyt ostantacyjnie ukrainofilskie, zbyt ugodowe — 3 osoby. Nie przypominać, za dużo miejsca się temu poświęca — 3 osoby. Nacisk na kwestię wzajemności, „za dużo kajania się ze strony polskiej” — 2 osoby. 2 osoby wskazują na to, że pozycja „Kultury” wobec Ukraińców jest fałszywa w wyniku deklarowanej przez „Kulturę” rezygnacji z Ziemi Wschodnich, na rzecz Rosji. 1 osoba zarzuca „Kulturze” niezdecydowane stanowisko w sprawie ukraińskiej.

Analogiczna kategoryzacja sprzeciwów wobec stanowiska „Kultury” w sprawie niemieckiej i rosyjskiej nie prowadzi moim zdaniem do rezultatów ciekawych. Jeśli chodzi jednak o sprawę niemiecką, to uderza, że mimo, iż za większością tych sprzeciwów kryją się, jak się zdaje, motywacje nacjonalistyczne, aż 5 osób zarzuca „Kulturze”, że jej stanowisko w sprawie niemieckiej jest nacjonalistyczne, reakcyjne, że „Kultura” robi niedobrze, broń granic na Odrze i Nysie itd. Najskrajniejszym wyrazem nacjonalizmu antyniemieckiego jest zarzut 1 osoby, że „Kultura” nie domaga się zupełnego zerwania kontaktów kulturalnych pomiędzy Polską a Niemcami.

Pyt. 6: Jakie sugerowałby Pan(i) zmiany?

W praktyce najczęściej trudno jest rozróżnić pomiędzy propozycjami nowych działów i nowych tematów. Dlatego na wstępie referuję kolejno propozycje nowych działów i nowych tematów łącznie, kolejno według ilości otrzymanych głosów, następnie co respondenci proponują rozszerzyć w piśmie, a czemu poświęcać mniej miejsca niż dotąd, następnie propozycje zmian organizacyjnych, następnie zacytuję pewne odznaczające się oryginalnością propozycje poruszenia pewnych tematów specjalnych.

a) *Nowe działy, nowe tematy*

Dział przyrodniczy, nauki ścisłe względnie poszczególne ich gałęzie, postęp i osiągnięcia wiedzy — 14 osób. Ekonomia — 9 osób. Muzyka — 8 osób. Inne emigracje z krajów komunistycznych — 7 osób. Periodyczne korespondencje z krajów osiedlenia emigrantów — 7 osób. Dział młodzieżowy — 6 osób. Technika — 5 osób. Wspólny rynek, wspólnota europejska — 5 osób. Teatr — 5 osób. Malarstwo, rzeźba, architektura — 5 osób. Przemiany społeczne — 5 osób. Periodyczne przeglądy wydarzeń politycznych — 4 osoby. *Underdeveloped countries* — 4 osoby. Specjalny dział, umożliwiający awans literacki młodym pisarzom — 4 osoby. Film — 4 osoby. Filozofia — 4 osoby. Religia — 3 osoby. Specjalny dział niemiecki — 3 osoby. Osiągnięcia uczonych polskich — 3 osoby. Psychologia — 2 osoby. Notatnik konserwatywny (obok socjalistycznego lub zamiast) — 2 osoby. Periodyczne przeglądy prasy krajowej i emigracyjnej — 2 osoby. Dział wojskowy — 2 osoby. Specjalny dział amerykański — 2 osoby. Specjalny dział rosyjski — 2 osoby. „Obcy o Polsce” — 2 osoby. „Z szuflad pisarzy” — 1 osoba. Eksperymenty literackie — 1 osoba. Pamiętnikarstwo — 1 osoba. Specjalny dział angielski — 1 osoba. Specjalny dział francuski — 1 osoba. Specjalny dział litewski i białoruski — 1 osoba. Specjalny dział środkowo-europejski — 1 osoba. Ciekawostki, odkrycia, wynalazki — 1 osoba. Humor — 1 osoba. Rozrywki umysłowe — 1 osoba.

b) *propozycje rozszerzenia działów lub tematów istniejących*

Więcej o kraju! — 16 osób. Rozszerzenie działu recenzyjnego w różnych formach proponuje 12 osób. Jak najwięcej autorów z kraju pod pseudonimami! — 4 osoby.

c) *propozycje zwężenia działów lub tematów istniejących*

Mniej wycieczek personalnych i wzajemnego chwalenia się — 5 osób. Mniej Gombrowicza — 4 osoby. Mniej Mieroszewskiego — 3 osoby. Mniej poezji — 3 osoby. Mniej listów do redakcji — 2 osoby. Bez notatnika socjalistycznego — 2 osoby. Mniej Jordana — 1 osoba. Mniej historii — 1 osoba. Mniej „wspominek” — 1 osoba. Mniej nielegalnej literatury rosyjskiej — 1 osoba. Mniej reportaży z Polski — 1 osoba. Mniej złośliwości pod adresem reżymu — 1 osoba.

d) *propozycje organizacyjne*

Umieędzynarodowienie pisma przez udostępnienie go dla wszystkich emigracji z krajów komunistycznych lub w każdym razie

ściślejsza współpraca z tymi emigracjami — 3 osoby. Drukowanie autorów o poglądach sprzecznych ze stanowiskiem redakcji — 3 osoby. Połączenie się z „Kontynentami” lub w każdym razie ścisła współpraca z nimi — 2 osoby. Wydawanie pisma w języku angielskim — 1 osoba. Drugie wydanie pierwszych numerów „Kultury” — 1 osoba. Reprodukcyjne plastyków emigracyjnych — 1 osoba. Utworzenie *Research Bureau* tj. archiwum materiałów źródłowych, które by się rozsyłało autorom artykułów. (Projektodawca zauważa, że nie łączyłoby to się z żadnymi specjalnymi kosztami, gdyż różne instytucje z reguły rozsyłają tego rodzaju materiały bezpłatnie) — 1 osoba. Wydanie (po polsku i po angielsku) książki, która dałaby syntezę stanowiska politycznego „Kultury” — 1 osoba. Powiększenie objętości pisma — 1 osoba.

e) *propozycje o charakterze specjalnym, zgłaszane przez poszczególnych respondentów*

Biografie ludzi epoki. Turystyka w kraju. Przyczyny atrakcyjności komunizmu. Propaganda antywatykańska. Dobrze udokumentowane opisy, jak w przeszłości narody, które uległy przemocy, odrodziły się i nabrały siły. Jaki procent dochodu narodowego idzie w Polsce w błoto? Dlaczego zachód przegrywa? Bezideowość emigracji, Polska jagiellońska, federalizm. Przeobrażenia mentalności Polaków. Wykić propagandę o osiągnięciach reżymu. Kompleks niższości Polaków wobec zagranicy. Drukować tych, co wybierają wolność. Więcej współpracowników z Polski centralnej, mniej kresowiaków. Drukować artykuły o Polsce i Polakach z podejściem chwalcącym, a nie krytykującym. Krytykować tylko cudzoziemców. Objaśnienie do Gombrowicza. Niemcy bez Żydów (pod względem kulturalnym). Program polityczny dla Polski na rok 1970. Rozpisać ankietę, jak zrobić, żeby Polacy płacili 10% zarobków na cele kulturalne i społeczne, tak jak Żydzi. Historia wiedzy geograficznej. Więcej o osiągnięciach kraju; ostrożniej z ocenami sytuacji w kraju, żeby uniknąć kompromitacji. Spis osiągnięć Polaków na emigracji. Rzucenie hasła „ambasadorstwa” tj. uświadamiania zagranicą przez emigrantów o sprawach polskich. Wychowanie młodzieży w Polsce. Wpływy filozofii hinduskiej, chińskiej i japońskiej na myśl zachodu. Tematyka ogólnoludzka.

Pyt. 7: *Jakich autorów „Kultury” ceni Pan(i) najbardziej?*

Najbardziej cenionym przez respondentów autorem jest niewątpliwie Mieroszewski: na niego, jako na swojego ulubionego autora wskazało aż 140 osób. Na drugim miejscu jest Hostowiec — 96 osób. Następnie kolejno największe ilości głosów otrzymali: Miłosz — 79 osób; Nowakowski — 56 osób; Czapski — 55 osób; Gombrowicz — 46 osób; Herling-Grudziński — 36 osób; W.A. Zby-

szewski — 21 osób; Łobodowski — 19 osób; Terlecki — 17 osób; Jeleński — 16 osób; Aleksander Hertz — 15 osób; Jordan — 14 osób; Mostwin i Osadczuk — po 13 osób; Lewickij — 10 osób; Bobkowski, Czapska i Kawałkowski — po 8 osób; Stanisław Vincenz — 7 osób; Erdmanowa, S.W. Kozłowski, Józef Mackiewicz, Sambor i Wierzyński — po 6 osób; Chciuk, Gross, Iwaniuk, Kisielewski i Pobóg-Malinowski — po 4 osoby; Dobek, Hłasko, Karpińska, Schoenfeld i Sukiennicki — po 3 osoby; Ciołkosz, Fiedotow, Grabowski, Stanisław Mackiewicz i Romanowiczowa — po 2 osoby; Arżak, Bregman, Brzękowski, Cygan, Gamarnikow, Grobicki, Heydenkorn, Korboński, Kowalewski, Lipski Łabędź, Mieczkowski, Okulicz, Sławoj-Składkowski, Sokolnicki, Stpicyński, Toporska, Ulatowski, Wańkiewicz, Wittlin i Wohnout — po 1 osobie.

1 osoba na pytanie o ulubionych autorów odpowiada „Żydzi”; 1 osoba „anonimowi Rosjanie”.

Pyt. 8: Jak ocenia Pan(i) „Zeszyty Historyczne” i czy zamierza Pan(i) skorzystać z ulgowej prenumeraty?

Ogólną pozytywną opinię o „Zeszytach historycznych” wyraża 48 osób, ogólną opinię negatywną 6 osób. 30 osób stwierdza, że „Zeszytów” zupełnie nie zna.

Zamiar skorzystania z ulgowej prenumeraty deklaruje 55 osób. z czego 50 bez zastrzeżeń, a 5 z pewną rezerwą, wyrażoną przy pomocy takich zwrotów, jak „chyba skorzystamy”, „może”, „raczej” lub „zapewne”. 6 osób twierdzi, że już w chwili odpowiadania na ankietę z prenumeraty „Zeszytów” korzysta. 49 osób oświadcza otwarcie, że z prenumeraty „Zeszytów” nie skorzysta.

Pyt. 9: Pana(i) opinia o „Bibliotece Kultury”?

Tylko 4 osoby odpowiadają ogólnie na pyt. 9, niezależnie od odpowiedzi na pkyt a i b. Spośród tych 4 osób, 3 wyrażają ogólną opinię pozytywną o „Bibliotece Kultury” a 1 negatywną.

Na pyt. 9a pozytywnie odpowiada zaledwie 21 osób, natomiast negatywnie aż 137 osób. Większość z tych 137 osób jednakże podaje, że choć nie kupuje tych książek systematycznie, to jednak niektóre z nich kupuje i czyta. Na pytanie o powody niekupowania systematycznego tych książek odpowiada tylko bardzo niewielka liczba respondentów i odpowiedzi te są zupełnie nieciekawe: z reguły wymienia się brak pieniędzy, brak czasu, przeciążenie pracą zawodową.

Na pyt. 9b pozytywnie odpowiada 62 osoby, z czego 54 bez zastrzeżeń, a 8 z pewną rezerwą, wyrażoną przy pomocy takich zwrotów jak „chyba”, „prawdopodobnie” lub „raczej”. Natomiast 66 osób oświadcza otwarcie, że z ryczałtowej prenumeraty wydawnictw „Biblioteki Kultury” skorzystać nie będą. I osoba oświad-

cza stanowczo: „Uważam ryczałtową prenumeratę „Biblioteki Kultury” za jej pewny pogrzeb”.

Pyt. 10: Ile osób czyta Pana(i) egzemplarz „Kultury”?

Na pytanie o liczbę osób, korzystających z jednego egzemplarza pisma odpowiedziały ogółem 124 osoby. Z odpowiedzi tych wynika, że z jednego egzemplarza „Kultury” korzysta średnio 2,66 osoby. (Oczywiście średnia ta jest obliczona wyłącznie dla zbiorowości tych 124 respondentów, a nie dla całej zbiorowości odpowiadających na ankietę. Dla jej obliczenia przyjąłem nadto pewne dodatkowe konwencje, przyjmując np. dla odpowiedzi „2-3 osoby” wartość 2,5, dla odpowiedzi „3-5 osób” wartość 4 itd. Odpowiedzi ogólnikowych typu „kilka osób” nie brałem pod uwagę w ogóle).

Na pyt. 10a odpowiada pozytywnie aż 134 osoby, a negatywnie tylko 39 osób. Jeżeli porównać ten wynik z rozkładem odpowiedzi na pyt. 9a (21 poz. i 137 neg.), to widać, o ile większą popularnością cieszy się pismo od wydawnictw biblioteki. Na pyt. 10b odpowiada pozytywnie tylko 26 osób, a negatywnie aż 143 osoby. Do odpowiedzi pozytywnych na to pytanie zaliczyłem przy tym nawet odpowiedzi informujące, że respondent przestał wysyłać egzemplarze do Polski, gdy po kilku próbach się przekonał, że nie są one doręczane adresatom. Na pyt. 10c pozytywnie odpowiedziało 96 osób, negatywnie 40 osób, zaś 18 osób w tej czy w innej postaci oświadczyło, że nie rozumie pytania, względnie nie wie, jakby tego rodzaju wysyłka miała wyglądać. Muszę jednak stwierdzić, że to, czy respondent odpowiada na to pytanie pozytywnie, negatywnie, czy też oświadcza, że nie rozumie pytania, nie ma tu większego znaczenia. Niemal wszyscy bowiem respondenci wyrażają troskę o to, żeby przez taką wysyłkę nie narażać ludzi i żeby taka wysyłka nie była zupełnie bezskuteczna wobec konfiskat. Nie ma też prawie różnic zdań co do tego, że gdyby nie ewentualność narażania ludzi i konfiskaty, akcja taka byłaby jak najbardziej pożądana. Jest więc rzeczą przypadkową, czy respondent odpowiada: „tak, pod warunkiem, że się nie naraża ludzi” czy „nie, gdyż w ten sposób się naraża ludzi” czy zapytuje „jak to można zrobić bez narażania ludzi?”. Rozkład odpowiedzi na pyt. 10c sugeruje istnienie głębokich różnic zdań, podczas gdy w rzeczywistości panuje wśród respondentów w tej sprawie wyjątkowa jednorodność.

Pyt. 11: Jak ocenia Pan(i) nagrody literackie „Kultury”?

Na pyt. 11 odpowiedziało ogółem zaledwie 107 osób. Z tego 74 osoby wyraziło o nagrodach „Kultury” ogólną opinię pozytywną, 13 negatywną, a 20 krytyczną. Niektórzy respondenci domagają się pewnych zmian w trybie ich przyznawania. Tak więc padły po-

stulaty, żeby drukować uzasadnienia nagród, żeby zrobić wokół nagród większy huk propagandowy, żeby podwyższyć ich wysokość i ewentualnie rzadziej je przyznawać, żeby zwracać więcej uwagi na twórczość młodych. Jedna z osób, które wypowiedziały się o nagrodach „Kultury” negatywnie, zaproponowała, żeby fundusz przeznaczony na nagrody przeznaczyć na sfinansowanie przekładu wybranych dzieł na język angielski.

J. W.

TOM XC BIBLIOTEKI „KULTURY”
SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT CZWARTY

z a w i e r a

WKŁADKĘ ILUSTRACYJNĄ — AKTUALNY PLAN MIASTA
LWOWA — Z OBJAŚNIENIAMI

Relacje i wspomnienia z okresu Niepodległości, z czasów
drugiej wojny i Polski Ludowej:

Jerzy Mond — *Nieznana dyskusja Gomułki z dziennikarzami.*

W. Chocianowicz — *Sejm Wileński w 1922 r.*

W.A. Zbyszewski — *Nieznane „testimonium” o Piłsudskim.*

St. Fischlowitz — *Kiedy wojna rozpoczęła się naprawdę.*

F. Frankowski — *Kryzysowy okres w stosunkach polsko-
francuskich.*

K. Bagiński — *„Proces szesnastu” w Moskwie*

W. Ładniewska-Blankenheimowa — *Z dwóch ostatnich lat
Boya*

L. Nikulin — *„Pochód za Wisłę”*

o r a z d z i a ł y

MASONERIA W POLSCE — POLEMIKI — PRZEGLĄD
WYDAWNICTW — NOWOŚCI HISTORYCZNE — LISTY
DO REDAKCJI

Str. 240 Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratorzy „Kultury” korzystają ze specjalnej
50% zniżki. Oplacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.

Kronika kulturalna

Stanisław Wędkiewicz

Dnia 8 maja br. zmarł w Krakowie w wieku lat siedemdziesięciu pięciu Stanisław Wędkiewicz. Ze śmiercią jego humanistyka polska straciła jednego z najświetniejszych swoich przedstawicieli.

Romanista, wychowanek wiedeńskiego uniwersytetu, był Wędkiewicz z grubsza biorąc współczesnikiem znakomitych niemieckich romanistów, takich jak E.R. Curtius, Leo Spitzer, Erich Auerbach, Eugen Lerch, czy trochę starszy od nich Karl Vossler. Romanistyka ta była chlubą niemieckiej nauki do czasu, kiedy zdławiło ją barbarzyństwo hitlerowskie, rozprasząc jednych uczonych, zmuszając do milczenia drugich. Była też ważnym współczynnikiem odnowy współczesnej humanistyki, nie tylko w Niemczech.

Wędkiewicz był człowiekiem podobnej formacji intelektualnej co jego niemieccy koledzy. Podobnie jak tamci uczeni był on żywym zaprzeczeniem pojęcia ciasnego specjalisty. Wielki pan nauki, poruszał się swobodnie w kręgach różnych kultur, i to nie tylko romańskich: francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej, rumuńskiej. Pobytowi w latach pierwszej wojny światowej w Stockholmie zawdzięczał i dobrą znajomość szwedzkiego, i żywe zainteresowania — jak świadczą: jego studium o Nathanie Söderblomie, bogata bibliografia prac szwedzkich na tematy polskie, „La Suède et la Pologne”, oraz studium o recepcji „Chłopów” Reymonta w Szwecji — szwedzkimi zagadnieniami kulturalnymi. W latach przymusowej bezczynności ostatniej wojny nauczył się rosyjskiego i czytał w literaturze rosyjskiej. Był też zawsze świetnie zorientowany w polskiej produkcji naukowej.

Co ważniejsza, odnajdujemy u niego ten sam ferment metodologiczny, żywą świadomość potrzeby odnowy metod humanistyki, pełne sympatii zainteresowanie dla nowych ujęć, eksperymentów, przewartościowań. W swych wczesnych pracach językoznawczych interesował się szczególnie zagadnieniami składni i stylistyki, a więc dziedzinami, które były zaniedbane w nauce.

Romanistyka starego typu unikała współczesnej tematyki. Nowi romanści nie tylko żywo interesowali się współczesnością, ale zjawiska jej badali na tych samych prawach co zjawiska przeszłości. Spitzer w ten sam sposób jak styl Racine'a, św. Jana od Krzyża czy Góngory badał styl Romains'a. Céline'a, czy, ostatnio, Butora. E.R. Curtius, który w r. 1948 wydał imponujące erudycją dzieło o losach topiki klasycznej w średniowieczu, jako młody uczoney ogłosił znaną książkę o pisarzach francuskich XX wieku, *Die literarischen Wegbereiter des neuen Frankreich*. Wędkiewicz ogłaszał w Krakowie świetne wykłady o średniowiecznej literaturze francuskiej, ale pasjonował się nade wszystko problemami kulturalnymi współczesnego świata.

Pod jednym jednak względem był Wędkiewicz przeciwieństwem tamtych niemieckich uczonych. Dorobek naukowy takiego Vosslera, Curtiusa czy Spitzera jest imponująco obfity. Byli to wszystko ludzie łatwego pióra i dużego rozmachu pisarskiego. Dorobek naukowy Wędkiewicza jest ilościowo skromny, tragicznie skromny, jeśli się weźmie pod uwagę jego olśniewające zdolności.

Złożyło się na to wiele przyczyn. Nie najbłahszą była niepohamowana pasja lektury. Valéry Larbaud ogłosił swego czasu dwie książki, zatytułowane *Ce vice impuni, la lecture*. Otóż w wypadku Wędkiewicza „grzech” ten został ukarany bardzo małą wydajnością pracy. Tyle spraw go namiętnie interesowało, nowa książka była tak nieodpartą pokusą, że po prostu na pisanie nie starczało czasu. A poza tym był wobec siebie wymagający, miał pasję dobrej roboty. W rezultacie nie pozostawił po sobie żadnej książki. Jego rozprawy, studia, notatki to świadectwo oszałamiająco bogatych możliwości, nigdy w pełni nie zrealizowanych, marginalia wielkiej twórczości naukowej, której możliwości zabrał ze sobą do grobu.

Oto np. jego młodzieńcza, studencka jeszcze rozprawa o Pascalu, ogłoszona w „Przeglądzie Polskim”. Rozprawa świadczy tak o świetnym zżyciu się autora z twórczością Pascala, jak i o przegryzieniu się jego przez bogatą literaturę naukową. Zdawała się zapowiadać znakomitego badacza zagadnień religijnych świata romańskiego. Ale Wędkiewicz do spraw tych wrócił raz tylko, w r. 1927, w studium „Ideały franciszkańskie a kryzys tzw. kultury zachodniej”. Studium to było tylko okruczem tego, co naprawdę mógł dać.

Wacław Borowy, który miał niezwykle szczęśliwą rękę w doborowaniu współpracowników dla „Przeglądu Warszawskiego” — jego odkryciami byli rotmistrz (czy podówczas może jeszcze porucznik) Zawodziński i urzędnik ubezpieczalni Piwiński, a czasem dwaj czołowi krytycy dwudziestolecia — zaproponował mu omawianie w miesięczniku przekładów z literatury włoskiej. Rezultatem tej inicjatywy były m.in. szkice o „Pamiętnikach” Casanovy i o „Życiu Chrystusa” Papiniego, napisane z werwą, imponująco pewną ręką, świadczące o świetnej orientacji w tle

kulturalnym i literaturze przedmiotu. Ale Wędkiewicz dział ten szybko zarzucił i nigdy do niego już potem nie wrócił.

Ambasada Włoch faszystowskich rozwinęła u nas propagandę, mającą na celu wyrugowanie tradycyjnych polskich „Włoch” (wywodzących się z niemieckiego (por. dzisiejsze „Welsch”), i mających pierwotnie odcień pogardliwy) przez nobliwiej brzmiącą „Italię”. Ten nietaktowny i niemądry pomysł — zważywszy, że po polsku słowo „Włochy” nie ma ani cienia pejoratywnego zabarwienia — Wędkiewicz wysmiał w „Języku Polskim”. Sypał jak z rękawa przykładami, świadczącymi o jego świetnej orientacji nie tylko w polszczyźnie kulturalnej, ale także i w polskiej gwarze żołnierskiej, którą się interesował i do której zbierania materiałów tuż po pierwszej wojnie światowej nawoływał. *Pièce de resistance* tego szkicu była humorystyczna piosenka, ułożona przez rekrutów austriackiej armii, stacjonujących na terytorium włoskim, i wychwalająca w c.k. polsko-austriackim żargonie „taliański land”. Szkic był znowu oczywistym marginałium.

Dodajmy, że dwie swoje większe rozprawy językoznawcze, poświęcone takim tematom jak południowo-włoskie dialekty i zagadnienia porównawczej składni języków romańskich, ogłosił w pierwszych latach niepodległego państwa po polsku zgodnie z owoczesnym obyczajem: były to lata, kiedy w „Roczniku Orientalistycznym” znaleźć można było bardzo specjalne rozprawy z arabistyki, napisane po polsku. W rezultacie oba te studia znalazły się poza obiegiem naukowym. Później jako redaktor „Archivum Neophilologicum” Wędkiewicz błędu tego już nie powtórzył. Pismo przynosiło prace w językach zachodnich, mających międzynarodowy obieg. Ale swoich rzeczy Wędkiewicz tam już nie ogłaszał.

Zaczął jako językoznawca studiami nad językami włoskim i rumuńskim. Niemiecką pracę doktorską ogłosił bardzo młodo, w r. 1911, kiedy miał wszystkiego dwadzieścia trzy lata. Językoznawstwem nigdy już nie przestał się interesować. Na krótko przed śmiercią, jak można się dowiedzieć z nekrologu Marii Strzałkow, ogłoszonego w „Życiu Literackim”, wygłosił w Krakowie referat o imionach polskich we Francji. Ale dość szybko w latach po pierwszej wojnie światowej językoznawstwo zostało zepchnięte w zainteresowaniach jego na plan dalszy przez inne sprawy, zagadnienia kulturalne współczesnego świata romańskiego, głównie francuskiego, oraz polsko-francuskie związki kulturalne. Studia i notatki, jakie na tematy te ogłaszał, to zawsze marginalia niezwykle rozległej i wielostronnej lektury. Napisane są zawsze żywo, z temperamentem, zawsze pobudzające myślowo i zawsze przynoszą bardzo obfity materiał informacyjny. A były przecież rodzajowo bliskie bibliografii rozumowej. Wyczuwa się w ich formie — nigdy w dokumentacji, zawsze dokładnej i precyzyjnej — pewną nerwową niecierpliwość, tak jakby autor chciał jak najszybciej uporać się z przykrym obowiązkiem przelania na papier tego, co miał do powiedzenia. I

zawsze też z żalem każą myśleć o tym, iż Wędkiewiczowi nie starczało cierpliwości i daru koncentracji po temu, aby stworzyć większe prace konstrukcyjne.

Honorowe miejsce wśród tych jego studiów zajmuje obszerna rozprawa o problemie dyktatora w publicystyce francuskiej. Niespodziewanie nabrała ona szczególnej aktualności, bo trafił chciał, iż pierwsza jej część pojawiła się w majowym zeszycie „Przeglądu Współczesnego” z 1926 r.

Miał rozległe i różnorodne plany naukowe, które nigdy nie doczekały się urzeczywistnienia. Dla „Biblioteki Narodowej” miał opracować wydanie „Boskiej komedii” i „Ojca Goriot” Balzaka. Pierwsze z czasem przekazał ks. Konstantemu Michalskiemu. Pierwsze z czasem przekazał ks. Konstantemu Michalskiemu, w którego opracowaniu nowy przekład „komedii” ukazał się po wojnie, w innej serii. Bodaj że z jego inicjatywy Wojciech Meisels przełożył *Brevario di estetica* Crocego. W r. 1924 zapowiedziano wydanie książki „w najbliższym czasie” ze wstępem Wędkiewicza. Książka ta nigdy nie wyszła, z roku na rok czekając na ową wstępną rozprawę. Studium o niedoli hispanistyki w Polsce napisał, jak to sam zaznaczył, na marginesie „pewnej większej rzeczy z porównawczej lingwistyki romańskiej”. Nigdy nie pojawiła się ona drukiem. Siedemdziesiątą rocznicę urodzin Porębowicza postanowił uczcić w „Przeglądzie Współczesnym” serią artykułów, obrazujących różne aspekty działalności tego znakomitego uczonego i świetnego tłumacza. O Porębowiczu pocie napisał tam Zawodziński, o Porębowiczu krytyku i badaczu literatury polskiej — Borowy. Sam Wędkiewicz zapowiedział trzecie studium, o Porębowiczu romanisście, którego nigdy nie ogłosił. W r. 1938 ogłosił krótki szkic „Z głosów francuskich o Austrii i Habsburgach”. We wstępnej notce do tego szkicu czytamy: „Od dawna pracuję nad książką o kulturze umysłowej Francji w latach 1870-1914”. Nigdy jej nie napisał. Kiedy w r. 1946 przeniósł się do Francji na stanowisko dyrektora stacji naukowej Polskiej Akademii Umiejętności, postanowił pobyt w Paryżu wyzyskać dla napisania książki o współczesnej kulturze francuskiej. Nikt drugi w Polsce nie był do napisania takiej książki tak znakomicie wykwalifikowany jak on. Z latami rosły do niej stopy notatek, ale do zredagowania książki nigdy nie przyszło.

Czemu Wędkiewicz raz po raz ogłaszał zapowiedzi, które nigdy nie miały się spełnić? Czasem, wolno przypuszczać, był to zabieg, mający na celu narzucenie sobie zobowiązania, wymuszenie na sobie napisania danej pracy na termin: studium o Porębowiczu zapowiedziane zostało jako mające się ukazać w następnym zeszycie „Przeglądu Współczesnego”. Ale jeśli idzie o większe prace, i rozprawę z językoznawstwa, i książkę o francuskich prądach umysłowych, to chyba głównym motywem była tu chęć zasygnalizowania czytelnikowi, iż to co spod jego pióra wychodzi, nie jest centralnym nurtem jego pracy naukowej, iż nie są to rzeczy na miarę jego możliwości, ale tylko dorywcze okruchy. Wyczuwało się poza tymi zapowiedziami szamotanie

się człowieka niezwykle uzdolnionego i równocześnie dotkniętego jakimś tragicznym niedowładem pisarskim.

Zamiast książki o kulturze francuskiej owocem paryskiego pobytu Wędkiewicza stały się redagowane przez niego i w znacznej mierze jego piórem wypełniane zeszyty francuskiego „Biuletynu” stacji Akademii. „Biuletyn” z jednej strony przynosił informacje o polskich pracach naukowych, zahaczających o tematykę francuską, z drugiej — rejestrował (i prostował) informacje o związkach kulturalnych polsko-francuskich, zaczerpnięte z przeobfitej lektury francuskiej Wędkiewicza. Najokazalej przedstawiał się przedostatni z nich, poświęcony Kopernikowi i dziejom recepcji teorii heliocentrycznej we Francji. Dla każdego badacza stosunków kulturalnych polsko-francuskich zeszyty „Biuletynu” stanowią nieoceniony instrument pracy: informacje ich są obfite, często trudno skąd inąd dostępne i zawsze skrupulatnie sprawdzone. W latach przedpaździernikowych, kiedy wytyczną polityki kulturalnej reżymu było odcinanie Polski od Zachodu, wydawanie takiego „Biuletynu” miało też swoją szlachetną wymowę polityczno-kulturalną (były też zeszyty „Biuletynu” systematycznie przemilczane w prasie krajowej). Tym niemniej trudno się dziś oprzeć uczuciu zawodu na myśl, że uczony klasy Wędkiewicza ograniczył się w swej paryskiej działalności do takiej tylko rejestracyjnej roli.

W pełni wypowiadał się w słowie mówionym. W latach moich studiów uniwersyteckich, 1925-1930, Uniwersytet Jagielloński miał niejednego tęgiego wykładowcę. Ale nikt spośród humanistów nie mógł się tu mierzyć z Wędkiewiczem. Ogłaszał wykłady z językoznawstwa romańskiego, średniowiecznej literatury francuskiej i z problemów kulturalnych współczesnego świata romańskiego. Te ostatnie były z natury rzeczy najpopularniejsze i ściągają sporo słuchaczy z miasta. W wykładach jego nie było cienia retoryki, sadzenia się na literackość. Wykładowca posługiwał się kollokwalnym językiem, nie unikał dialektyzmów, mówił „każden”, „któs”, „cós”. Mówił z pamięci, ze swadą i szybko, ku utrapieniu słuchaczek, które chciały jak najwięcej z wykładu profesora zanotować. Nie unikał dygresyj, najczęściej na tematy nowo wydanych książek. Wykłady te podbiły swoją naturalnością i żywością, otwierały przed słuchaczami szerokie europejskie horyzonty, olśniewały bogactwem wiedzy. Czuło się w nich rzetelność naukowego wysiłku, pasję wiedzy, żywy temperament, czujną, krytyczną myśl. Jakże szybko przechodziły te godziny i jak łatwo było skupić na nich uwagę. Co za szkoda, że nie znano wówczas zwyczaju rejestrowania na taśmie wykładów. Dałoby się z nich zrekonstruować niejedną cenną książkę.

Wypowiedział się też poprzez „Przegląd Współczesny”, miesięcznik, który w r. 1922 założył i redagował najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie, gdy przeniósł się na Uniwersytet Warszawski, i na którym wycisnął piętno swej indywidualności. Kiedyś tu w Ameryce, gdy powiedziałem znakomitemu hispanisście Américo Castro, że nazwisko jego znane jest w Polsce, odpo-

wiedział mi: „Wiem, wiem, przecież drukowała mnie polska *Revista de Occidente*” („Przegląd Współczesny”, ogłosił swego czasu jego esej o Cervantesie). Określenie to w pierwszej chwili mnie rozbawiło, a potem zaskoczyło swoją trafnością. *Revista de Occidente*, założona przez Ortegę y Gasseta, była do wybuchu hiszpańskiej wojny domowej reprezentacyjnym miesięcznikiem hiszpańskim. Taką samą rolę odgrywał w świecie polskim do wojny „Przegląd Współczesny”. Pojawiały się tam studia, będące prawdziwą chlubą polskiej prozy dwudziestolecia, takie jak „Elita bolszewizmu” Konstantego Srokowskiego, „Chimera jako zwierzę pociągowe” Jerzego Stempowskiego. „O powieści” Anieli Gruszeckiej, niektóre studia Wacława Borowego i Andrzeja Gawrońskiego. A poza tym „Przegląd Współczesny” był i pod innym jeszcze względem polską *Revista de Occidente*: był oknem szeroko otwartym na Zachód, obficie i kompetentnie informował czytelnika o tym, co się na tym Zachodzie dzieje tak piórami polskich uczonych, jak i obcych, zwłaszcza Włochów, których Wędkiewicz, korzystając ze swoich stosunków w świecie naukowym, do współpracy wciągał.

Nie znaczy to wcale, aby pismo zaniedbywało tematykę rosyjską, czy ukraińską. Przeciwnie, doceniając wagę tej problematyki, Wędkiewicz otwierał jej łamy swego pisma szeroko. Są też zeszyty „Przeglądu Współczesnego” oczywistym zaprzeczeniem swego czasu szeroko kolportowanego w kraju, a z gruntu fałszywego zdania o rzekomym bojkotowaniu tematyki rosyjskiej w prasie polskiej dwudziestolecia międzywojennego. Ale zasadnicza orientacja pisma była zgodnie i z zainteresowaniami redaktora, i podstawowymi tendencjami rozwojowymi kultury polskiej zdecydowanie zachodnia. Po wojnie próbowała kontynuować tradycje „Przeglądu Współczesnego” wydawana w Jeleniej Górze „Nauka i Sztuka”, ale właśnie dlatego pismo to zostało szybko zlikwidowane. Stworzenie i redagowanie przez siedemnaście lat — nie byle jaki rekord w polskich warunkach — „Przeglądu Współczesnego” to wielka zasługa kulturalna Wędkiewicza.

Był animatorem studiów neofilologicznych w Polsce, do czego predestynowały go i szerokość zainteresowań, i świetna orientacja w studiach romanistycznych na Zachodzie. Założył i redagował pierwszy polski periodyk, poświęcony niesławiańskiej neofilologii „Archivum Neophilologicum”. Jakże gorąco namawiał swoich studentów do studiów hispanistycznych. Poświęcił im też w „Przeglądzie Współczesnym” obszernie studium „Zaniedbana dziedzina humanistyki”. Ujęte ono zostało w charakterystyczną dlań formę opartego na zestawieniach bibliograficznych przeglądu osiągnięć hispanistyki na Zachodzie i w Polsce. Uznał, że ono załosne, po dziś dzień nie naprawione zaniedbanie studiów polskich nad kulturą świata iberyjskiego, a równocześnie dzięki docieklivości bibliograficznej Wędkiewicza, tropiącego najdrobniejsze nawet ślady zainteresowań polskich kulturą hiszpańską czy, marginalnie, i portugalską, jest też szkicowym zarysem dziejów stosunków kulturalnych polsko-iberyjskich. Sporo też jego

inicjatywy było w stworzeniu pierwszej w Polsce katedry italinistyki w Warszawie, którą objął jego uczeń i bliski współpracownik w „Przeglądzie” Mieczysław Brahmaer. Upominał się też o studia skandynewistyczne w Polsce.

Czy był dobrym pedagogiem? Był na pewno porywającym wykładowcą. Ale podejrzewam, że nie miał zbyt dużo cierpliwości dla codziennej rutyny pracy uniwersyteckiej i że przeciętny student łatwo go nużył i nudził. W Krakowie był wśród studenterii szanowany dla swej wiedzy i prawości intelektualnej. Lubiano go za delikatność i uprzejmość obejścia. Ale wyszukane formy tej uprzejmości automatycznie stwarzały między nim a studentem dystans. Onieśmielała też jego olbrzymia wiedza. Nie jest jednak przypadkiem, iż najwybitniejsi dziś polscy romanściści, Brahmaer i Żurowski, to jego uczniowie.

Wykładał w Poznaniu, Krakowie i Warszawie. Najmocniej związany był z Krakowem, w którym kończył gimnazjum, zaczynał studia uniwersyteckie, wykładał przed wojną przez dwa naście lat i do którego wrócił na krótko po Powstaniu Warszawskim i potem, już ostatecznie, po przejściu na emeryturę w r. 1961 z Paryża. W Paryżu był od 1946 do 1960 dyrektorem stacji naukowej najpierw P.A.U., potem P.A.N., nie ruszając się przez te lata z Francji. W trudnej i drażliwej sytuacji umiał znaleźć się z wielką godnością. Pojął swą rolę jako pośrednika w trudnych warunkach między kulturą polską a francuską i z wielkim oddaniem, nie ubiegając się nigdy o żadne godności, funkcje tę spełniał. Na jakiegokolwiek kompromisy miał za twardy kark. Rozumiał dobrze, że jest tylko tolerowany, i umiał się z tym pogodzić. Łatwo wyobrazić sobie, co kto inny na jego miejscu mógłby zrobić, zwłaszcza w przedpaździernikowym okresie, z „Biuletynem”. Pod redakcją Wędkiewicza był on, prawda, trochę przyczynkarski, ale za cenę tego kupił sobie Wędkiewicz zupełną niezależność. Nie dał się też wciągnąć w rozgrywki w sprawie Biblioteki Polskiej w Paryżu. Spytałem się go raz, jak się to dzieje, że go nie odwołują. Odpowiedział mi, że ilekroć dochodzi do konfliktu z Warszawą — zazwyczaj były to zadrażnienia natury finansowo-biurokratycznej — zawsze grozi, że poda się do dymisji i wróci do Krakowa, i że groźba ta skutkuje. Trzeba jednak obiektywnie przyznać, że w rosyjskiej czy czeskiej wersji komunizmu człowiek o postawie Wędkiewicza na stanowisku oficjalnym zagranicą byłby nie do pomyślenia.

Tu w Paryżu dopiero poznałem go bliżej. Wielogodzinne rozmowy z nim były wielkim urokiem każdej mojej paryskiej wizyty; po raz ostatni w r. 1961, gdy był już na wyjeździe do Polski. Był fascynującym rozmówcą. Miał o ludziach i książkach sąd surowy, czasem bezwzględny. Ale nie miało mu się nigdy tej ostrości sądu za złe, bo czuło się poza nią zawsze żywą troskę o wartości kulturalne. Ożywiały jego rozmowę cięty dowcip i ożywiały nieoczekiwane butady („Puszkin wielkim poetą? Przeczytałem go w czasie wojny. Co za sztuka być wielkim poetą, kiedy się ma do dyspozycji taki język samograj?”). Był z przekonania pe-

symistą, ale z temperamentu człowiekiem zakochanym w bogactwie przejawów życia i o zawsze aktywnej ciekawości intelektualnej. Jak ognia unikał wielkich słów, ale nie trzeba było wielkiej bystrości, aby odkryć w tym, co mówił, twardą postawę, wierność wyznawanym zasadom. Miał świetne rozeznanie w ludziach.

W Krakowie nauczyłem się cenić w Wędkiewiczzu znakomitego uczonego. W Paryżu odkryłem w nim głęboko mądrego i prawego człowieka.

Wiktor WEINTRAUB

Polonica w Ameryce Południowej

W 1957 „Kultura” zaczęła drukować niezmiernie ciekawe artykuły młodego hispanisty londyńskiego, Floriana Śmieji, powojennych przekładach z hiszpańskiego tak w kraju jak i na emigracji (1). Zainteresowałam się nimi od razu, bo od dłuższego czasu sama zbierałam polonica południowoamerykańskie.

Grosso modo można by je podzielić na cztery kategorie: przekłady z języka polskiego wprost na hiszpański, przekłady z przekładów, książki napisane przez Polaków wprost po hiszpańsku i wreszcie książki napisane przez tubylców na polskie tematy. Dochodzi prasa: mam tu na myśli tylko nowele i eseje które ukazały się w czasopiśmie a nie w dziennikach.

Przed drugą wojną światową największe centrum wydawnicze w Ameryce Południowej mieściło się w Buenos Aires. Książki drukowane w Argentynie eksportowano później do innych krajów hiszpańskich. Tłumaczono wówczas dość często Sienkiewicza — podobno ceniono najwięcej nowele, dużo mniej „Quo Vadis?”, najmniej „Trylogię” i „Krzyżaków”. Poza tym drukowano Reymonta — „Chłopów” odnowiono po wojnie, ale tylko w małym, luksusowym nakładzie, który się szybko wyczerpał — a także Choromańskiego, który odwiedził Argentynę parę lat przed wojną i miał duże powodzenie w tutejszych kołach literackich, oraz Sieroszewskiego.

Jak wynika z listy wydawnictw, które udało mi się zebrać, w Ameryce Południowej ukazało się w czasie ostatniej wojny i po

(1) Florian Śmieja: „*Nowe Przekłady z hiszpańskiego*” — „Kultura” 117/118, 123/124, 144, 145, 179, 180.

wojnie co najmniej kilkadziesiąt książek polskich lub o Polsce. W rzeczywistości jest ich z pewnością znacznie więcej. Nie miałam prawie dostępu do wydawnictw meksykańskich. Nie wiem czy cokolwiek ukazało się w przeciągu ostatnich lat w Boliwii, Paragwaju, Ekwadorze, w Wenezueli, na Kubie lub w Ameryce Centralnej. Trafiłam tylko na jedną książkę o Chopinie, wydaną w Gwatemali. Tak samo nie brałam pod uwagę poloników brazylijskich. Powinna zająć się nimi osoba znająca dobrze język portugalski i zamieszkała na tamtejszym terenie. Wiem tylko, przypadkowo, że podczas wojny wydano w Rio de Janeiro książkę o Polsce czysto informacyjną, bogato ilustrowaną i na kredowym papierze, pt. „O esencial sobre a Polónia”.

Poza tym mam nadzieję, że po ukazaniu się tego artykułu szereg osób zamieszkałych w poszczególnych krajach iberoamerykańskich zainteresuje się tym zagadnieniem i skompletuje podaną przeze mnie listę wydawnictw.

Jak wiadomo wielu wybitnych pisarzy polskich mieszka lub mieszkało na tej półkuli: Teodor Parnicki w Meksyku, nieodżałowanej pamięci Andrzej Bobkowski w Gwatemali, Czesław Straszewicz w Urugwaju, no i Witold Gombrowicz oraz Florian Czarnyszewicz i Janina Surynowa-Wyczółkowska w Argentynie. Poza tym jest też i trochę dziennikarzy, literatów i uczonych rozsypanych po różnych uczelniach, którym łatwo przyjdzie dorzucić takie czy inne uwagi, uzupełnienia i krytyki, które dałyby pełniejszy obraz polskiego dorobku w Ameryce Łacińskiej.

W Ameryce Południowej mamy bardzo niewielu zdolnych tłumaczy. Nikt nie może poświęcić się *full time* takiej pracy. Warto dodać, że wydaje się tylko książki, które miały przedtem powodzenie we Francji, w Anglii lub w Stanach Zjednoczonych, albo (w dużo mniejszym stopniu) w Niemczech czy też we Włoszech. Do wydawców argentyńskich i południowoamerykańskich w ogóle można trafić tylko przez Paryż, Londyn lub Nowy Jork. Reszta zupełnie się nie liczy. Polskie książki stają się interesujące, gdy mają powodzenie — i to duże a nie tylko *succès d'estime* — na jednym z powyższych rynków wydawniczych. W takich wypadkach wchodzi z kolei w grę pośpiech i zamiast tłumaczyć z oryginału robi się przekład z tłumaczenia, które miało powodzenie. Takie eksperymenty nie zawsze się udają. I dlatego tekst hiszpański odbiega czasami za bardzo od oryginału. Do tej kategorii zaliczyć można parę esejów Herling-Grudzińskiego o Conradzie i o Pasternaku, które były tłumaczone z włoskiej wersji, czyli z „Tempo Presente”, a nie z polskiej, czyli z „Kultury”. Przekładów tych nie można uważać, niestety, za zbyt szczęśliwe.

Na pierwszy rzut oka wybór przekładów, nie ma dosłownie ni składu ni ładu i wskazuje na zupełny brak jakiegokolwiek polskiej polityki wydawniczej w Ameryce Hiszpańskiej. Podczas wojny nasze placówki dyplomatyczne starały się lansować takie czy inne książki o Polsce lub o prześladowaniach kleru i społeczeństwa przez najeźdźców, itd., ale robiły to trochę *au petit bonheur* bo nie dysponowały ani odpowiednimi fachowcami ani dostatecznymi funduszami.

Nie było nigdy nawet mowy o planowaniu z góry, na dłuższą metę, albo na całą Amerykę Łacińską. Każde poselstwo ograniczało się do własnego podwórka, czyli, żeby być bardziej ściśle, do stolicy w której urzędowało. Po wojnie stan ten jeszcze pogorszył. Teraz dopiero, po wielu latach chudych, mamy nadzieję, że pod egidą obchodów Tysiąclecia, poszczególne ośrodki polonijne zdobędą się na większą inicjatywę. W Buenos Aires Komitet Obchodów Tysiąclecia Polski zamierza wydać dwujęzyczne wydanie „Księcia Niezlomnego”, trzy książki polskich autorów po hiszpańsku i trzy pisarzy argentyńskich po polsku. Zobaczymy co z tego wyjdzie.

ARGENTYNA I URUGUAY

Przyjechałam do Buenos Aires w 1941. Kolonia polska, dość liczna, składała się przeważnie z robotników i z pracowników rolnych, którzy osiedli w „interiorze”. Florian Czarnyszewicz nie był jeszcze na emeryturze i pracował jako robotnik w jednej z podmiejskich rzeźni. Rej wodziło poselstwo i kilku społeczników. Nie było wprawdzie ani tak źle ani tak tragikomicznie jak w „Transatlantyku”, ale na pewno nie było też zbyt wesoło.

Ponieważ placówka nasza w Montevideo zależała od poselstwa w Buenos Aires, a grupa przychylnych nam polityków i intelektualistów argentyńskich zrzeszonych w „Círculo Argentino Polonia Libre” pod egidą dr Haliny Radeckiej, współpracowała z bratnią organizacją urugwajską „Asociación Uruguaya Pro Polonia”, którą zajmował się dr Waław Radecki, wydało mi się bardziej racjonalne omówić jednocześnie naszą sytuację wydawniczą w obu krajach — przynajmniej jeżeli chodzi o okres wojenny. Obie powyższe organizacje wydały dla celów czysto propagandowych, świetną broszurę p. Radeckiej pt. „Mil Anos de la Vida Cultural de Polonia” (w 1940 w Buenos Aires), i „Citas... Estrofas... Reflexiones... de Escritores y Pensadores Polacos” w wydaniu dwujęzycznym w przekładzie i opracowaniu prof. Radeckiego w Montevideo w 1944. Każda z tych książek spełniła należycie swoje zadanie, a nakłady wyczerpały się bardzo szybko.

Prof. dr Halina z Pełowskich Radecka mieszka w Argentynie od 1933. W kraju ukazała się jej praca doktorska (1917); w Rio de Janeiro pięć książek po portugalsku (1928-1932); później dwie w Buenos Aires i pięć w Montevideo po hiszpańsku. Od dwudziestu czterech lat jest dyrektorką naukową i wykłada w prywatnym instytucie psychologii, którym wychowała już niejedno pokolenie psychologów argentyńskich. W 1960 ukazała się jej „Psicología Social”. Jest to *de facto* podręcznik pierwszego roku psychologii, na który złożyły się wykłady p. Radeckiej z 1957. Książka ta została napisana wprost po hiszpańsku.

W 1961 ukazało się, też w Buenos Aires, drugie wydanie „Tratado de Psicología” jej męża, prof. dr Waław Radeckiego, który zmarł kilka lat temu w Montevideo. Obu tym książkom należałoby się osobne, fachowe omówienie.

Życie przedwojennej emigracji polskiej w Argentynie zostało opisane w wyczerpujący sposób przez dotychczasowego prezesa honorowego Związku Polaków w Argentynie, Stanisława Pyzika, w książce pt. „Los Polacos en la Republica Argentina — 1812-1910”. Poza tym ukazała się również książka zbiorowa, napisana po hebrajsku, ale poprzedzona przedmową po polsku i po hiszpańsku, pt. „Israelitas de Polonia en la América del Sud — 25 Anos de Labor Social, Cultural y Socorros Mutuos”, która miała na celu uczczenie dwudziestopięciolecia istnienia Związku Żydów Polskich w Argentynie, w 1941.

Do innych pozycji zaliczyć należy „Si yo volviera a ser niño” sławnego pedagoga Janusza Korczaka, z ciekawą przedmową Marka Turkowa, byłego prezesa Związku Żydów Polskich w Argentynie. Trzecie wydanie ukazało się w 1954. Przekład wprost z polskiego Esthery Godwag, należy uważać za udany. Dziesięć lat przedtem wydano wreszcie książkę Ludwika Gumplowicza (1838-1909), pt. „La Lucha de Razas”. Temat był wówczas niewątpliwie bardzo aktualny.

Placówka polska w Buenos Aires spowodowała wydanie następujących książek podczas i zaraz po zakończeniu działań wojennych: broszurę pt. „Lo que quiere Polonia” Ignacego Matuszewskiego; bardzo starannie zredagowaną książkę o prześladowaniach przez Niemców, kościoła katolickiego w kraju, w 1942 („La Persecución de la Iglesia Católica en Polonia bajo la Ocupación Germana”) z przedmową znanego bisku Juliana P. Martínez'a; i w 1945 przekład hiszpański — z angielskiego — „The Black Book of Poland”. W tym samym roku ukazał się również przekład — też z angielskiego — „Historii Polski” prof. O. Haleckiego. Tłumaczenie nie było, niestety, zbyt udane. To samo powiedzieć można o korekcie. Stąd różne luki i niedociągnięcia.

Po wojnie pojawiło się sporo polskich nowości w Buenos Aires. Jeżeli chodzi o beletrystykę, udane przekłady — z angielskiego — „Soli Ziemi” po przyznaniu Wittlinowi pierwszej nagrody *American Academy of Arts and Letters* i paru powieści Zofii Kossak, „Bienaventurados sean los Humildes” (1945) i „El Ocaso de los Cruzados” (1946) i dwutomowe powojenne wydanie „Chłopów” Reymonta o których wiele słyszałam choć nie miałam ich nigdy w ręku. Należy też odnotować świeże wydanie „Quo Vadis?” w 1961, w tłumaczeniu na pewno nie z polskiego, i wolny przekład „W Pustyni i w Puszczy” Marii Szumowskiej, w 1957, typowany dla młodocianych odbiorców. Wydanie popularne i tanie. Duży nakład. Czyli bardzo udana pozycja wydawnicza. Poza zbiorem bajek polskich które przygotowała do druku w 1959 Irena Szumlakowska w Hiszpanii, nie spotkałam się z żadną inną polską książką dla dzieci w języku hiszpańskim. A szkoda!

I tak dochodzimy nareszcie do Gombrowicza. O przekładach „Ferdydurki” i „Ślubu” pisałam już osobno w „Kontynentach” londyńskich w 1959. Gombrowicz przeczytał wówczas mój artykuł, przyjął łaskawie do wiadomości pochwały i odrzucił stanowczo krytyki. Po prostu „nie miała Pani racji” i basta. Trudno z mistrzem polemizować. Toteż nabrałam wody do ust a i teraz do tego nie powrócę.

Chmurne i górne osamotnienie Gombrowicza na tutejszym terenie w chwili gdy tłumaczono właśnie jego książki w Europie i to na szereg języków, przerwał nagle artykuł o pobycie Gombrowicza w Argentynie kubańskiego przyjaciela „El Conde”, Virgilio Pinera, w „Cuadernos” Kongresu Wolności Kultury i „Notas Argentinas de mi Diario” samego Gombrowicza. 8 stycznia 1961 zareagował na nie Pat Leroy, czyli Zdzisław Bau — w dzienniku „Clarín”, w artykule ilustrowanym pt. „Witold Gombrowicz ese otro gran desconocido”, który W. Wojsław omówił potem dość patetycznie w tutejszym „Głosie Polskim”.

W jednym z tych fragmentów Gombrowicz zjechał bezimiennie ciotkę moich znajomych. Poznałam ją od razu. Przy pierwszej okazji pokazałam im „Cuadernos”. W pierwszej chwili byli zachwyceni trafnością opisu mimo zawartej w nim olbrzymiej dozy złośliwości; przyznali mi że nikt nigdy tak trafnie, tak dowcipnie, no i tak drapieżnie nie opisał ich krewnej. Dalej jednak, czytając to co Gombrowicz pisze o samej Argentynie — młody, kulturalny *groadminded* sędzia i jego żona, typowi przedstawiciele tutejszej inteligencji i *middleclass*, nie tyle poczuli się zgorznięci, co urażeni w swojej godności narodowej. „Czy ty nas też widzisz przez tak czarne okulary? Czy cudzoziemcy piszą o nas zawsze z taką pogardą i pomiatają aż tak kategorycznie naszymi

walorami? Czy naprawdę nie ma wśród nas żadnych pozytywnych wartości?, itd., itd. *On ne prend pas les mouches avec du vinaigre*, mówi stare francuskie przysłowie. Ludzie, o których piszę, nie należą tak jak ich snobistyczna ciotka, do plutokracji, ani do współpracowników potężnej i ciekawej Victorii Ocampo i wydawnictwa „Sur”, krytykowanych tyle razy niepotrzebnie w „Dzienniku” przez Gombrowicza. Toteż szkoda, że nie wybrano z tegoż właśnie „Dziennika” wyjątków które by zainteresowały, a może i zachwyciły, tutejszych wydawców i czytelników, jak na przykład piękne opisy natury i wsi argentyńskiej i tyle, tyle innych.

Gombrowicz pisze też świetnie, i to po gombrowiczowsku, po hiszpańsku. Parę lat temu, w domu znanego tutejszego pisarza, w małym gronie pan domu przeczytał nam, żeby mi zrobić przyjemność, list Gombrowicza, w którym „Witoldo” opisywał mu swój pobyt w Montevideo, ten sam który skreślił w „Kulturze” w grudniu 1960. Konaliśmy ze śmiechu, a mnie przypomniał się „Trans-Atlantyk”.

„Ferdydurka” ukazała się w Buenos Aires w 1947, opatrzona przedmową na okładce pióra nieodzownego kubańskiego przyjaciela autora, czyli tegoż samego Virgilio Pinera, który przedstawił go wtedy z nielada entuzjazmem. Poza tym Gombrowicz sprezentował się czytelnikom argentyńskim w osobnym wstępie.

Tłumaczenie „Ślubu” udało się autorowi i jego pomocnikom ale, jak twierdzi Gombrowicz w wywiadzie udzielonym Leroy-Bauowi, „nie wywołał on żadnej reakcji na tutejszym terenie”. Gombrowicz cieszy się dziś solidnym *succès d'estime* w Europie, ale w Argentynie, do której trafił za wcześniej, nie siedzi jeszcze na piedestale, podczas kiedy Zofia Chądzyńska, autorka tylko jednej dobrej książki, wydanej nie tylko w Warszawie, ale i w Paryżu, zainteresowała natychmiast tutejszych krytyków i wydawców. Takie są bowiem *les règles du jeu*, które tutaj obowiązują.

Poselstwo reżymowe spowodowało pośrednio wydanie trzech przekładów: „Lato w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza w 1956, „Pani Dulska” Gabrieli Zapolskiej w 1957 i „Obywatele” Kazimierza Brandysa w 1958. Tłumaczenia obu sztuk zostały dostarczone przez tutejszą placówkę *rózowemu* wydawnictwu „Losange”. Pierwsze z nich podpisał *pro forma* niejaki Roman Polski (?), a drugie lewicowy pisarz włoski Attilio Dabini — ponieważ „Pani Dulska” ukazała się kiedyś po włosku. O tym wszystkim poinformowano mnie bardzo uprzejmie i dosyć naiwnie w samym wydawnictwie.

Parę lat temu „Ediciones Losange” zmieniły zewnętrzzną szatę, i poniekąd kierunek, i stały się świetnie prosperującym wydawnictwem sztuk teatralnych. W tych warunkach teatr polski przestał ich interesować. Przekonałam się o tym, gdy zaproponowałam pośrednio właścicielowi „Policjantów” Mrożka w udanym przekładzie Mariana Rawicza z Chile. „Owszem, zgodził się, to niewątpliwie bardzo ciekawe. Ale to nie woda na nasz młyn. Specjalizujemy się teraz w autorach „à la” Dürrenmatt, Becket, Ionesco, itd...”.

Przekład „Obywateli” Brandysa, czyli po hiszpańsku „Ciudadanos”, jest bardzo nieudany. Brandys jest jednym z najbardziej reklamowanych autorów Polski Ludowej. Nie znam oryginału, ale tekst hiszpański nie zachwyił mnie i został na domiar złego złożony beznadziejnie niedbale. Zresztą książka ta nie zwróciła zupełnie na siebie uwagi krytyków argentyńskich. Dowiedziałam się o niej przypadkowo, półtora roku po jej wydaniu, z ogłoszenia w prasie. Próbowano widocznie pozbyć się makulatury.

W 1953 potężne wydawnictwo Kraft opublikowało przekład „A World Apart” — „Un Mundo Aparte” — Gustawa Herling-Grudzińskiego. Powodzenie swoje w Argentynie zawdzięcza Herling nie tylko tej książce, która obleciała, jak wiadomo, cały świat, ale i wiernej przyjaźni dr. Jana Wolskiego, on bowiem wprowadził Herlinga do wydawnictwa „Sur”, które wydało później, w 1960, książkę Terca „Sąd Idzie” z przedmową Herlinga (XLVI tom Biblioteki „Kultury”). „Co to jest Realizm Socjalistyczny?” został wydany osobno przez „Asociación Argentina por la Libertad de la Cultura”. Poza tym, w świetnym dwumiesięczniku „Sur” ukazały się, jak już wspomniałam, eseje Herlinga o Conradzie i o Pasternaku i w dobrym przekładzie z polskiego Marii Szumowskiej, drukowana w „Kulturze” nowela pt. „Książę Niezłomny”. Skończyłam niedawno tłumaczenie drugiej części „Skrzydeł Ołtarza”, czyli „Pietà dell’Isola” które ukaże się w najbliższej przyszłości — wraz z „Wieżą”, tłumaczoną z włoskiego — w formie książkowej.

W „Sur” ukazał się w 1952 przekład z francuskiego, artykułu Czesława Miłosza pt. „La Gran Tentación”, który był szeroko komentowany wśród tutejszych intelektualistów, po części bardzo lewicowych.

Wydano ponadto z oryginału w języku angielskim „The Permanent Purge” czyli „La Purga Permanente”, Zbigniewa K. Brzezińskiego, która miała też duże powodzenie.

Wreszcie wspomnieć należy popularne wydanie książki sławnego socjologa Bronisława Malinowskiego (1948), który pewno pisał też po angielsku.

W końcu 1955 wyszedł tomik wierszy Józefy Radzywińskiej w świetnym przekładzie znanego i nadzwyczaj aktywnego dziennikarza polskiego w stolicy urugwajskiej, Ottocara Jawrowera. I tu dodać należy, że dziwnym zrządzeniem losu, autor prologu — poeta meksykański Jesus Flores Aguirre — zginął od kuli komunistycznej na Kubie, gdzie pełnił funkcje attaché kulturalnego przy ambasadzie swego kraju. Przedtem był na tym samym stanowisku w Buenos Aires. Pamiętam, kilka lat temu, bardzo przyjemne śniadanie z nim i ze skrzyptem Henrykiem Szeryngiem. Pisał wtedy o poezji Radzywińskiej. Kto by wówczas przypuszczał, że zginie tak tragicznie i... że Radzywińska wróci na stałe do kraju.

W 1953 i 1954 ukazało się parę książek podróźniczych znanego fotografa i alpinisty, Wiktora Ostrowskiego: w pierwszym rządzie „Safari przez Czarny Łą” w dwóch wydaniach, w 1953. Przekład pozostawia niezmiernie dużo do życzenia. Po prostu sądzę, że tłumaczki nie znały jeszcze dość dobrze języka hiszpańskiego gdyż, jak już pisałam, Szumowska zrobiła później parę bardzo udanych przekładów. „Mas Alto que los Cóndores” jest pewnego rodzaju przeróbką „Na Szczytach Kordyliarów”, która ukazała się w 1935 w kraju. Ostrowski uzupełnił pierwsze wydanie nowymi danymi i fotografiami innych andynistów — bo jego własne zginęły podczas ostatniej zawieruchy wojennej. Trudno więc pisać o tłumaczeniu — gramatycznie i stylistycznie nie idealnym — nie znając oryginału. Za to graficznie wydanie jest bardzo udane.

W 1956 ukazało się popularne wydanie opowieści Ferdynanda Ossendowskiego pt. „Bestias, Hombres, Dioses”.

Obraz poloników argentyńskich nie byłby kompletny gdybym ominęła streszczenie dwóch książek napisanych przez Polki i które ukazały się w „Selecciones del Reader’s Digest”, czyli w najbardziej poczytnym popularnym miesięczniku w całej Ameryce Południowej, który drukuje się w Buenos Aires i w Meksyku. Mam tu na myśli w pierwszym rządzie pamiętniki znanej autorki „best seller’ów”, Alexandry Orme, pt. „Aqui Viene el Camarada” — luty 1951 — na temat pierwszych miesięcy okupacji sowieckiej na Węgrzech. W październiku 1958 ukazało się z kolei dość zdumiewające streszczenie książki Krystyny Oppeln-Bronikowskiej Hotchkiss, pt. „Mi Polonia, Ayer y Hoy”, którą zainteresowali się żywo Argentyńczycy i zdenerwowali się niepomiernie Polacy.

Tyle na temat Argentyny. Mamy olbrzymie możliwości, ale kompletny brak specjalistów. Polacy żyją w swoim getcie, nie mówią zbyt dobrze po hiszpańsku i są jeszcze za bardzo zaabsorbowani walką o byt i problematyką czysto polonijną.

Nie zajęłam się prasą codzienną która wymagałaby osobnego omówienia i zestawienia. Na przykład moja matka, Helena Żółtowska, napisała kilkadziesiąt artykułów i esejów na tematy związane z literaturą, historią i geografją Polski w dodatku literackim dzienniku „La Nación”, które bije mniej więcej od 250.000 do 350.000 egzemplarzy i w którym ja się teraz zajmuję krytyką literacką.

CHILE

Z kolei kilka słów o Chile. Tamtejsza kolonia polska jest bardzo nieliczna i składa się w najlepszym wypadku z sześciuset osób. Patronuje im postać i mit Ignacego Domeyki, który pozostawił po sobie wiele drogocennych pamiątek i piękną tradycję. Nic więc też dziwnego że prawie wszystkie polonica połączone są z jego życiem lub z jego dziełem.

W pierwszym rzędzie należy wspomnieć przekład I tomu „Pamiętników” Ignacego Domeyki, które Uniwersytet Chilijski wydał w Santiago w 1946. Nakład tej książki, niezmiernie ciekawej dla Polaków, ale mało zajmującej dla cudzoziemców, został już zupełnie wyczerpany. Poza tym należy zwrócić uwagę na znieszczenie prawie wszystkich nazw i nazwisk, co utrudnia ogromnie czytanie. Tłumacz chilijski dysponował tylko rękopisem przekładu francuskiego córki i zięcia autora i nie wiedział nawet, że oryginał został wydany w Krakowie w 1908 przez Akademię Umiejętności. A w przekładzie francuskim wszystkie nazwy i nazwiska zostały przepisane fonetycznie a nie gramatycznie i ortograficznie.

Domeyko wydał za życia kilkaset książek. Przeważnie pisał je wprost po hiszpańsku. Uniwersytet Chilijski, który pomógł założyć w 1843 i którego rektorat piastował między 1867 a 1882, poświęcił mu potrójny tom swoich Annałów z okazji 150-tej rocznicy jego urodzin, w 1953. Wspaniała ta księga pamiątkowa bogato ilustrowana, jest sumą pracy i życia wielkiego uczonego polskiego, którą omówili *con amore* najlepsi współcześni pisarze, pedagodzy i naukowcy chilijscy.

W 1952 Uniwersytet wydał także książkę o Domeyce, Miguel'a Luis'a Amunategui, który współpracował i przyjaźnił się z nim przez długie lata.

Tyle o Domeyce. Dzisiaj mamy znowu kilku profesorów polskich na uniwersytetach chilijskich. M.in. dr Bogumił Jasinowski, były profesor Uniwersytetu Stefana Batorego, wykłada od lat w Państwowym Uniwersytecie w Santiago. Wydał kilka książek oraz broszury, drukowane przeważnie na powielaczu, na przy-

kład „El Problema de Oriente y Occidente en sus relaciones con La Literatura y Filosofia Rusas”.

Najwybitniejszy i najbardziej aktywny kapłan polski w Chile, ks. dr Michał Poradowski, wykłada na Uniwersytecie Katolickim w Valparaiso i wydaje od 1953, kwartalnik „Estudios sobre el Comunismo” (144 stron dużego formatu). Trudno opisać ogrom tej pracy przy chronicznym braku pieniędzy i stałych współpracowników. Cała redakcja mieści się w jednym pokoju, zawałonym książkami i papierami, w którym robi się pismo w soboty i niedziele w Santiago, ponieważ ksiądz wykłada przez cały tydzień o 150 km. od stolicy. W blisko czterdziestu zeszytach znaleźć można artykuły najlepszych publicystów europejskich chilijskich, południowo i północnoamerykańskich. Kwartalnik rozchodzi się po całym kontynencie południowym i dociera do Hiszpanii. Ks. Poradowski stara się drukować jak najczęściej artykuły na polskie tematy, niestety skarży się obecnie na brak tłumaczy. Mimo to drukował m.in. prace Miłosza, Andersa, W. Zaleskiego, St. Mękarskiego, A. Ciołkosza, Szwajcera, Stahla, prof. Folkierskiego i wielu innych. Od czasu do czasu wydaje również na powielaczu „Polaka w Chile”, zaś Edward Wiche-Zarzycki miesięcznik antykomunistyczny pt. „Arriba el Telon” typowany na bardziej popularnego odbiorcę.

Poza tym trudno nie pochwalić mi się także moim krajanem, poznaniakiem Bogusławem — Bobem — Borowiczem. Wylądował w Chile jako socjolog, ale żeby nie umrzeć śmiercią głodową przekształcił się w fotografa i to najlepszego w Chile. Otrzymał wiele międzynarodowych nagród i odznaczeń i wykłada na wszystkich tamtejszych wyższych uczelniach, oczywiście fotografię. W 1960 ukazała się książka dużego albumowego formatu, bardzo pięknie ilustrowana przez Borowicza, pt. „Chile Turistico e Industrial”, pod protektoratem Związków Studenckich Uniwersytetu w Concepción. Poziom wysoki: tekst młodego pisarza lokalnego, Mario Garbarino, ciekawy i wyczerpujący; w pierwszej części zajął się geografją, prehistorią i historią Chile. Druga część jest ciekawym opisem pustynnej północy kraju, tzw. pampy chilijskiej, ze specjalnym uwzględnieniem wielkiego przemysłu kopalnianego, który częściowo sfinansował pięcioletni wysiłek i niezliczoną ilość podróży Borowicza, co umożliwiło wydanie tej książki. Jest to tylko I tom. Borowicz i Garbarino pragną wydać jeszcze trzy dalsze o zonie centralnej i o południu Chile.

Wreszcie dwa przekłady doskonałego tłumacza i grafika Mariana Rawicza: „Cmentarze” Hłaski w 1959 pod trafnym, ale gorszym od oryginału tytułem: „Le Gusta o no le Gusta?” — („Co, może się Wam nie podoba?”), pytał się milicjant Franciszka Kowalskiego). Nakład — dwa tysiące egzemplarzy — roz-

szedł się od razu. Dużo pisałam o Hłasce i o przekładach jego „Ósmego Dnia Tygodnia”. Redaktor „Kultury” skierował artykułów paru tutejszych wydawców zwróciło się do mnie z prośbą o zdobycie praw autorskich i o zrobienie przekładu „Ósmego Lnie Tygodnia”. Redaktor „Kultury” skierował mnie wówczas do kolońskiego „Kiepenheuer und Witsch” a ten z kolei do Luis’a De Caralt w Barcelonie. I tu zaczęła się dopiero tragedia, bo De Caralt zakupił wszystkie prawa autorskie Hłaski na język hiszpański i jego wydanie tegoż właśnie opowiadania i pierwszych nowel Hłaski było już w druku. Poza tym miał już gotowy przekład „Cmentarzy”. Okazało się wówczas, że wydanie chilijskie jest nielegalne — to się niestety często zdarza w Ameryce Południowej. A szkoda, bo przekład Rawicza jest naprawdę bardzo udany mimo wielu „czizenizmów”. Tym bardziej ciekawe było zresztą dla mnie porównanie jego wersji z barcelońską Mariana Orta. Bardzo polecam tę *zabawę* Floriano-wi Śmieji.

Rawicz przetłumaczył też pierwszorzędnie i wydał ją na powielaczu „Policjantów” Sławomira Mrożka. Premiera odbyła się w Santiago 26 lutego 1960. Sztuka szła przez kilka miesięcy, podobno w dobrej obsadzie i pod kierownictwem jednego z najlepszych reżyserów lokalnych. Recenzje były dobre, choć publiczność nie reagowała jak należy na subtelne pointy Mrożka. Zdaje się że tym razem strona praw autorskich została załatwiona bez zarzutu.

W końcu parę słów o poezji. *Un poeta precioso, una flor diferente*, pisał na okładce „Escucha mi Canción” — pierwszego tomu wierszy Sabki (Goldberg), Pablo Neruda. Sabka urodziła się w Częstochowie. Przeszła wojnę hiszpańską „na różowo”, dużo podróżowała i w końcu osiadła kilka lat temu w Chile. Po polsku mówi podobno już słabo. Poezje te spotkały się z bardzo przychylnym przyjęciem na wybrzeżu oceanu Spokojnego.

KOLUMBIA

O ile mi wiadomo tylko jedna książka polska w przekładzie na język hiszpański ukazała się w stolicy Kolumbii. Tym najmniej uważać ją można za najpoważniejsze polskie osiągnięcie wydawnicze w Ameryce Południowej. Mam tu na myśli tłumaczenie „Nie-Boskiej Komedii”, wydane w Bogocie w 1944, poprzedzone świetną przedmową prof. Wacława Lednickiego. Ta sama przedmowa ukazała się później kolejno po angielsku w 1959 w „The Polish Review” w Nowym Yorku i w formie książkowej. Tłumaczenie, bardzo udane, zrobiła Ines de Zulueta.

Czy wprost z polskiego? Nie wiem. Wiadomo mi tylko że pomagała i patronowała jej nasza placówka dyplomatyczna na której czele stał wówczas śp. min. Chałupczyński. Nakład już dawno się wyczerpał. Warto by pomyśleć o drugim wydaniu. Może w Hiszpanii lub w Argentynie.

MEKSYK

Nie byłam nigdy w kontakcie z wydawcami meksykańskimi i czerpałam wszystkie informacje, którymi dysponuję, z drugiej ręki. Dlatego wiem tylko o trzech książkach Edmunda S. Urbańskiego — które ukazały się podczas wojny — na modne wówczas tematy, związane z ideą międzymorza. Sądzę że były one pisane po angielsku lub też po hiszpańsku.

Po wojnie wydano kolejno pamiętniki Andersa, Bora-Komorowskiego, Mikołajczyka i Stypułkowskiego. Były to przekłady z francuskiego — oraz znaną książkę o zbrodni katyńskiej, wydaną w oryginale przez „Gryf” w Londynie, w bardzo starannym przekładzie Józefa Łobodowskiego.

Wreszcie w 1949 ukazała się książka Ojca Bocheńskiego o filozofii współczesnej pt. „La Filosofia Actual”. Jak wiadomo Ojciec Bocheński pisze przeważnie po niemiecku lub po francusku. Książka ta doczekała się kilku wydań i miała ogromne powodzenie w całej Ameryce Południowej. Zasługa to nie tylko autora, który cieszy się wielkim uznaniem wśród specjalistów na całym kontynencie — niezależnie od tego czy są katolikami, niewierzącymi czy wojującymi lewicowcami — ale i wielkiego znaczenia półoficjalnego meksykańskiego domu wydawniczego, „Fondo de Cultura Económica”, którego „Breviarios” na najbardziej poczytne i różnorodne tematy, można by porównać czasami z powodzeniem do kolekcji „Que sais-je?” Presses Universitaires de France, z tą różnicą jednak że „Fondo de Cultura Económica” uchodzi za jedną z najpotężniejszych ośrodków skrajnej lewicy w Ameryce. Tym bardziej zainteresowania godny fakt iż mimo to uznali za właściwe i stosowne wydanie, i to w kilku nakładach, książki Ojca Bocheńskiego.

PERU

W Peru nie udało mi się odnaleźć żadnych przekładów. Za to wymienić trzeba kilka ciekawych i wartościowych poloniców. W pierwszym rządzie mam tu na myśli książkę prof. dr. Andrzeja Ruszkowskiego, dyrektora Seminarium Socjologicznego przy Uni-

wersytecie Katolickim w Limie, na którą złożyło się dziesięć świetnych odczytów profesora o komunizmie. Dr Ruskowski streścił w nich znany „Handbuch des Welt-Kommunismus”, który ukazał się kilka lat temu pod redakcją Ojca Bocheńskiego i dr. G. Niemeyera. Książka ta spotkała się z tak przychylnym przyjęciem, iż została wydana ponownie przez potężny dom wydawniczy Herder w Barcelonie. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce stanie się najbardziej poczytnym podręcznikiem na katedrach sowietologii w Ameryce Południowej.

Poza tym należy wymienić jeszcze dwie broszury i książkę Marii z Rostworowskich Diez Canseco, z matki Peruwianki, na tematy związane z prehistorią i historią szczepów indiańskich, które mieszkaly i rządziły w tym kraju przed przyjazdem konkwistadorów hiszpańskich.

PUERTO RICO

Przekład hiszpański „Zniewolonego Umysłu” Miłozza nie dotarł niestety do Buenos Aires. Słyszałam o nim tylko pośrednio i czytałam kilka lat temu pochlebną recenzję w miesięczniku związku studentów na wydziale Literatury tutejszego Uniwersytetu Państwowego.

CHOPINIANA

Duża ilość książek poświęconych życiu i twórczości Chopina, które ukazały się w prawie wszystkich republikach iberoamerykańskich, skłoniły mnie do omówienia ich w osobnym rozdziale. Zaczęłam interesować się chopinianą wiele lat temu, jeszcze na ławie szkolnej, po przeczytaniu słów do „Nocturne en mi mineur nr 72” pióra mojej pra pra babki Florentyny z Żółtowskich Bnińskiej w popularnym wydaniu książki Liszta o Chopinie. Przekład ukazał się w Buenos Aires podczas wojny i wyczerpał się bardzo szybko.

W ostatnich latach wydano bardzo dużo książek o Chopinie. W 1943 znany dom wydawniczy literatury muzycznej, wydrukował biografię polskiego kompozytora pióra znanego tutejszego muzykologa J.F. Giacobe. Książka ta doczekała się drugiego wydania w 1951.

W 1950 ukazał się również na tutejszym terenie przekład hiszpański znanej książki dla dzieci o Chopinie J. Cuthbert Hadden. Dwa lat później Editirial Sudamericana wydała nagrodzoną w Stanach Zjednoczonych książkę Kazimierza Wie-

rzyńskiego z przedmową Artura Rubinsteina. Piękne to wydanie oprawne i bogato ilustrowane, w dobrym tłumaczeniu z języka angielskiego.

W 1954 mamy z kolei *vie romancée* Chopina Annie Jansen w popularnym wydaniu i dużym nakładzie.

Wreszcie w 1959 ukazało się w Buenos Aires wydanie korespondencji Chopina na kredowym papierze, oprawne w czerwonej skórę; jeżeli chodzi o szatę zewnętrzną jest to niewątpliwie najpiękniejszy polonik w Ameryce Południowej. Listy przetłumaczył z francuskiego i przygotował do druku Bronisław Edward Sydow z pomocą tutejszego muzykologa Michel Raux-Deledicque, który napisał też książkę o Chopinie a raczej o korespondencji wielkiego kompozytora z Delfiną Potocką. Niestety nie odnalazłam jej już w żadnej księgarni. Listy zostały poprzedzone słowem wstępnym Raux-Deledicque i notą biograficzną i drugim wstępem Sydowa, datowanym w Warszawie w 1950. Ilustracje ciekawe i dobrze dobrane.

W Chile także widziałam książkę o Chopinie, ale nie zapisałam niestety nazwiska autora, wydawcy i roku, w którym wyszła z druku.

W 1960 Ludwik Kos-Rabcewicz-Zubkowski ogłosił recenzję w kanadyjskim „Etudes Slaves et Est-Européennes” Uniwersytetu w Montrealu, o książce Chopinie rektora Uniwersytetu w Gwatemali, C. Martinez Duran’a, drukowanej w 1958.

Wreszcie wyżej wymieniony meksykański „Fondo de Cultura Económica”, wydał w 1959 książkę o Chopinie, muzykologa meksykańskiego Jesusa Bal y Gay. Można ją uważać również za udaną i poważną pozycję wydawniczą.

Jestem przekonana że szereg innych jeszcze książek o Chopinie ukazało się w ostatnich latach w Ameryce Południowej.

Przez kilka lat zbierałam materiały do tego artykułu. Mam nadzieję że zainteresują się nimi inni hispaniści polscy i że lista przekładów i poloniców, które omówiłam zostanie przez nich uzupełniona w niedalekiej przyszłości.

Ewelina ŻÓLTOWSKA

Czesław Straszewicz

Umarł Czesław Straszewicz

Starość to dar? Dar drogo opłacony, w starości śmierć, śmierć bliskich, śmierć przyjaciół to sprawa prawie powszechna

— gorzej — *powszedniejca*. Tyle śmierci. Wiadomość, że umarł Straszewicz zdała mi się w pierwszej chwili tak gładko układać w tym łańcuszku kolejnych śmierci. „To było do przewidzenia”. Ale nie zagłuszyła jej obojętność jak mi się przez chwilę mogło zdawać i dzisiaj czuję jej bezpowrotność i okrucieństwo.

Czym był Straszewicz dla mnie? Tym, czym był dla tak wielu z nas. Pisarzem wyjątkowej wagi i uroku, ale stokrotnie bardziej jeszcze *człowiekiem* o mądrej, uśmiechniętej dobroci, w czasach kiedy dobroć nie jest „modna”, kiedy jesteśmy drapieżni, subtelnie perwersyjni, apokaliptycznie ponurzy, a przynajmniej zjadliwie ironiczni. Patrzył na wszystkich, patrzył na nas jak na marynarzy-turystów z bocianich gniazd w dalekich portach Ameryki, na ich łatwe kochanki, którym przyrządzali bitki à la Radziwiłł, na emigrantów przerożnych, i na świat polski w Polsce — staruszkę śmieszne, których zajęcie reakcyjne: klejenie ramek ze skrzydełek tropikalnych motyli, przysyłanych przez tych marynarzy — zmuszało milicję do wkręcania „samograjów”. Szef Bezpieki znający na pamięć Sienkiewicza i wycierający ze strachem i pasją w Wilię Bożego Narodzenia szpetne po wychodkach napisy o Stalinie, nawet on jest przez Straszewicza zobaczony przyjaźnie. Kto przed nim *tak* spojrzął po ludzku na świat przedarty, rozdarty na dwoje?

Ten zawsze uśmiechnięty pisarz, on właśnie, napisał o naszym losie strony rozdzierające, sceny jakby ukryte wśród nieoczekiwanych, wesołych przygód swych bohaterów. Ale sztuki Becketta, okrutne i ciemne, nie są tak bolesne jak krótkie opowiadanie o małej Józii, którą Kostek, późniejszy marynarz i spryciarz, niósł do Polski, karmił kradzionymi kartoflami i pochował w obcej ziemi, w płytkim grobie wykopanym szczyrykiem.

Mało spotkałem pisarzy tak podobnych do tego co piszą — ta sama czujna uwaga, zupełny brak egocentryzmu, ten sam uśmiech i dobroć. Myślę z rozdrażnieniem, prawie z pogardą, o pisarzach lekceważących takie człowieczeństwo, taką *dobroć*, z pogardą do ich głupoty (*Es gibt viele Arten Dummheit und die Gescheitheit ist nicht die beste davon*), z pogardą bo lekceważą tę jedyną perłę, bo dziś pereł się już nie nosi. Nie modne. Głupota i śmieszność tych pisarzy spacerujących na szczydłach, chcących świat zadziwić jedni czarując, drudzy gorsząc, którzy nie chcą pamiętać, że to wszystko jest *NIC: pulvis, cinis et nihil*.

Nihil w obliczu śmierci, która JEST i której moi współcześni za Boga nie chcą widzieć.

I nie mogę tu nie wspomnieć z czułą czcią „pani z Kiosku”, najlepszej towarzyszkii i żony Czesława, która dziś stoi przed Jego świeżym grobem.

Niech Bóg najbardziej ludzkiemu z naszych pisarzy da światło wieczne.

Józef CZAPSKI

Komunikat

KOMUNIKAT ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

Wydział Wykonawczy Związku Dziennikarzy R.P. zwołuje Walny Zjazd Związku w Londynie, na 19 października 1963 r. o godz. 10,30 rano. Zjazd odbędzie się w dużej sali Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego — 20, Princes Gate, Londyn, S.W.7.

Zjazd poprzedzony będzie nabożeństwem żałobnym za zmarłych Kolegów, które odbędzie się o godz. 9,30 rano w polskim kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli.

W Walnym Zjeździe biorą udział — z prawem głosu — wszyscy członkowie rzeczywisci Związku, którzy *opłacili lub opłacą przed otwarciem zjazdu składkę członkowską za rok 1962*. Członkowie rzeczywisci, którzy nie mogą przybyć na Zjazd, mają prawo secedować swe głosy innym uczestnikom Zjazdu. Zaden z uczestników Walnego Zjazdu nie może dysponować więcej niż trzema głosami, łącznie z głosem własnym. Sprawozdanie z prac Syndykatów, składy nowoobраниch zarządów, nazwiska delegatów na Zjazd, ew. wnioski oraz pełną listę członków syndykatów wraz z ich adresami, prosimy przelać Wydziałowi Wykonawczemu na adres: 95, Black Lion Lane, London W.6. — na tydzień przed Zjazdem.

Aleksander BREGMAN — prezes

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOSREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Książki

O Hauptcie

„Zanim panika poniosła mnie jak pijaka,
by zataczać się pomiędzy ścianami świata”

HAUPT: *Pierścień z papieru*

Kolejność ważności. Nic bardziej pewnego, określonego gdy chodzi o innych, którym zarzucamy tak łatwo brak konsekwencji, brak wierności, tej a nie innej „murowanej” kolejności. Ale wystarczy przerzucić takie żądanie konsekwencji na siebie i tu ileż razy konstatuujemy nie tylko nasze zdrady, ale chwiejność, zmienność, względność *naszej* kolejności rzeczy ważnych. Zmienia się ona nagle, przesuwa w miarę narastania intensywności tych czy innych warstw naszych przeżyć, naszych uczuć głębokich czy tylko zachcianek. Jak ustalić, jak osądzić kiedy jesteśmy wierni sobie, a kiedy zdradzamy?

To wyznanie nasunęła mi niezwykła książka, „Pierścień z papieru” Zygmunta Haupta. Uświadomiła mi z nową siłą jak cudze, autentyczne spojrzenie na świat może naszą ustaloną hierarchię unieważnić, zmieść, jak nagle widzimy, że wśród „mysiej bieganiny” mijających błyskawicznie dni, zapomnieliśmy o jedynej ważnej kolejności rzeczy i zjawisk.

Nie tyle o „Pierścieniu z papieru” chciałbym pisać, nie mając ani ambicji ani kwalifikacji na krytyka literatury, ale *obok* tej książki — z wdzięcznością — chciałbym spisać wątki myśli, wspomnień przez Haupta obudzone.

Zmęczony coraz to nowymi planami, pomysłami i wybrykami swych siedmiorga dzieci, mówił nam Ojciec rok przed śmiercią: „Dobrze, dobrze, ale *ja już miałem za dużo niespodzianek*”

Zygmunt Haupt, *Pierścień z papieru*, Biblioteka „Kultury”, t. 86, 1963, cena F 13,50.

Z wiekiem przestajemy wierzyć żeby nas już stać było na nowe niespodzianki. Zdaje się nam, że już wiemy (dla siebie) definitywnie co dobre a co złe, reszta nas już nie obchodzi, nie mamy siły znów umierać i znów się rodzić.

„...ja ustala
woskresat' i umirat' i zit'...” — pisze Achmatowa w jednym ze swoich ostatnich wierszy. A przecież prawdziwe przeżycie, które się liczy, to zawsze niespodzianka, zetknięcie z niebywałym, które po jakimś zmusza nas zaczynać od początku. Tymi chwilami żyjemy.

Cézanne, kiedy mówił, że malarz powinien widzieć naturę „jak by jej nikt nie widział przed nami”, był już stary i bliski śmierci. Każde wyjście jego na pejzaż, każde martwa, którą malował były dla niego nową niespodzianką, olśnieniem. Miesiąc przed śmiercią pisze do syna: „Tu na brzegu rzeki motywy się mnożą, ten sam temat widziany pod innym kątem jest tematem potężnie ciekawym (*du plus puissant intérêt*) i jakże różnorodny. Zdaje mi się, że mógłbym całymi miesiącami pracować nad nim nie zmieniając miejsca, tyle, że się nachylając to bardziej na prawo, to bardziej na lewo”.

Gdy jesteśmy oddarci od tych warstw wrażliwości, ku którym się całe życie przedzieramy (tracąc je, wiemy teoretycznie tylko, że istnieją, bo zaciera się czucie ich, pamięć samego doznania) zdaje się nam, że jesteśmy zamurowani i smak życia w nas ginie. Gdy w pracy, w przeżyciach coraz to trafiamy na już znane, na te same wątki, powtórki — ta powtarzalność staje się nie do zniesienia. I nagle olśnienie. Dotykamy w sobie światów wcale nie nowych, bo istniały w nas zawsze, jedynie my zatraciliśmy do nich drogę. Ten świat jest znowu przed nami otwarty: ani pracą ani dobrą wolą czy wysiłkiem, choć są one konieczne bo oczyszczające, do nich nie dotarliśmy, dał je nam szok z *zewnątrz*. Jeżeli chodzi o przeżycie literackie, czy istnieje inny powód czytania, który by tu był wart wzmianki?

Bresdin, cudowny grafik i rysownik, syn garbarza z głębokiej prowincji, całe życie spędził w nędzy i w zapoznaniu, mieszkał na stryszku i tam z chińską precyzją i pieczołowitością hodował w donicach rzadkie rośliny — rysował gąszcz tropikalne, konary potężnych drzew obwieszane szkieletami, krzewy fantastyczne i tajemnicze. Baudelaire powiedział o nim: „Nie wiem, czy ten człowiek ma talent, ale on ma na pewno geniusz”. Ale Bau-

delaire był jednym z paru ludzi XIX wieku, którzy nosili w sobie detektor geniuszu.

Artysta, który jak Bresdin dotarł w sobie do przeżyć osobliwych i szuka dla nich wyrazu, który draży myśl swoją czy wizję swoją, musi przeżyć jakąś „małą śmierć”, musi tworzyć swój język form i tym samym stwarzać wrażenie niezdarności? Braku talentu? Niemocy? Ile razy słyszymy zgorszone słowa: „Ależ to do niczego nie podobne”. Jeszcze za mojej młodości było ogólnie przyjęte, że Cézanne nie umiał rysować, nawet Jacques Emile Blanche, malarz nienajgorszy, przyjaciel Prousta, który jeden z pierwszych kupował obrazy Cézanne’a, pisząc o nim, starał się tłumaczyć jego „zły” rysunek (widziałem rysowany portret żony Cézanne’a *obok* rysunków Rembrandta, nie wiem który artysta tak by wytrzymał takie sąsiedztwo).

A cóż może sam artysta wiedzieć o sobie? „Gdyby to było warto, to dałbym do pisma formującego się poemat „Fortepian Chopina”? Czy warto?” — pisze Norwid do Sokołowskiego w 1865 r.

„Nie mogę drukować tej książki — miał orzec wielki wydawca Grasset, po przeczytaniu „Du côté de chez Swan” Prousta — pierwsze 40 stron to opis jak bohater nie może zasnąć, żaden czytelnik tego nie wytrzyma.

Za nowy kąt patrzenia, za swój język, swoje pismo, pisarz musi płacić ciężkie myto. Te opory w czytelniku, to elementarz, sam wobec Haupta to odczułem. „Nie mam cierpliwości czytać takiego spisu rzeczy, spisu koni, spisu upręży” — myślałem czytając w „Kulturze” jeden z rozdziałów „Pierścienia” (właśnie ten, który nosi tytuł książki). Biorąc do ręki książkę, która ukazała się po paru miesiącach — tyle książek do czytania! — myślałem bez entuzjazmu.

I nagle, od pierwszych stron — niespodzianka. Urzekła mnie pełnia, wielowarstwowość tej wizji życia, język tak bogaty, słowotwórstwo zawsze szczęśliwe, metafory nieoczekiwane o rzadkiej poezji, i w sobie odkryłem nowy zmysł, inną perspektywę świata, inny czas „wieczny”, czas zatrzymany w pół kroku, o którym zapominamy, który gubimy „w zgiełku wielkiej i pustej patzarni, awiarium jakim jest moja niespokojna świadomość”.

Jest wojna i polska katastrofa i okrutne bezcelowe upokorzenie i *coup de grâce* i upadek Francji. Jest chłopak z urwaną głową i list miłosny zatknięty za ramę obrazu. Ale ta wojna wcale nie jest ważniejsza niż kamyki i marmury rozbitej posadzki rzymskiej, niż parszywieńki dansing, gdzie alkoholik i marksista kupuje brzydkim fordanserkom róże złą perfumą perfumowane — albo bijąca o brzeg fala obcego morza.

Po dniu czytania nie mogłem się już od „Pierścienia” oderwać — obudzony w nocy, zdało mi się namacalnie, że moje przeżycia usegregowane, ustawione gdzie trzeba na półkach świadomości, płytkie czy głębokie, wzniosłe czy przyziemne — wszystkie były zarażone trądem pośpiechu, szybkim pragnieniem ekssterioryzacji, zdeformowane złudną aktualnością, która niezależnie czy ją chłonimy czy odpychamy, wszystkimi porami do nas przenika, że wszystkie nasze doznania, widzenia, żyć dopiero zaczynają w całkiem innej kolejności, ważności, *w innym czasie*.

Świat Haupta nienaruszony przez pośpiech, ten świat, w który wtopione są na zawsze jego wspomnienia, jego myśli — uwalnia, oczyszcza czytelnika, daje mu nową młodość, świeżość nietkniętą przeżyć i tę, na którą przecie czekamy zawsze, *niespodziankę*. Czy można dać więcej czytelnikowi?



Dlaczego ta książka przypominała mi człowieka, którego do dziś po 24 latach pamiętam? Był nim biedny krawiec z Krakowa, Żyd, mówił zaledwie po polsku. Znalazł się we wrześniu 1939 roku w moim plutonie. Przeżyłem z tym plutonem zapasowego szwadronu 8-go pułku tygodnie cofania, prób dotarcia, połączenia z pułkiem, który się cofał w walce. Nasz spieszony oddział maszerował po drogach zapchanych tłumem uciekających i wojskiem, żadnego bohaterstwa, żadnej walki, chyba o nocleg, o kwaterę, napięcie do ostatnich granic żeby się oddział nie rozleciał, walka z paniką, chaosem naokoło nas narastającym. Próba stworzenia prawdziwej solidarności w szwadronie, którego sam zestaw dzięki nagłej, dorywczej mobilizacji był jak najbardziej wypadkowy. Ludzi w takich „dzikich” warunkach poznajemy błyskawicznie (widzę jeszcze wachmistrza Wróbla z Żywca, który rządził naszym wyżywieniem, prowadził kuchnię, spał na skrzyni z sucharami, by mu racji nie rozdrapano i do ostatniej chwili zachował zadziwiający spokój i sprawiedliwość dla każdego z żołnierzy w szwadronie, twardą i czujną troskę).

Otóż Salomon — nazwijmy tak krawca z Krakowa w moim plutonie — zostawił w Krakowie żonę i dzieci. Miał twarz wschodnią, nie żydowską nawet, ale asyryjską, surową, jak wykutą na granitowym fryzie. Na tej twarzy, w chwilach dla nas najtrudniejszych, była zawsze wypisana ta sama absolutna obojętność na wszystko, co go otaczało; ta obojętność, chciałbym powiedzieć, górna i chmurna, była aż tajemnicza, tak bardzo nie przylegała ani do nas, ani do chwili przeżywanej. Ten ułan z przypadku dbał o jedno, chciał się dobrze odżywiać. Wystarczyło byśmy

przechodzili przez jakąś wieś — ginął. I wynurzał się po jakimś czasie z gęsią, kaczką czy kurą pod pachą. Za każdym razem gdy go przyłapywałem, musiał zdobyć swoją oddawać. Z początku po dobremu starałem mu się tłumaczyć, że żołnierz nie kradnie (mieliśmy przecie do tego jeszcze kuchnię polową z nieocenionym Wróblem), ale każda nowa wieś, to było znowu i znowu to samo: wypadek krawca i powrót z nową zdobyczą. Na wszelkie morały, czy gwałtowne wymyślanie reagował nieobecnością psychiczną, kamiennym wyrazem twarzy. Zdawało mi się, że czytam na niej: „Niech sobie goje wojują — cóż robią innego od paru tysięcy lat, a nas Żydów wśród nich cóż to może obchodzić, musimy przecie żyć i przeżyć, mam żonę i drobne dziatki, muszę mieć siły, by je podczas tej wojny wykarmić, kto się o nie zatroszczy? Polacy?”.

Dni szły za dniami i już koło Żółwi mój ułan zwiął mi z plutonu — nie on jeden. Czy mogłem mu się dziwić: żył w innym świecie, na innej planecie, to co nami wstrząsało do trzewi, było dla niego sprawą całkowicie poza światem jego rzeczywistości. Cóż wiem zresztą o Salomonie-krawcu? Czym za swoją osobność płacił, za tę wolność wobec nas, jakim gwałtownym przywiązaniem, jaką śmiertelną o swoich trwogą, której nam zdradzać nie myślał; i nie wiem co się z nim stało, gdy wrócił do Krakowa na okrucieństwo wieczne, barbarzyństwo wieczne i pewno na śmierć swoich i swoją.



Skąd to przypomnienie? Co może mieć wspólnego Haupt z Salomonem-krawcem? Haupt, oficer polski z kawaleryjskiej zmotoryzowanej brygady, poprzez Grenadierów we Francji wyładował w Szkocji w Dywizji Maczka, bił się w Polsce, we Francji, a dziś mieszka w Stanach. Ani środowisko, ani rasa, ani światopogląd ich nie łączą, a przy tym postawa Haupta, o wrażliwości tak wyostrojonej i bolesnej, jest na przeciwnym biegunie kamiennej i „wyobcowanej” postawy Salomona. Ale Haupt w swojej warstwie najgłębszej, w materii przeżywania zdał mi się równie osobny i po swojemu władczy dzisiaj wśród nas, jak Salomon w naszym plutonie. Odczułem w nim ten sam dystans. Któż z nas umie się nań zdobyć? U Haupta ten dystans daje nawet pozornie najbliższym przeżyciom taką perspektywę, jakby już były ustawione w swej ostatecznej, znieruchomiałej hierarchii ważności, w „zatrzymanym czasie na pół kroku”.

Stefcia, która siedząc na oknie zakrywa swoje kolana przykrótką spódniczką, Stefcia topielica o spuchłych wargach i rękach pocętkowanych trądem wodnym i umarła królowa Scytyjska w

złotym diademie, bezzębny Kamczadał porzucony odpływem fali wojennej w mieście rodzinnym autora, czy jeleni pożądliwy wielkości dużego cielęcia na rykowisku, zapach zwiędłych liści w lesie czy chlupot wody ociekającej z nieszczonego kurka paryskiej mansardy „jak bulgot fontanny w ogrodach Persji, szklany i cienki”. Ile obrazów, ile niedopowiedzianych, szepniętych pomiędzy wierszami wyznań. Ten rozdział o deszczu, gdy wszystkie małe, wielkie a może ogromne dla samego Haupta wydarzenia tamtego dnia zatarły się i został tylko deszcz „to znaczy, że niby wszystko jest nieważne?” „zielony, srebrny, rozpryskujący się jak rtęć” deszcz, czy przyjazd wiosny „w pohańcieniu resorów i w takt koni doróżkarskich” i bukiet fiołków „głęboko fioletowych, wstydliwych, kręcących się swymi listkami w swym ciasnym bukieciku” na piersiach wiosny. Ile paru kreskami zaznaczonych, a już istniejących, na zawsze nie do zapomnienia, istot: ten Ukrainiec ze Lwowa o zapadłych z głodu policzkach, w Instytucie Słowiańskim na rue Michelet marzący o wyróżnieniu miliona Polaków, Żyd w futrze atlasem podszytym, czekający cierpliwie, godzinami, na audiencję u dziedzica we dworze podczas szalejącego białego mazura, dziedzica, który już dawno siedzi w jego kieszeni, aż po tę Bretonkę na francuskiej kwaterze wojennej, płaczącą „dziewczynkę z różkami na księżycach”.

Jeden z ostatnich rozdziałów, „Kawaler z morskiej pianki”, zdaje mi się więcej jeszcze niż inne pamiętny — rachunek z życia, zapytania ostateczne „ambasadora innych urojeń”, któremu wiatr nad brzegiem oceanu łyż na twarzy suszy.

„Można by łatwo wpaść w megalomanię, kiedy sobie pomyśleć, że (fala) przeszła pół oceanu pod słońcem i gwiazdami niosła na sobie Lewiatany i morza sargassowe, ściągająca pioruny i piętrzyła się w morskie wały, ażeby w końcu w największej pokorze, cnotcie tej pokory położyć się i umrzeć, u czyich? u moich stóp... Tu żeśmy zasłi? Tu nam w postaci kruchej piany morskiej ukazana została nicość i kruchość wszystkiego?... tylko obca woda, niezrozumiała i obojętna tłucze się bezpamiętnie i pożera ziemię — ostatecznie co mi zostało pod nogami”.



Poprzez wszystkie rozdziały tej książki, tak różne i zawsze stanowiące całość w sobie — ta sama powściągliwość autora — jakże pilnuje on siebie samego, by nie zakrzyczeć; najsilniej działające sceny urywa, maskuje ich zakończenie; w tym samym rozdziale, w tym samym opowiadaniu, gdy tylko napięcie zaczyna gwałtownie narastać, gdy dociera do losu tej czy innej istoty, autor ją gubi, przesuwa uwagę czytelnika na innych ludzi, czy

na inne miejsce, nadaje wypadkom inny, już jakby absolutny sens.

I jakże tu nie wspomnieć „Garstki piasku”:

„...ażeby mój smutek nie był dla nikogo z tych, których pocieszają i płaczą tylko aby był smutkiem człowieka dla człowieka”.

Stefacia i ciężkie, oślizgłe od szlamu niewody i królowa Scytyjska i tętent koni po szerokiej łące sprzed setek lat, jednym tchem dotknięte i opowiedziane. 16-letni Janusz z Szymbarku w czapce licealnej, którego ścigają „zakochane, zaczadzone, zawilgłe od miłości spojrzenia rodziców”, co się stało z tym dzieckiem? Czy odpowiada nam autor opisem kamiennego grobowca w Gorlicach, 17-letniego Niemca z wojny poprzedniej, tego „cudzego dziecka”? „Meine liebe Mutter sei stolz, ich trage die Fahne”. I zawsze treść bolesna tych opowiadań przerasta wypadek jednostki, staje się losem nas wszystkich.



Ustalone, kamieniejące co pokolenie przepisy, czy recepty koniecznie „ostatnie” i koniecznie rewolucyjne — trzeba mieć wiele odwagi i wytrwania, żeby im nie dać sobie zamącić swej wizji dla siebie samego ciemnej czy nawet pokracznej. Haupt wie, że nigdy nie jesteśmy dość uważni i dość posłuszni temu; co uparcie nam każe wewnętrzna konieczność.

Rozanow notuje w swym dzienniku, że dobrze już jest, jeżeli pisarz ma jednego, paru najwyżej, *prawdziwych* czytelników, że gdy pisząc nagle pod takim czy innym naciskiem, czy wprost w chwili słabości decyduje się jedno słowo zmienić, uczytelnic, „wtedy twój jedyny czytelnik odkłada książkę i więcej do niej nie wraca”.

Nie chodzi tu bynajmniej o kult ciemności ani o odcinanie się w wieży z kości słoniowej, jego słowo to jedyne okno artysty w świat. Nie dotrze on inaczej ani do siebie ani do czytelnika i nie osiągnie tej wolności dojrzałej, którą jest przepojona niezwykła książka Haupta „Pierścień z papieru”.

Józef CZAPSKI

Neocyganeria warszawska

Pamiętnik Wacława Mrozowskiego pt. „Cyganeria” (1) przez proste skojarzenie nasuwa na myśl formację literacką znaną (od niedawna i niezbyt głęboko) jako cyganeria warszawska. Z gruba biorąc stanowiła ona krajową odpowiednik literatury Wielkiej Emigracji, lecz zostało z niej niewiele: libretto „Halki” napisane, co niewiele wie i pamięta, przez jednego z cyganów, Włodzimierza Wolskiego, pierwsze pobudzenia poetyckie Lenartowicza, a także w mniejszym stopniu Norwida, którzy zresztą obaj wcześniej wyszli z kraju i niemal całą swoją twórczość związali z emigracją. Cyganeria warszawska pierwszej połowy XIX wieku jest ważna przede wszystkim jako zjawisko z zakresu obyczajowości literackiej, zjawisko psychologiczne i socjologiczne — odbija się w nim jak w strzaskanym lustrze tragiczna sytuacja kraju po powstaniu listopadowym, dla profana przesłonięta olśniewającymi blaskami poezji emigracyjnej. Neocyganeria warszawska pierwszej połowy XX wieku jest podobnym zjawiskiem obyczajowym, socjologicznym i psychologicznym, ale również znaczącą pozycją literacką. Zawdzięcza ją przede wszystkim dwu ludziom: Józefowi Czechowiczowi i Józefowi Łobodowskiemu. To wyznacza wagę wspomnień Mrozowskiego.

Na dobrą sprawę po raz pierwszy wprowadzają one w sedno zjawiska, są świadectwem z pierwszej ręki, świadectwem współuczestnika i jednego z nielicznych pogrobowców. Nie ma to świadectwo większej wartości literackiej. Jest napisane dosyć nieporadnie, miejscami naiwnie, miejscami nawet po szkolarsku błędnie. Poetom (a Mrozowski ma w dorobku osiem tomów poetyckich) zwłaszcza lirykom żywiołowym, bez głębszego podłoża kulturalnego, to się zdarza, że są miernymi prozaikami. Bardziej dotkliwie i niepokojące w tej książce jest coś innego. Z noty redaktora, dosyć zresztą niedbałego czy niekompetentnego, ponoszącego winę za wiele przeoczeń stylistycznych, gramatycznych, korektowych (np. Eliott zamiast Eliota, na szczęście poprawiony w skorowidzu) — wynika, że „Cyganeria” stanowi „właściwie pewną część wspomnień autora”, że „ze względu na obfitość materiału, kompozycję i inne względy została (ona) poważnie zredukowana”. Trudno obronić się pytaniami: dlaczego redaktor nie zatroszczył się o sprawy leżące na wierzchu, okazał troskę o rzecz tak wewnętrzną, tak skomplikowaną jak kompozycja? dlaczego „obfitość materiału”, stanowiąca walor każdego pamiętnika, tu okazała się obciążeniem? i przede wszy-

(1) Wacław Mrozowski: *Cyganeria*. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin. 1963, str. 256.

stkim jakie to tajemnicze, nieujawnione „inne” względy kierowały cenzurą redakcyjną, a zapewne również nieredakcyjną?

Szatańska kuchnia, w której przygotowano i przyprawiono książkę zmniejsza jej wartość jako dokumentu literackiego i obyczajowego. Może również tłumaczy niektóre przykre jej rysy. Jest ona pełna dygów w lewą stronę, dwornych, całkiem nie cygańskich, reweransów pod adresem dwóch Passionarii komunistycznych, Wasilewskiej i Broniewskiej, choć z toku wspomnień wynika — i to stanowi jedno z charakterystycznych znamion wspomnianego zjawiska — że ani autor, ani jego współtowarzysze nie mieli ówczasie „świadomości społecznej” i żadnych zainteresowań politycznych. Jeszcze mniej przyjemna jest rozprawa *ex post* z Łobodowskim tylko dlatego, że znajduje się on po drugiej stronie. (Trzeba przyjąć, że w tym szaleństwie jest metoda, jeśli w wielkiej antologii Matuszewskiego i Pollaka „Poezja polska 1914-1939” Łobodowski nie tylko świeci nieobecnością wśród 181 uwzględnionych poetów, ale — wraz z Hemarem — nie został zaszczycony nawet notką biograficzną jak kilkudziesięciu poetów nieobjętych antologią). Od pierwszego zjawienia się na kartach książki Łobodowski jest czarną owcą, „bohaterem negatywnym”, mimo że autor ma wielką wyrozumiałość dla siebie i swoich towarzyszy, mimo że jej oczekuje od czytelnika. Ktoś kto by zaufał tylko tym wspomnieniom, miałby prawo uważać, że w ewolucji poetyckiej i światopoglądowej Łobodowskiego — przeciw żywiłowo gwałtownej i żywiłowo autentycznej jak cała jego twórczość — nie ważyło nic prócz zimnego wyrachowania dyktowanego najniższymi motywami. (Nb. byłoby pożądane, żeby Łobodowski, który w przeciwieństwie do Mrozowskiego jest świetnym, pełnym temperamentu, wielostronnym prozaikiem dał swoje oświetlenie okresu „neocyganerii warszawskiej”).

Mimo tych obciążeń zawinionych, a także niezawinionych przez autora, „Cyganeria” przynosi sporo wiarygodnego materiału, rzuca smugę światła na coś co można by nazwać niedostrzeżonym kontekstem epoki (każda epoka ma takie konteksty jakby pisane atramentem sympatycznym, które wychodzą na jaw w niespodzianych momentach pod działaniem nieobliczalnych odczynników). Mieszkaliśmy w tym czasie w Warszawie, spotykałem się z Czechowiczem, bardziej doraźnie z Łobodowskim, nigdy jednak nie przeniknąłem w poszycie, w którym oni czuli się u siebie, nigdy nie byłem we wspólnym pokoju na ul. Dobrej 9, mało co wiedziałem o jego istnieniu. A ten pokój jest centralnym punktem wspomnień Mrozowskiego i choć istniał wszystkiego niespełna rok, stanowi przekrój, skrót i po trochu symbol zjawiska. Przypomina mansardę jednego z dziewiętnastowiecznych cyganów Seweryna Filleborna: wtykał on w jej deski jodłowe gałęzie, żeby stworzyć iluzję lasu, podlewał tę iluzję czystym alkoholem i na taką modłę żył wszystkiego lat 27.

W pokoju na Powiślu mieszkało pięciu poetów: obok Mro-

zowskiego, zresztą najpóźniejszego przybysza, Henryk Domiński, Bronisław Ludwik Michalski, Stanisław Piętaś i Łobodowski. Wszyscy grawitowali wtedy wokół dwudziestki z wyjątkiem Michalskiego, który był o dziesięć lat starszy, a miał się najwcześniej i dobrowolnie wycofać z gry życia. Atmosfera gromadnego koczowiska, przyjęty w nim styl bytowania, zmieniająca się sceneria ludzka odzwierciedlają się w pamiętniku Mrozowskiego z powieściową wyrazistością. Okropne otoczenie, robactwo, nałogowy alkoholizm, bieda z nędzą, powrotne bezrobocie, chwytanie się wszystkiego (wśród wielu fantastycznych zatrudnień Mrozowski terminował także w Reducie i grał epizodyczną rolę w „Pierścieniu wielkiej damy” Norwida), całkowity brak ładu i dyscypliny — to cienie obrazu. Kontrastują one ze światłami: niemal wczesnochrześcijańską wspólnotą życia, wzruszającą solidarność w doli i niedoli, miłością poezji, bezinteresownością kulturalną. Ścisłjsza scena grająca takim światłocieniem rozszerza się w dół — na obskurne knajpy Powiśla ze sławetnym „Dołkiem”, w górę — na środowiska, które tolerowały wyzywające ubiory, niekonformistyczne obyczaje, nienasycone apetyty cyganów i w głąb — na pejzaż nadwiślański i pejzaż duchowy epoki.

Główną postacią wspólnego pokoju, choć nigdy w nim nie mieszkał, całej jego otoczki jest Czechowicz. W świetle wspomnień Mrozowskiego, który bynajmniej nie grzeszy finezją spstrzegawczą i analityczną, „Józef Henryk” jak go nazywano w tym gronie — ukazuje się z całym skomplikowaniem psychicznym i psychofizycznym: abstynent wśród notorycznych biboszków, inwertek wśród rozbuchanych temperamentowców, uśmiechnięty obserwator i filuternie mrugające oko Opatrzności, ciągle czynne pogotowie ratunkowe, osobowość naturalnie promieniująca i pociągająca swoim czarem, od niechcenia kierująca tą niezorganizowaną młodością, przywódca bez ambicji i atrybutów przywództwa. „Krag czechowiczowski”, „szkoła Czechowicza”, terminy, które ostatnio uzyskują prawo obywatelstwa (używa ich m.in. wspomniana antologia Matuszewskiego-Pollaka) mają w tej książce pełne, źródłowe, materiałowe poparcie.

Mrozowski zachował w pamięci i w swoich jakoś łaskawie przez wojnę oszczędzonych papierach sporo nieznanymi szczegółów, sporo dokumentów. Dowiadujemy się więc o planowanym w Warszawie lubelsko-wileńskim piśmie „Zmowa”, które Czechowicz zamierzał wydawać do spółki z „Żagarystami” i dla którego napisał program; poznajemy jego dwa, zresztą dziecinnie, rozbrajająco naiwne scenariusze filmowe; uczestniczymy w pośmiertnym, tragicznym losie jego papierów. Sporo podobnego materiału (a także ikonograficznego w lichej niestety reprodukcji) dotyczy wielu innych poetów: np. nieznanymi, niedobrymi ale charakterystycznym wiersz Gałczyńskiego.

Przez wspólny pokój, jak przez ekran przesuwają się dziełki pisarzy, przystają na krócej lub dłużej, ustawiają się w

charakterystycznych pozach: zbyt dobrze wychowany, przedelikacony i już wtedy chory Miciński, wzywający Miłosz, Flukowski, Sebyła, Jerzy Zagórski, Rzeczyca... Ta zapluskwiona izba na II piętrze z balkonem i wejściem przez kuchnię, z leciwą i jurną, łąsą na pieniądze i po macierzyńsku opiekuńczą gospodynią Rozalią jest *place d'armes*, odskocznią najazdu prowincji poetyckiej na stołeczną Warszawę, naporu dołów społecznych na wyżyny kulturalne. Autor „Cyganerii” — po skończeniu seminarium nauczycielskiego w niebardzo podłym mieście Chełmie, gdzie już wtedy wychodziła i wychodzi do dziś „Kamena” Kazimierza Andrzeja Jaworskiego — zjechał tu w cajtowym ubraniu i z jedną zapasową koszulą, lecz z całą „Iliadą”, „Panem Tadeuszem” i „Syzyfowymi pracami” w głowie. Piętnak przybył ze wsi, nawet z Wielowsi pod Tarnobrzegiem i w tej cygańskiej karuzeli, wśród kołującego koszmaru zachował łagodną chłopską odporność, najwięcej pracował i najwięcej osiągnął. Prawie całą resztę kręgu czechowiczowskiego stanowią lubliniacy. Z Lublina wywodzi się również Łobodowski. Te dwa rysy — awans stołeczny prowincji i pięcie się na Parnas z nizin społecznych — streszczają aspekt socjologiczny neo-cyganerii warszawskiej.

Ma ona również swój aspekt psychologiczny, który tłumaczy jej ekscesy (ekscesy znamionuje styl bycia i tworzenia cyganerii dziewiętnastowiecznej) drażący ją niepokój, marnotrawstwo energii. Mrozowski nie bardzo zdaje sobie z tego sprawę, lecz gromadzi mnóstwo wymownego materiału wspomnień i dokumentów. Intuicyjnie skupia uwagę na Bronisławie Ludwiku Michalskim. „Najsmutniejszy człowiek i poeta dwudziestolecia” jest symbolicznym reprezentantem tej formacji literackiej i tego pokolenia. Na kilka lat przed wojną popełnił samobójstwo skacząc do Wisły. W jego ubraniu zostawionym na brzegu znaleziono ostatni wiersz, który także Boga nazywa „najsmutniejszym”.

Wojna dokonała reszty. Czechowicz — jak proroczo przewidywał — padł „zabity bombą w stallach” (w tym poetyckim proctwie rzeczywistość jedynie „stalle” zmieniła zakład fryzjerski). W rozmaitych okolicznościach zginęli: Sebyła od kul sowieckiej w Katyniu, Domiński, Rzeczyca od kul hitlerowskich. Twardy syn chłopski Podstawka zmarniał w Oświęcimiu. Z całej konstelacji ostali się tylko Łobodowski, Piętnak i autor „Cyganerii” Mrozowski.

Jego książka może podsuwać pokusę łatwego moralizowania, lecz naprawdę pozwala ona zrozumieć jedną z bardziej tragicznych generacji polskich. W najcięższych warunkach dobijała się ona życia, rozpaczliwie walczyła o swoje miejsce pod słońcem, a lirycznie wyczułoną wrażliwością przeczuła kładący się na niej cień śmierci i zagłady.

Tymon TERLECKI

Wspomnienia literackie Dwudziestolecia

Zainteresowanie literaturą dwudziestolecia jest obecnie bardzo żywe. Na uniwersytetach nie jest one nietykalnym tabu, którym nie można się zajmować, poświęcono jej wiele prac doktorskich i magisterskich. Antologia Matuszewskiego, obejmująca poezję od r. 1914-1939 została rozchwyтана w ciągu kilku tygodni i wywołała liczne dyskusje na łamach prasy. Wydano poza tym wiele książek zawierających wspomnienia lub opartych na materiale informacyjnym udostępnionym przez pisarzy i ich rodziny. Przed dwoma laty ukazały się poświęcone poetom Kwadrygi *Ballady przed burzą* Wiesława Szymańskiego i *Okolice Poetów* Stanisława Czernika, w ostatnich miesiącach pojawiły się książki Jalu Kurka, Stanisława Piętaka, Konrada Bielskiego i Wacława Mrozowskiego (1), które przynoszą wiele interesujących szczegółów z tego okresu.

Tak się złożyło, że *Mój Kraków* Jalu Kurka otrzymałem w tym samym dniu, co numer *Twórczości*, zawierający mój artykuł pt. *Czasy heroiczne (i nie-heroiczne)*. Znaczna część tego artykułu poświęcona jest właściwie wspomnieniom z czasów krakowskich, okresowi *Zwrotnicy* i *Linii*, które zajmują wiele miejsca także w książce Kurka. Dlatego *Mój Kraków* był dla mnie lekturą pasjonującą, bo pozwolił na skonfrontowanie naszych wspomnień i punktów widzenia. Przekonałem się o tym np. czytając co Kurek pisze o *Powszechnym mityngu w sprawie sztuki*, w którym wzięłem udział wraz z J.E. Dutkiewiczem, Julianem Przybosiem i J.A. Szczepańskim. Było to — obok *Almanachu GGA* Sterna — bodaj jedyne w Polsce wystąpienie utrzymane w duchu dadaistycznym (gwałtowność ataków na literaturę współczesną, transparenty, perfumowana sala, inwersja głosowania, w którym groteska i parodia sąsiadowały z metafizycznym nonsensem — należały do akcesoriów, których nie powstydziłyby się Tristan Tzara lub Arp czy Ribemont-Dessaignes). Oczywiście tego rodzaju manifestacja czterech młodzieńców nie była czymś poważnym, zawierała wiele tupetu i dziecinady, ale poza tą fasadą ukrywała się jednak istotnie próba ogólnego zaprzeczenia obowiązujących w tej epoce walorów i przygotowania gruntu do nowego widzenia literatury. Rzecz dziwna, Kurek dostrzegł

(1) Jalu Kurek — *Mój Kraków* — Wydawnictwo Literackie — Kraków, 1963. Stanisław Piętnak — *Portrety i zapiski* — P.I.W. — Warszawa, 1963. Konrad Bielski — *Most nad czasem* — Wydawnictwo Lubelskie — Lublin 1963. Wacław Mrozowski — *Cyganeria* — Wydawnictwo Lubelskie — Lublin, 1963.

tylko stronę humorystyczną tego wieczoru. Poza tym — nie dopisała mu pamięć, gdyż zupełnie pominął milczeniem fakt, że brał w nim udział także Przyboś i tylko mimochodem wspomina o Dutkiewicz, który był głównym inicjatorem tego wystąpienia.

Kurek w swej książce poświęcił wiele miejsca poetom tego okresu, takim jak Gałuszka lub Jerzy Braun, którzy w latach gdy odbywałem studia uniwersyteckie zdobyli sobie duże uznanie i popularność, ale później — z niewiadomych powodów — się wykoleili. Może dlatego, że wystartowali z dużym opóźnieniem w stosunku do epoki i dzisiaj nazwiska ich są prawie zupełnie zapomniane. Dla Kurka, podobnie jak i dla mnie, mają one jeszcze żywy wydźwięk, bo łączą się z latami naszej młodości.

Do najpiękniejszych kart książki należą ustępy poświęcone rodzicom. Nie znałem matki Kurka, ale często widywałem jego ojca, jak go powszechnie nazywali studenci *Piotrusia*, który był laborantem w *III Zakładzie Chemii*, gdzie spędzałem przez trzy lata wszystkie popołudnia. Był to człowiek, który pod pozorami facecjonisty ukrywał dużą inteligencję i dlatego był ogólnie lubiany. Gdy cofam się myślą wstecz i wracam do tych lat — nie wyobrażam sobie *III Zakładu Chemii* bez postaci *Piotrusia*.

Życie literackie młodego Krakowa było w latach międzywojennych bardzo bujne. Książka Kurka zawiera mnóstwo szczegółów i informacji. Dowiedziałem się z niej wielu rzeczy, które zaszyły już po moim wyjeździe za granicę, przyniosła mi ona wiadomości o dawno zapomnianych kolegach... Niektóre fakty inaczej zachowały się w mojej pamięci, może Kurek poświęcił zbyt dużo miejsca młodym, którzy nie wytrzymali próby czasu i nie przedstawiają niczego dla dzisiejszego czytelnika, ale dobrze się stało, że *Mój Kraków* utrwalił w pełni bujność życia literackiego tych lat.

Wspomnienia z okresu dwudziestolecia stanowią główny trzon także książki Piętaka. W początkach swej działalności poetyckiej był on związany z Krakowem, współpracował w *Linii*, potem flirtował z *Okolicą Poetów*, ale najbliżej był może *Du côté de chez Czechowicz*, należał do kręgu przyjaciół autora *Dnia jak co dzień* w okresie, gdy przeniósł się do Warszawy. „Wspólny pokój” na ul. Dobrej dzielił Piętaś z młodymi poetami lubelskimi, których kiedyś historyk poezji dwudziestolecia nazwie prawdopodobnie satelitami Czechowicza. Ich dorobek poetycki jest bowiem dość szczupły i nosi wyraźnie jego wpływy.

Do najlepszych ustępów książki Piętaka należą te, w których elementy osobistych wspomnień łączą się z wnikliwymi uwagami o poezji, o samym mechanizmie aktu poetyckiego, ukazując jak rodzi się wiersz. Piętaś jest niewątpliwie poetą niedocenionym, wiersze drukowane niedawno w tygodnikach świadczą, iż jego poezja jest nadal żywa i w pełnym rozwoju.

Piętaś stanowi pomost między Krakowem, a poetami Lublina: Bielskim i Mrozowskim, którzy prawie w tym samym czasie wydali swe wspomnienia. Konrad Bielski był jednym z twór-

ców i filarów *Reflektora*. Przez wiele lat był on uważany za najlepiej zapowiadającego się poetę tej grupy, ale niestety w pewnym momencie — dość wcześnie — złamał pióro. Miałem wiele sympatii dla tego pisma, w którym ceniłem dążenie do nowego wyrazu poetyckiego, wolę nowoczesności... Było to jeszcze w czasach heroicznych i w pewnym sensie debiutowałem na łamach *Reflektora*, gdyż wydrukowałem tam przekłady z poezji francuskiej i pierwszy wiersz, którego nie zaliczam do *juveniliów*.

Cyganeria Mrozowskiego jest książką bardzo nierówną, głównie poświęconą „wspólnemu pokojowi” na ul. Dobrej i mgłom pijackich oparów, które unosiły się nad nim. Napisana jest jednak z dużą werwą i od czasu do czasu przynosi jakiś nieznany szczegół, np. o projekcie wydawania przez Czechowicza i *żagarystów* pisma *Zmowa*. Mrozowski wymienia moje nazwisko między osobami, które miały być zaproszone do stałej współpracy w tym piśmie. Jest bardzo prawdopodobne, że nie wyszło ono poza stadium projektu, gdyż ani Czechowicz, ani ktokolwiek inny nigdy nie zwrócił się z tym do mnie.

Skoro jesteśmy przy sprostowaniach: chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę. Kurek cytuje w swej książce fragment listu Czechowicza, z którego okazuje się, że autor *Z błyskawicy* żywił do mnie żal, iż nie zaprosiłem go do współpracy w *Linii*. W liście tym stawia mi nawet brzydki zarzut, że zrobiłem to dlatego, że nie miał pieniędzy na partycypację finansową. O ile mnie pamięć nie myli, byłem za zaproszeniem Czechowicza do współpracy, ale samą robotą redakcyjną zajmował się Kurek. Nie wiem dlaczego Czechowicz nie drukował w *Linii*, czy wpłynęła na to jakieś powody natury finansowej, ale jest niezaprzeczalnym faktem, że na rok przed powstaniem tego pisma, gdy Czechowicz był jeszcze bardzo mało znany, zamieściłem w numerze drugim redagowanej przeze mnie *l'Art Contemporain — Sztuki Współczesnej* jego wiersz pt. *Śmierć*. Oczywiście zrobiłem to bez jakiegokolwiek udziału finansowego z jego strony.

Nie zawahałem się również w r. 1937, zasugerować Czechowiczowi wydawania *Arkuszy poetyckich*. Mogę bowiem rewidować ojcostwo moralne tego projektu, ale po podsunięciu Czechowiczowi tej idei i pierwszych rozmowach na ten temat — nie brałem już udziału w jej realizacji, gdyż po trzymiesięcznym pobycie w Warszawie powróciłem do Paryża. Czechowicz przeprowadził już sam pertraktacje ze Sztajnsbergiem i ustalił ostateczną listę publikowanych autorów. Mrozowski ma słuszną uwagę, że między poetami, którym poświęcono *Arkusze*, figurował jeden *autentysta*, a nie znalazł się wśród nich żaden *żagarysta*. Niewątpliwie, w moich pierwszych rozmowach z Czechowiczem byli brani pod uwagę poeci wileńscy. Co się stało po moim wyjeździe z Warszawy, dlaczego uległo to zmianie — trudno byłoby mi dzisiaj odgadnąć. Czechowicz był człowiekiem dziwnym, tkwiły w nim pewne zahamowania i opory, które należało brać pod uwagę, ale których mechanizm jest nam nieznany. Był człowiekiem zręcznym i ambitnym, chętnie otaczał się dworem

młodych, drugo- i trzeciorzędnych poetów, dla których był zdolny nawet do dużych poświęceń, ale — rzecz charakterystyczna — nie był związany węzłami przyjaźni z żadnym poetą większego kalibru.

Dobrze się stało, że zaczynają się pojawiać książki o dwudziestoleciu, gdyż w chwili obecnej można jeszcze dodać wiele sprostowań i uzupełnień. Za lat kilkanaście, dystans dzielący nas od tego okresu będzie już zbyt duży, by można było pozwolić sobie na jakiegokolwiek uzupełnienia. Stanie się on wyłączną domeną historyków literatury. Byłoby jednak pożądane, dla dania pełnego obrazu dwudziestolecia, by teraz ukazały się także książki innych pisarzy. Dotychczas istnieje pewna hipertrofia Lublina — dla zachowania równowagi byłoby potrzebne, by zabrał głos w tej sprawie przynajmniej jeden skamandryta, np. Słonimski, a przede wszystkim — Peiper i Przyboś, którzy mogliby wnieść wiele cennego materiału dla historyków literatury tego okresu.

Jan BRZEKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- DĄBROWSKA-ZEMBRZUSKA (Eugenia). *Szkołnictwo w Czechosłowacji*. Str. 226 i 2 nlb. Tom X „Monografii pedagogicznych” pod redakcją Bogdana Suchodolskiego. (Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, PAN, Wrocław — Warszawa — Kraków, 1963, cena zł. 35).
- GLIŃSKI (Matteo). *Chopin the Unknown*. Str. 84 i 8 nlb. (Wyd. Assumption University of Windsor Press, nakład autora, druk w Kanadzie).
- AGUILERA (Arturo Hernandez dr). *Concepcion medica de la psiquiatria*. Breves consideraciones Médicas sobre el Tercer Congreso Mundial de Psiquiatria celebrado en Montreal, Canada, en el mes de Junio de 1961. Str. 87 i 3 nlb. (Ed. „Gharma”, Guadalajara, Meksyk, listopad 1962).
- SZPORLUK (R.). *Masaryk's Idea of Democracy*. Str. 31-39. (Odbitka z „The Slavonic and East European Review”, Vol. XLI, nr 96, December 1962).
- BUDUROWYCZ (Bohdan B.). *Polish-Soviet Relations 1932-1939*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Columbia University Press — East Central European Studies of Columbia University — New York-London, 1963, cena dol. 6).
- POMORSKA (Edwige). *Nous les avons tant attendus! Pièce en trois actes et quatre tableaux*. Pp. 186 i 6 nlb. (Ed. du Scorpion coll. „Feux de la Rampe”. Paryż, 1963).
- BALDWIN (James). *Fire next Time*. Str. 120 i 8 nlb. (Wyd. The Dial Press, New York, 1963, cena dol. 3,50).

- MANDEL (Arnold). *La voie du hassidisme*. Str. 276 i 12 nlb. (Wyd. Calmann-Lévy, Paryż, 1963, cena F 12.90).
- TERTZ (Abram). *Fantastic Stories*. Str. 214. (Wyd. Pantheon Books a Division of Random House, New York, 1963, cena dol. 3,95).
- PARNICKI (Teodor). *Tylko Beatrycze*. Powieść historyczna. Str. 412. (Wyd. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa, 1962, cena zł. 3,95).
- STEHLE (Hansjakob). *Nachbar Polen*. Str. 416. (Wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt/M., 1963).
- BROCK (Peter). *Geneza ludu polskiego w Anglii*. Materiały źródłowe. Str. 320. (Skład Główny B. Świdorski, Londyn, 1962).

KSIAZKI UKRAJŃSKIE

- KYSILEWSKYJ (K.). *Iwan Zilynskyj*. Str. 48. (Ukrajńska Wilna Akademiya Nauk, Winnipeg, 1962).
- SOFRONIW-LEWYCKYJ. *Idiomy ukrajinskoj mowy*. Str. 64. (Ukrajńska Wilna Akademiya Nauk, Winnipeg, 1963).
- RUDNYCKYJ (J.B.). *Shevchenkiana Helvetica*. Str. 12. (Ukrajńska Wilna Akademiya Nauk, Winnipeg, 1962).
- RUDNYCKYJ (Jar.). *Z podorozi na Maltu 1962 r.* Str. 14. (Nakładem Ukrajinskohe Towarystwa Zakordonnnych Studij, München).
- KURACH (Mychajło). *Pered Bramoju. Poeziji*. Str. 120 plus 21 reprodukcji. (Na czużyni, 1963).
- JANIW (Wołodymyr). *Ukrajinska duchowist' u poetycznij wiziji Szewczenka*. Str. 34. (Widbytko iz zbirnyka prysw. pamiaty Z. Kuzeli. Zapysky NTSz. t. CLXIX, Paryż, 1962).
- ODRACZ (Fedir). *Na nepewnomu granti*. Str. 340. (Ukrajinske Wyd-wo „Dobra Knyżka” Toronto, 1962).
- Kalendar-Almanach Ukrajinskohe Holosu na 1963 rik*. Str. 190. (Nakładem Wydawnyczoji Spilky Tryzub. Winnipeg-Manitoba).
- Soneczko*. Zbirka wirszykiw ta kazok dla ditej (druhe dopownene wydannia). Str. 30. (Wyd-wo Julijana Serediaka. Buenos Aires, 1962).
- Słowo*. Zbirnyk I. Literatura, My-Dokumenty. Objednannia Ukrajinskich Pyśmennykiw w Ekzyli. Nju Jork 1962. Str. 495.
- MAŁANIUK (Jewhen). *Knyha sposterežen. Proza*. Nakł. W-wa „Homin Ukrainy”. Toronto, 1962. Str. 525.
- KOSZELIWEĆ (Iwan). *Panorama najnowiszoji literatury w URSR*. Poezija — Proza — Krytyka. W-wo „Proloh” New York, 1963. Str. 367.
- SZEWCZENKO (Taras). *Tryzna*. Perekław Wołodymyr. Orden. London, 1963. Str. 23.
- BYKOWSKYJ (Łew). *Warszawski Biblioteky w serpni, weresni i żoutni 1944 r.* (urywok zi spomyniw). Fundacja Popierania Bibliotekoznawstwa imienia Maurycji Goczałkowskiej. Żenewa 1947. Na prawach rukopysu.

Humor krajowy

Jak wiadomo odpowiednikiem francuskich *Grands Magasins* czy moskiewskich *Uniwermagów* są polskie *Państwowe Domy Towarowe*, w skrócie nazywane PEDETAMI. Niezależnie od nich, resztki prywatnej inicjatywy handlują mniej czy więcej zagranicznymi częściami garderoby: w Warszawie na „Ciuchach”, a w Krakowie na „TANDECIE”. I po Krakowie właśnie krąży następująca zagadka:

Pytanie: Kiedy nareszcie będziemy się mogli względnie tanio i porządnie ubrać?

Odpowiedź: — Wtedy, kiedy to co można zdobyć na TANDECIE znajdzie się w PEDECIE, a to co w PEDECIE — na TANDECIE.

Mówią, że K.C. ogłosiło komunikat, dotyczący wykonania planu gospodarczego na rok bieżący, w następującym brzmieniu: „Już teraz możemy stwierdzić, że plan gospodarczy w r. 1963 będzie mógł być wykonany na 66 i 2/3 procent, gdyż jak wiemy: mróz nam dopisał, powódź nie dopisała, ale za to dopisała usza...”

Do bufetu w luksusowym zresztą Domu Chłopa w Warszawie podchodzi jakiś klient i mówi:

— Łyski!

— Bardzo mi przykro, nie trzymamy whisky — odpowiada sprzedający. — Możemy natomiast służyć wódką, piwem, rosyjskim koniakiem lub rumuńskim winem.

— Łyski! — upiera się gość, najwyraźniej zdenerwowany.

— Mówiłem przecież, że nie ma — odpowiada ciągle uprzejmy barman.

— Jakto nima — krzyczy gość — to cym bede jadł zupe?

Do Delikatesów w Warszawie wchodzi klient i zwraca się do sprzedawczyni:

— Proszę o 1 deko herbaty.

— Jakiej? Chińskiej czy radzieckiej — zapytuje sprzedawczyni.

— Jeśli muszę wybierać — odpowiada klient — to już lepiej poproszę o paczkę kawy.

ANEGDOTKI Z ZSSR

Podobno w związku z antysemitkami akcentami jakie znalazły się w przemówieniu N.S. Chruszczowa, wygłoszonym w dniu 8 marca rb. nazywają go obecnie w Moskwie „Naum Salomowicz”; poprzedni przydomek Chruszczowa brzmiał: „Oleg Popow” (najsłynniejszy rosyjski kłown).

Nikita Chruszczow dowiedział się z poufnych kół, że John Kennedy w niektórych sprawach — a przede wszystkim w sprawie chińskiej — jest o wiele lepiej i szybciej informowany od niego. Bardzo go to zgniewało i nie mogąc dojść źródła tych informacji postanowił skorzystać z bezpośredniego telefonu, który łączy Kreml z Białym Domem i wręcz zapytał o to prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Kennedy bardzo uprzejmie i nie robiąc niepotrzebnych tajemnic wyjaśnił Chruszczowowi, że jego agencją informacyjną jest piekło.

— Jak to piekło — zdziwił się Chruszczow — w jaki sposób?

— Bardzo prosty — odpowiedział Kennedy. — Bierze Pan słuchawkę telefoniczną i łączy się Pan: P-I-E-K-Ł-O. Tam już wiedzą dobrze o co chodzi telefonującemu. Pozwalam sobie jednak dodać, że te telefony są bardzo kosztowne: 100 dolarów minuta.

Chruszczow nie zupełnie był przekonany wywodami Kennedygo, ale postanowił spróbować. Nakręcił P-I-E-K-Ł-O i rzeczywiście po krótkiej chwili otrzymał bardzo dokładne wiadomości o sprawach, które go interesowały. Bardzo zadowolony, kończąc rozmowę zapytał ile się należy.

— 50 kopiejek — brzmiała odpowiedź.

— Tak mało? — zapytał zaskoczony Nikita. — Nie rozumiem wobec tego dlaczego Kennedy ostrzegwał mnie, że minuta rozmowy kosztuje go 100 dolarów.

— Bo to prawda — odpowiedział głos z piekła. — Proszę nie zapominać, że tamta rozmowa była *zamiejscowa*.

NOWY SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

Wdrożeniowiec opakowaniowy — urzędnik zajmujący się wprowadzaniem na rynek nowych opakowań wyrobów przemysłowych. („Odgłosy”, Łódź).

Upiór dzienny — codzienne sprawozdania mechanicznych pralni z ilości upranej bielizny.

Listy do Redakcji

Rio de Janeiro

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem p. Adama Jaworskiego z Ottawy, ogłoszonym w nrze 5/187 (Maj 63) „Kultury”, pragnę uzupełnić informacje o Adamie Kocjanie i bohaterskich wyczynach jego oddziału.

Akcja wykrycia pocisków V-1 prowadzona przez oddziały BIURA STUDIÓW EKONOMICZNYCH AK, pod dowództwem JACKA, rozpoczęła się w Pinemünde w listopadzie-grudniu 1941. Raport dokładny, lokalizujący Pinemünde, jako stację doświadczalną i montownię pocisków V-1, został wysłany do Londynu w czerwcu 1942 przez Adama Kocjana, Szefa Referatu Lotniczego ARKI (Kryptonim wyżej wymienionego Biura Studiów Ekonomicznych AK).

Po tym odkryciu, wielki wysiłek całej sieci wywiadu AK na terenie Polski i Niemiec, zostaje skierowany na zlokalizowanie fabryk, produkujących części do V-1. Na skutek aresztowania Jacka we wrześniu 1942 roku, całością akcji, kieruje w jego zastępstwie Adam Kocjan. W marcu 1944 Jacek zostaje zwolniony i po przejściu koniecznej kwarantanny konspiracyjnej, obejmuje ponownie dowództwo, już pod nowym „nom de guerre”: RAFAŁ MEDUNIECKI.

Na podstawie danych zebranych ze wszystkich działań wywiadowczych, w czasie trwania których ginie na całym terenie ponad 150 żołnierzy AK — planowany zostaje zamach na linii kolejowej Kraków-Blizno, celem zdobycia nowo-zmontowanego pocisku. Zamiar ten jednak zostaje poniechany, gdy w ręce agentów Oddziału II AK — Okręg Siedlce dostaje się pocisk, który spadł nad Bugiem w stanie zupełnie nieuszkodzonym. Pocisk ten zostaje natychmiast przetoczony do rzeki i zatopiony, celem ukrycia przed władzami niemieckimi. Dokonywują tego Grupy Wywiadu LOMBARD i TELESFOR (Dawna ARKA) przy pomocy ludności miejscowej. Pocisk ten, w odpowiednim czasie wydobyty, podlega zbadaniu i cały dotyczący go materiał zostaje w lipcu 1944 roku przewieziony przez RAFAŁA do Londynu.

Dla utrzymania tajemnicy nie ukazuje się wtedy najmniejsza wzmianka o RAFALE MEDUNIECKIM, a jedynie wymieniony jest Adam Kocjan, który wówczas już nie żył — zginął bohatersko w kwietniu tegoż roku, rozstrzelany przez Niemców.

Dopiero w parę lat później pułkownik Iranek Osmecki, były szef Oddziału II AK, całość sprawy opisał w artykułach umieszczonych w kilku pismach angielskich i w amerykańskim piśmie TRUE; podkreśla w nich doniosłość roli RAFAŁA.

Nie od rzeczy będzie dodać w tym miejscu, że RAFAŁOWI MEDUNIECKIEMU zostało natychmiast po wojnie przyznane przez króla Jerzego VI wysokie odznaczenie DCM (*Distinguished Conduct Medal*), które jednak dopiero w 16 lat później, bo w 1962 roku, zostało mu wręczone przez Ambasadora Angielskiego w Rio de Janeiro. Zwłoka ta spowodowana była ogromną trudnością zidentyfikowania osoby, która działała w czasie wojny pod pseudonimami początkowo Jacka, a potem Rafała Medunieckiego, czyli JERZEGO

CHMIELEWSKIEGO, zamieszkałego od wojny w Brazylii, a który przez cały ten czas, z wrodzoną mu skromnością nie starał się o zdeskonspirowanie.

Byłem obecny na podniosłej uroczystości udekorowania JERZEGO CHMIELEWSKIEGO, w czasie której Ambasador wygłosił bardzo piękną mowę.

Łączę wyrazy poważania.

Karol BARCIŃSKI

Rio de Janeiro, 14 sierpnia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę Panu złożyć jak najserdeczniejsze gratulacje z okazji wspianego ostatniego nru „Kultury” (lipiec-sierpień, 1963 r.), którym pobiliście wszystkie rekordy. Ma treść bogatą, poziom wyrównany bardzo wysoki i zawiera prace wielu nowych współpracowników.

Ale na pierwszy plan wybijają się niezmiernie ciekawe wspomnienia, pióra marszałka Bogusława Miedzińskiego, napisane ze zdumiewająco młodzieńczym wigorem i zawierające, jeżeli się nie mylę, cały szereg wartościowych przyczynków do międzywojennej historii Polski. Nawiasem tylko wspomnę, że wątpię, czy p. Miedziński jeszcze przypomina sobie ośmieszającą mnie nieco epizod, kiedy to, z początkiem 1926 r., z polecenia PPS-owskiego ministra pracy Bronisława Ziemięckiego, jako jego niedowarzony gabinetowy sekretarz, próbowałem z nim uzgodnić rewizję ustawy o naczelnych władzach wojskowych, która miała zapobiec wiszącemu już w powietrzu zamachowi majowemu...

Wydaje mi się bezspornie trafna główna teza artykułu, wykazująca istotność, tak nieścisłe często interpretowanego porozumienia sanacyjno-hitlerowskiego. W rzeczy samej polityka zagraniczna reżymu pomajowego nie była największym jego grzechem. Może trudno usprawiedliwiać ponury etap współudziału Polski w rozbiore Czechosłowacji. Szanowny autor przeslizguje się też poprzez sprawę, niedostatecznie jeszcze wyjaśnioną, roli odegranej przez nas w rokowaniach francusko-angielskich z Z.S.S.R. w pierwszej połowie 1939 r., których niepowodzenie posłużyło jako pretekst do zawarcia „paktu Ribbentrop-Mołotow”. Ale, w zasadzie, p. Miedziński nie mija się z prawdą, podkreślając z całym naciskiem, że porozumienie polskie z Hitlerem miało na celu zyskanie na czasie do chwili gdy Zachód dojrzeje do oparcia się imperializmowi III Rzeszy. W „Zeszytach Historycznych” (nr 4) próbuję wyjaśnić niektóre okoliczności niesłuchanie znamiennego kapitulacji Francji i Anglii wobec włączenia Nadrenii w obręb Niemiec. Biorąc nieprzerwanie udział w rokowaniach z Niemcami, od r. 1927 do r. 1939, miałem sposobność przekonać się o tym naocznie, (a także w ciągłych kontaktach z ambasadorem Lipskim) na czym polegało, w istocie rzeczy, porozumienie z Hitlerem. Pragnę dorzucić nie nazbyt może ważne przeżycie osobiste na ten temat. Kiedy z r. 1935, po podpisaniu umowy o ubezpieczeniach społecznych, minister pracy Seldte, szef Stahlhelmu, wydał na naszą cześć bankiet, zaskoczył nas wszystkich zupełnie, wygłaszając przemówienie, które bez jakiegokolwiek aluzji do właściwego tematu naszych rokowań, było apelem do Polski, by przyłączyła się do krucjaty przeciw „naszemu wspólnemu czerwonemu wrogowi”. Nie było czasu na porozumienie się co do treści odpowiedzi z ministrem Lubomirskim, który na tym obiedzie zastępował nieobecnego ambasadora Lipskiego. Toteż pocitem się bardzo, głowiąc się nad tym, jak zareagować na bardzo nieprotokolarne wystąpienie tego neonazysty. Po krótkim namyśle odpowiedziałem po francusku, podkreślając, że niestety, nie znając dobrze

niemieckiego, nie zrozumiałem dokładnie treści tego przemówienia, ale domyślam się, że minister pracy apoteozował w nim wzniośle cele postępu społecznego, którego wskazówki powinny istotnie przyświecać polityce socjalnej obu naszych państw. Delegaci niemieccy, którzy nie darzyli sympatii tego aroganckiego szefa konserwatywnego odłamu reżymu nazi, krztusili się ze śmiechu, gdyż wiedzieli dobrze, że władałem bardzo poprawnie językiem niemieckim, w którym, w myśl wytycznych prezesa Prądzińskiego, prowadzone były wszystkie negocjacje polsko-niemieckie. Przepraszam za tę może niepotrzebną dygresję. Chciałem tylko, na marginesie, zaznaczyć, jaka wdzięczność należy się p. Miedzińskiemu za sprostowanie pokutującej do dziś dnia mylnej opinii o „przymierzu polsko-niemieckim”.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i szacunku.

Stanisław FISCHLOWITZ

Melbourne, 4.8.1963 r.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Z prawdziwym zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Adama Nasielskiego („Przesilenie”, czerwcowy numer „Kultury”), zawierający analizę skomplikowanego problemu przeobrażeń zachodzących wśród Polaków w Australii. Korzystam z zacytowania mego nazwiska — w tak zaszczytnym, acz nie zasłużonym kontekście — aby prosić Pana o użyczenie mi nieco miejsca.

Temat, poruszony przez p. Nasielskiego, nie schodzi z łamów tutejszej prasy polskiej. Do wymienionego przezeń „triumwiratu” (koniecznie w cudzysłowie) należy ponadto — a raczej przede wszystkim — włączyć kilku innych czołowych, o znanych poza Australią nazwiskach publicystów, jak Zbigniewa Jasińskiego, Edwarda Jakubowskiego (E. Zagiell), Ludwika Kruszelnickiego, samego Nasielskiego i dra Jerzego Zubrzyckiego.

Wydaje mi się, że niektórzy spośród naszych publicystów zbyt często popełniają duży błąd żonglując, zazwyczaj definiowanymi ad sum Delphini pojęciami-etykietkami „emigrant polityczny” i „emigrant zarobkowy”, niejednokrotnie podsuwając czytelnikom absurdalny wniosek, że „emigrant polityczny” musi być koniecznie na czymś utrzymaniu, bo gdy tylko skala się pracą zarobkową, traci zaszczytny status „politycznego”. Z całą powagą rzuca się na papier opinie, że wobec decyzji „niewracania” staliśmy się w r. 1945 „emigracją polityczną” (choć i Nasielski nawet tu stawia znak zapytania: przecież nie „emigrowaliśmy”, lecz „zostaliśmy wyemigrowani” mimo woli), a w latach następnych staliśmy się „zarobkową”, bo po wyborze kraju osiedlenia zaczęliśmy „zarabiać” na chleb pracą rąk własnych...

Pomijając definicje oparte o postanowienia prawa międzynarodowego, o statusie emigranta nie może przesądzać dość beztroskie przyklepanie mu takiej lub innej etykiety, nawet bez pytania go o jego własną opinię w tej sprawie. Jest to ponad wszelką wątpliwość sprawa osobista każdego emigranta czy uchodźcy — i jednym właściwym kryterium jest jego własny wewnętrzny stosunek do jedynego faktu politycznego: do ustroju społeczno-politycznego istniejącego w jego rodzinnym kraju. Jeżeli ustrój ten nie jest takim, jaki — według jego opinii — jego kraj powinien posiadać, i jeżeli tej swojej opinii nie mógłby we własnym kraju głosić publicznie bez narażania się na represje — jest emigrantem politycznym. Tego statusu nie jest w stanie przekreślić ani ograniczone do rozmiarów koniecznych korzyści z niektórych usług instytucji reżymowych (wizy do Polski, paczki PKO) — bo to urządzenia faktyczne, których nie można zmienić lub omi-

nać — ani jego polityczna obojętność i bezczynność, będące najczęściej wyrazem nie przemyślanej decyzji o charakterze politycznym, lecz wynikiem osobistych cech charakteru, ani odwiedzenie kraju rodzinnego, ani nawet przyjęcie obywatelstwa innego państwa.

W zasadzie słuszna (jeżeli pominiemy „etykiety”) analiza zjawisk zachodzących wśród Polonii australijskiej, przeprowadzona przez p. Nasielskiego, wiele — choć nie wszystko — tłumaczy. Wiele można było uczynić, aby móc wpłynąć na kształtowanie lub utrzymanie światopoglądu ideologiczno-politycznego wśród ogółu Polaków w Australii. Wiele przyczyn złożyło się na to, że tego nie uczyniono. Jedną z głównych — to zanik autorytetu „polskiego Londynu”, rozpolitykowanego i poważanego, a od r. 1947 permanentnie rozdwojonego. Stopniowo relacje z „igrzysk londyńskich” zniknęły z łamów polskiej prasy w Australii, wskutek czego większość rodaków o istnieniu „polskiego Londynu” zapomniała.

Drugą przyczyną są niedomagania naszego własnego życia organizacyjnego. Wyposażone sowicie w klasyczne przywary narodowe, tutejsze społeczeństwo polskie nie omieszkowało zrobić z nich właściwego użytku. Ambicje osobiste, zawiści, nie oparte na społecznej uczciwości i na rzeczowej podstawie tendencje do podporządkowywania jednych polskich ogniw drugim, warcholskie niepodporządkowywanie się instytucjom praworządnie ustanowionym, burzenie już zbudowanego, budowanie na nowo co już zbudowane przez innych, stosowanie jak najbardziej obrzydliwej zasady „nie co, ale kto robi”, rozbijanie, rywalizowanie, niepotrzebne dublowanie, prestiżowe, bezprawne tytuły do „reprezentowania”, insynuacje, oskarżenia, szkalowania — zaiste, choć może nie miało cech nagminności, jednak nic z tego nie było nam obce. Powoli to wszystko wygasa, ale tu i ówdzie co najmniej czuje się jeszcze swąd.

W takich warunkach działalność wyłonionych demokratycznie nadrzędnych instytucji narodowo-społecznych nie była łatwa. Mniej myślano o sprawach ideologicznych a gros wysiłku szło na łagodzenie sporów i na doraźne leczenie najbardziej naglących dolegliwości, z wynaradawianiem i asymilacją na czele. Z biegiem lat stało się to szablonowym ususem, uświęconą wieloletnią praktyką formą działania — wszystko inne, ważniejsze lub równie ważne, zeszło do rządu truistycznych, pustych hasel i akademijno-walnozebraniowych pokrzykiwań.

Na tak podatny grunt natrafiła koronkowa, niemal naukowo prowadzona penetracja reżymu, cierpliwie i różnymi drogami wślizgująca się pod dachy domów pojedynczych emigrantów, nie tylko do tych zubożniających, ale niejednokrotnie do tych czynnych i zasłużonych. Na różnych szczeblach hierarchii społecznej pojawiły się szczyrby i pęknięcia, zawiódł polityczny instynkt samozachowawczy, popełniono tu i ówdzie trudne do naprawienia błędy. Nie wymieniam konkretnych wypadków, bo — jak słusznie zaznaczył p. Nasielski — należą do optymistów: wierząc w wylizanie się z ran, palca w nie pakować nie należy.

Nie rzucam też oskarżeń z adresem, bo wszyscy — jedni więcej, drudzy mniej — są po trosze winni. W tego rodzaju zimnej wojnie obowiązuje czujność, konieczność właściwego rozróżniania hierarchii ważności zjawisk i przewidywania ich skutków. Im kogo wyżej los postawił — tym większe jego obowiązki i większa odpowiedzialność, tym baczniej obserwuje się i jego postępkę, i zaniechania działania.

Ponieważ na wstępie pozwoliłem sobie wymienić jednym tchem kilka nazwisk, pragnę zaznaczyć, że poniższa próba przedstawienia rzeczywistości polskiej w Australii jest moim własnym, osobistym punktem widzenia, nie angażującym nikogo z wymienionych.

Proszę przyjąć pozdrowienia i wyrazy szacunku.

R. GRONOWSKI

Berlin, dn. 19 lipca 1963 r.

Wielce Szanowny Panie!

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem to, co pan Mieroszewski napisał w „Kronice Angielskiej” w nrze 6 „Kultury” o mojej książce „Nachbar Polen”.

Oczywiście nie jest przyjęte, że autorzy zajmują stanowisko w odniesieniu do recenzji, a nawet żądają sprostowań; ja również nie chciałbym w tym wypadku stanowić wyjątku.

W jednej sprawie, która wydaje mi się bardzo ważna, uprzejmie proszę Szanownego Pana o umieszczenie notatki w następnym numerze „Kultury”:

Pan Mieroszewski pisze: „Stehle krytykuje postępowanie swego rządu w tej sprawie, lecz sam nie wysuwa również żadnej koncepcji”. Uwadze pana Mieroszewskiego prawdopodobnie uszło, że w uwagach końcowych mojej książki, na str. 361, wysuwam zupełnie konkretną propozycję, która się w szerokim zakresie pokrywa z poglądem pana Mieroszewskiego, a mianowicie, że potrzebne jest zapewnienie, „że przyszłe zjednoczone Niemcy granicę tę uznają”. Propozycja ta brzmi następująco:

„W praktyce łatwiej sobie wyobrazić — na dalszą metę i w warunkach trwającego podziału Niemiec — jedynie taką politykę rządu federalnego, która by wychodziła z następujących założeń:

1. Nie ma rządu niemieckiego, który może zawierać wiążące umowy w imieniu całych Niemiec w sprawie ich granic.

2. Ale nie ma też żadnej możliwości zrewidowania wyników II-ej wojny światowej, za którą winę ponoszą Niemcy, bez spowodowania nowego bezprawia i nowego napięcia.

3. Toteż istnieje jedynie możliwość, by wielkie partie polityczne Republiki Federalnej publicznie zapewniły, że przy zawieraniu przyszłego traktatu pokojowego z Niemcami ze swej strony wystąpią o zagwarantowanie państwowego istnienia obszaru obecnie zamieszkałego przez naród polski.

Ponieważ jednak, w dzisiejszych warunkach, tego rodzaju publiczne wystąpienie mogłoby wywołać wewnętrzno-polityczne reakcje, które również utrudniłyby uwiarygodnienie wszelkich zapewnień rezygnacji z użycia siły, potrzebne byłoby przed tym przemyślane przygotowanie i stworzenie klimatu wewnętrzno-politycznego tzn.: dłuższy okres, w którym mówienie odpowiedzialnych polityków zastąpione zostałoby przez milczenie. Do stworzenia takiej atmosfery potrzebne by było jednak, by w konflikcie między Wschodem a Zachodem, którego granica dzieli Niemcy na dwie części, dominowała tendencja do odprężenia — uczciwa i oparta na tolerancji koegzystencja — i by w ten sposób znaczenie granic zacierało się w takim stopniu, w jakim ma to miejsce dzisiaj w Zachodniej Europie i jak tego pragnie, w węższym zakresie, nawet niejeden polityk Europy Wschodniej”.

Pozostaje z poważaniem.

Dr Hansjakob STEHLE

© Copyright by Institut Littéraire, 1963.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1963.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vista » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orcluch; Moveis Cirno S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaka-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/O Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiastowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM LXXXVIII

POLACY W ZSSR

(1939-1942)

ANTOLOGIA

W opracowaniu i ze wstępem Marii Czapskiej

Na książkę składają się fragmenty prac pisanych na uchodźstwie, w ogromnej większości już dziś wyczerpanych, a przede wszystkim prawie nieznanymi, gdyż ukazywały się w czasie wojny lub zaraz po wojnie.

„Nie po to, żeby jątrzyć został wydana niniejsza antologia — pisze we wstępie Maria Czapska — ale by ujawnić, bo tylko ujawnienie zła może oczyścić polsko-sowieckie stosunki, zneutralizować trucizny. I została wydana także dlatego bo wielkich zbrodni, które napiętnowały XX wiek ery chrześcijańskiej nie wolno nam zapominać, bo każdy z nas ponosi za nie jakąś część odpowiedzialności, a pamięć — to ostrzeżenie.

Nie wolno nam zapominać więzień i łagrów sowieckich, zagłady Żydów, niemieckich obozów śmierci, mordu katyńskiego i innych, nieodkrytych, mordów kulą w kark, a także gorzkiej prawdy degradacji człowieka — kata i ofiary”.

Str. 360

Cena egz. 16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)

TOM XCI

ABRAM TERC

LUBIMOW

Kapitałna groteska znanego już naszym czytelnikom sowieckiego pisarza, autora książek „Sąd idzie” i „Opowieści fantastyczne”, przetłumaczonych na ponad dwadzieścia języków.

Str. 128

Cena egz. 9 F (dol. 2,00; sh. 13/6)